

CAROLYN MCSPARREN

**Miłość
i stare koronki**

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Od lat udało ci się nie zakochać. - Elizabeth Jackson spojrzała z namysłem na syna. - Muszę przyznać, że wcale mnie to nie cieszy.

- A mnie owszem. - Ben usiadł wygodniej na turkusowej kanapie w stylu wiktoriańskim i uśmiechnął się do matki z goryczą. - Nawet strzała Kupidyna nie jest w stanie przebić się przez bliznę w tym sercu. - Postukał palcem własną pierś. - Kiedyś już kogoś kochałem, pamiętasz? Niepotrzebna mi nowa miłość. Uważam, że jest to przeżycie zbyt bolesne.

- Ben, kochałeś Judy, ale to były czasy szkolne. A jej śmierć wcale nie była twoją winą.

- Częściowo tak, choć spore, zasługi należy przypisać naszemu kochanemu tatusiowi.

Elizabeth zmarszczyła brwi.

- Może byś przestał ironizować? Ja chcę tylko powiedzieć, że lepiej czuć ból, niż nie czuć zupełnie nic.

- Nauczyłaś mnie dmuchać na zimne, a chcesz, żebym chodził z sercem na dłoni i prosił, żeby się ktoś nim zainteresował?

Elizabeth odłożyła na stolik kawałek koronki

w kolorze *ecru*, którą cerowała, i spojrzała na syna z przyganą.

- Wolałabym, żebyś krwią zalał mi dywan, niż żebyś zamienił się w robota.

- Protestuję, mamó. Nie jestem robotem. - Pochylił się ku niej. - Bardzo zależy mi na tym, żeby wszyscy oszuści wylądowali za kratkami.

- Owszem, ale sam nie jesteś oszustem.

- Gdyby ojciec nie uniewinnił Elmera Bazemore'a od zarzutu gwałtu i usiłowania zabójstwa, Elmer nie miałby okazji zabić Judy, a ty miałabyś zapewne te wnuki, o których tyle mówisz.

Pochyliła się w jego stronę i przytuliła go do siebie. Ponieważ zeszytniał, wypuściła go z objęć i nieco się odsunęła.

- Postaraj się o jakieś życie emocjonalne.

- Staram się, mamó. W granicach rozsądku.

- Chyba nie masz zbyt wielkich szans z tymi kobietami, z którymi się umawiasz. - Wzięła do ręki koronkę, włożyła na nos pince-nez i przyjrzała się swej pracy. - Między tobą a twoimi przyjaciółkami wszystko jest takie chłodne i racjonalne. Jakie z tego może być małżeństwo?

- Idealne. Z takiego małżeństwa może wyniknąć partnerstwo, które mnie wyniesie na stanowisko prokuratora okręgowego.

- I będziesz miał dwójkę idealnych dzieci, z którymi świetnie się wychodzi na zdjęciu?

- Nie jestem pewien, czy w ogóle będę miał dzieci. Nie chciałbym być nieobecny ojcem.

- Twój ojciec nie był znowu taki nieobecny.

- Nigdy nie przyszedł do szkoły, żeby obejrzeć mecz piłkarski, w którym grałem. Nie widział, jak ja czy Steve gramy w baseballa. Ze dwa razy w miesiącu udało mu się zdażyć do domu na kolację, był z nami także w Święto Dziękczynienia i Boże Narodzenie, chyba że któryś z jego klientów postrzelił kogoś w wigilię i w święta trzeba było załatwić dla niego kaucję.

- Ludzie go potrzebowali.

- My też. A potem nas opuścił. Opuścił ciebie.

- Już dawno mu to wybaczyłam. Właściwie zrobił mi przysługę. Gdyby mnie nie zostawił, na pewno nie zrobiłabym kariery jako kobieta interesu.

Ben wstał, wsunął dłonie do kieszeni spodni i podszedł do okna w dużym salonie. Wiedział, że matka się o niego martwi, lecz przecież ta w dalszym ciągu atrakcyjna, szczupła kobieta o kasztanowych włosach nie narzekała na brak zajęć. Miała swoją pracę, przyjaciół, a także adoratora - którym, tak się złożyło, był szef Bena. Nigdy nie zawiodła syna, gdy jej potrzebował, rzadko jednak była tak natrętna jak dziś.

Spojrzał za okno i poszukał wzrokiem samochodu Brittany. Zawsze przyjeżdżała wcześniej. Na wielkim dziedzińcu przed domem matki pyszniło się wiele

różnych odcieni azalii rosnących wokół wiekowych dębów, a tego dnia lekki wiatr poruszał postrzępionymi główkami holenderskich irysów, które niedawno zakwitły.

Ben tutaj spędził dzieciństwo i tutaj zawsze czuł się jak w domu. W Memphis zawsze najbardziej lubił Garden District, dzielnicę zabudowaną starymi domami w stylu georgiańskim, teraz zaś, w kwietniu, zanim jeszcze letni skwar przegnał wszystkich do klimatyzowanych pomieszczeń, czuł się w tym miejscu wyjątkowo dobrze.

- Przepraszam, mamó - odezwał się. - Nie mogę wybaczyć ojcu tego, że zamienił prawo w grę salonową i grał w nią, nie bacząc na to, co jest słuszne, a co nie.

- Nie możesz mu też wybaczyć śmierci Judy.

- Ciekawe, ilu ludzi straciło życie z powodu taty i jego wygłupów na sali rozpraw?

- Zawsze powtarzał, że jeśli oskarżenie dobrze wykona swoją robotę, to oskarżenie wygra. Jego zadaniem było bronić klientów najlepiej, jak potrafił.

Ben odwrócił się w stronę matki.

- Szkoda, że był w tym taki dobry.

- A czy nie pamiętasz, że wyciągnął też z więzienia kilka osób, które zostały niewinnie skazane?

- Owszem, ale on po prostu miał szczęście, że te osoby były istotnie niewinne. Jemu zresztą i tak było to obojętne. Tak jak my.

Elizabeth ponownie odłożyła koronkę na stół i wygładziła ją, jakby to była skóra.

- Nie zawsze tak było, Ben. W pierwszych latach naszego małżeństwa mnie i twojego ojca łączyła gorąca namiętność. A w tobie nie ma żadnej namiętności, chyba że zabierasz się do przeganiania przestępców z ulic.

- Nie widzę w tym niczego złego. A poza tym mam swoją namiętność.

- Nie mówię tylko o romansie. - Elizabeth spojrzała mu prosto w oczy. - Mówię o walce, o stawianiu żądań, o wielkiej pasji i doprowadzaniu drugiej osoby do szaleństwa. Szaleństwa z miłości. Te twoje księżniczki z lodu nie wzbudzają gorących uczuć, prawda?

- Na Boga, mam nadzieję! - Roześmiał się krótko. - Jeśli ja i moje księżniczki z lodu wiemy, do czego zmierzamy, nigdy nie doprowadzimy siebie do szaleństwa.

- Jakże to musi być nudne!

- Wiem, mamo, że nie takiego życia dla mnie pragniesz, ale tylko do takiego jestem zdolny. Coś we mnie pękło, kiedy Judy zginęła. Teraz mam zamiar poślubić kobietę, która będzie pasowała do mojego stylu życia, miała te same cele, te same ambicje, podobne poglądy. Kobietę, która nie będzie się domagała dostępu do tej części mnie, która już nie istnieje. Krótko mówiąc, moja żona ma być partnerem i przyjacielem.

Elizabeth uniosła brwi.

- Brzmi to jak ogłoszenie. Szukam odpowiedniej żony: musi być wysoka, szczupła, jasnowłosa, bogata, wyrobiona towarzysko i całkowicie niezależna. Kandydatki są proszone o zgłaszanie się osobiście.

- Skoro tak uważasz...

- Nie uważam, kochanie, ale takie jest twoje życie. - Westchnęła i wskazała ręką w stronę drzwi na końcu marmurowego holu. - Czy składasz propozycję pracy kobiecie, którą mam za chwilę poznać?

- Może. Ona odpowiada twojemu opisowi. Oprócz tego skończyła studia z wyróżnieniem, ma pracę, którą lubi i w której jest dobra, i będzie znakomitą żoną urzędnika publicznego.

- Wygląda mi na megierę.

- To cudowna dziewczyna.

- To dlaczego jej dotąd nie poznałam?

- Bo nie chciałem wywierać nacisku na żadną z was. Przychodzi właśnie dziś, bo potrzebuje sukni na bal kostiumowy, a twoje staroświeckie koronki bardzo jej się podobają.

- A czy ona wie, ile kosztują moje suknie? A zwłaszcza ta, która ma przypominać kreację balową z 1880 roku? I pewnie chciałyby, żeby ta suknia wyglądała na tyle współcześnie, żeby ją mogła nosić także później.

- Pieniądze to nie problem, choć mam cichą nadzieję, że obniżysz jej trochę cenę, bo twój biedny

głodujący syn jest tylko zwykłym asystentem prokuratora okręgowego.

- Oczywiście, kochanie, mamusia będzie miła dla megieiry. Na szczęście, nie muszę z nią mieszkać. Ani z tobą.

- A cóż to ma znaczyć?

- Musiałabym nieźle tobą potrząsnąć, żeby się przedostać do istoty ludzkiej, która jest omylna.

- To chyba ja zostanę prokuratorem okręgowym, kiedy Phil dostanie nominację na sędziego. Muszę być poza wszelkimi podejrzeniami, jeśli mam wygrać wybory pod koniec jego kadencji.

- Twoja żona musi też być poza wszelkimi podejrzeniami. Czy wynająłeś prywatnego detektywa, żeby sprawdził, czy w jej szafie nie ma przypadkiem jakichś trupów?

- Ależ skąd!

Rozległ się dźwięk dzwonka u drzwi. Elizabeth wstała, wygładziła spódnice i przywołała na usta swój zawodowy uśmiech. Gdy ruszyli oboje w stronę holu, powiedziała:

- Igrasz z losem, kochanie. Któregoś dnia miłość na pewno cię dopadnie. Nie możesz się wiecznie ukrywać.

Podeszła do drzwi i otworzyła je.

- Witaj, Brittany. - Wyciągnęła rękę w stronę gościa. - Ben dużo mi o tobie opowiadał.

Dwadzieścia minut później Ben wszedł do dużego salonu, który matka przekształciła w galerię dla swych koronkowych sukien. W tej chwili ona i Brittany siedziały obok siebie na małej kanapce usytuowanej pośrodku. Ben widział od tyłu ich wystające ponad oparcie głowy. Rozmawiały, przewracając strony katalogu, a Elizabeth rysowała coś w leżącym na jej kolanach szkicowniku.

Doskonale wiedział, że obie kobiety próbują się polubić z jego powodu, on jednak nie był w stanie polubić rozmów na temat strojów. Wsunął ręce głębiej do kieszeni spodni i ciężko westchnął.

- Odejdź, Ben - rzekła Elizabeth, podnosząc głowę. - Denerwujesz nas.

Brittany posłała mu promienny uśmiech.

- Kochanie - odezwała się ciepło - wiem, że to cię nudzi. Może pojechałbyś do klubu na drinka? Zadzwoń do ciebie później z samochodu.

- A może lepiej zajrzałbyś do Marian? - wtrąciła matka, wskazując dłonią drzwi prowadzące w głąb rezydencji. - Nie widziała cię od kilku miesięcy, a teraz jest chyba sama, bo wszyscy poszli już do domu. Poza tym mam nową projektantkę prosto z nowojorskiej Siódmej Alei. Pomaga mi we wszystkim, od zamawiania materiałów po szycie, a jeśli ją zatrzymam, zrobię z niej kierowniczkę pracowni. Jest bardzo dobra. Idź i przedstaw się jej, jeśli jeszcze nie poszła do siebie. Potraktuj to jako spotkanie przedwyborcze.

- Ale...
- Idź już, proszę.

W czasach szkolnych spędził mnóstwo czasu w pracowni na piętrze. Wtedy matka dopiero zaczynała zarabiać na koronkach, a w jego życiu było jeszcze miejsce na radość. Marian Wadsworth traktował w owych czasach bardziej jak ciotkę niż pracownicę matki. Próbowwała nawet nauczyć go podstaw szycia, lecz miał duże i niezgrabne ręce i nie odniosła w tej dziedzinie sukcesów, mimo że wykazywała nieskończoną cierpliwość.

Teraz Ben posłusznie zastosował się do zalecenia matki i ruszył na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz. Gumowa wykładzina tłumiła jego kroki, więc pomyślał, że zrobi Marian niespodziankę. Podszedł na palcach do obitych ryplem drzwi wiodących na strych, który matka już dawno przerobiła na pracownię. Nabrał w płuca powietrza, wyciągnął rękę i przekręcił gałkę, po czym gwałtownym ruchem otworzył drzwi, rozłożył szeroko ramiona i krzyknął:

- Panno Marian, oto Robin Hood powracający z wyprawy krzyżowej. Chodź i ucałuj mnie!
- Zwariował pan?

Na ułamek sekundy zamigotała mu przed oczami wykrzywiona gniewem twarz, po czym jej właścicielka znalazła się na podłodze.

- Niech to szlag! Przez pana rozsypały mi się pajetki!

W tej chwili widział jedynie zaokrąglony damski tyłeczek obleczony w czarne legginsy.

- Co pan tak stoi i się gapi? Proszę mi pomóc powyciągać je ze szpar.

- Prze.. .praszam - wyjąkał. - Myślałem, że zastanę tu Marian.

- A zastał pan mnie. Marian poszła po niebieskie pajetki. - Kobieta pochylona u jego stóp zbierała płaskie krążki jakby z niebieskiego szkła. - A, mam cię! - powiedziała, dzierżąc w dłoni małą skorupkę. - Czy ma pan zamiar mi pomóc, czy nie?

Ben przykucnął. Kobieta pochyliła się i jej twarz zalała masa kręconych włosów w kolorze czekolady. Miała palce robotnicy, o krótko obciętych paznokciach. Wyłuskał ze szpary niebieską błyskotkę.

- Proszę - powiedział, wyciągając rękę.

- Świetnie. Jeszcze tylko pięćdziesiąt. Nigdy ich wszystkich nie znajdziemy.

Kłęcząc, przysiadła na piętach, odgarnęła włosy z twarzy i spojrzała na niego z grymasem niezadowolenia. Miała na nosie połówki okularów w rogowej oprawie.

- Ben! - powiedziała. - No tak, to ty.

Jej oczy miały barwę ciemnego rumu. Wciągnął powietrze i nagle poczuł się jak Butch Cassidy w ostatniej scenie filmu. Wszystko stało się złociste. Świat zaczął się kręcić w zwolnionym tempie.

- Zamknij usta, Ben. Wyglądasz jak zdechły karp.

Usiłował zastosować się do jej polecenia, lecz znowu zabrakło mu powietrza.

- Co... Kto... - wykrztusił i zamilkł.

- Nawet mnie nie poznajesz. Oczywiście.

Chciał jej powiedzieć, że wygląda smacznie, soczyście, dziko, rozpustnie i niebezpiecznie i że jej pragnie. Tymczasem wydukał tylko:

- N-nie... - Zawsze panował nad swym libido, ono nigdy nim nie rządziło. Nigdy - aż do dziś. A potem coś mu się w głowie przejaśniło. - Annabelle? Annabelle Langley?

Usłyszał, jak za nimi otwierają się drzwi.

- Ben! Belle! Dlaczego siedzicie na podłodze?

Oderwał oczy od Annabelle i wyciągnął dłoń w stronę Marian, jak gdyby podawała mu linę ratunkową.

- Wstań, Ben, ubrudzisz się - dodała Marian.

Gdy to zrobił, uświadomił sobie, że uśmiecha się głupio do kobiety klęczącej na podłodze.

- Zostawisz mnie tu? - spytała, wyciągając rękę.

Ujął ją automatycznym gestem i poczuł, że przez jego ciało przebiega dreszcz. Annabelle podciągnęła się do góry, korzystając z jego pomocy, po czym stanęła prosto na nogach i nagle jej twarz znalazła się na wysokości jego piersi.

Odniosł wrażenie, że gdzieś w głębi jego serca wystrzelił w górę płomień, który szybko zgasł.

- Przepraszam, Marian - powiedziała Annabelle

i postąpiła krok do tyłu, zerkając uważnie na Bena. Pomyślała, że wygląda tak głupkowato jak Spodek ze „Snu nocy letniej”, kiedy się zamienił w osła. - Ben mnie przestraszył i rozsypały mi się pajetki - oznajmiła. - Nie znajduję wszystkich, więc nie wiem, czy nam wystarczy.

Marian pokazała jej kartonowe pudełko.

- Zobacz, ile znalazłam. Musisz przestać chomikować rzeczy w swoim mieszkaniu, Belle. Albo przynajmniej załóż porządną kartotekę.

- Przepraszam. Następnym razem ja ruszam na łowy. - Zerknęła na Bena. - To bezpieczniejsze. - Podniosła ze stołu kawałek białej belgijskiej koronki i z dużej poduszki przywiązanej do nadgarstka wyjęła ośmiocentymetrową szpilkę krawiecką ze szklanym łebkiem.

- Przepraszam, że cię od razu nie poznałem - odezwał się Ben. - Byłaś w klasie mojego brata, Steve'a. Prawda?

- To było bardzo dawno - odrzekła, podając mu rękę. - Ja dopiero zaczynałam szkołę, kiedy ty ją kończyłeś, ale wszyscy znali przewodniczącego najstarszej klasy. Teraz pracuję u twojej matki.

Ben przymknął powieki i szepnął:

- Chyba zabiję moją matkę...

- Ben! - zawołała Marian.

- O Boże! - Ben otworzył oczy. - Nigdy bym...

- Proszę, wyjdź stąd - powiedziała Annabelle. - Wyjdź, zanim cię wyrzucę.

- Ale to tylko tak się mówi...

- Już! - Uniosła w górę koronkę i w tej samej chwili syknęła, bo szpilka wbiła się w palec wskazujący jej lewej ręki. Wyjęła ją szybko i podniosła palec do ust, by zlizać krew, ale nie zdążyła. Czerwona kropla utworzyła na koronce sporą plamę. - No i popatrz, co przez ciebie zrobiłam.

- Ben, idź ha dół - poleciła Marian spokojnie.

- Ja się tym zajmę.

- Ale...

- Ona przecież wie, że nie miałeś niczego złego na myśli. Ale teraz idź.

Zmieszany i zawstydzony, Ben opuścił pracownię. Czuł się trochę jak największy dureń w całym wszechświecie. Szybko zbiegł po schodach, a gdy znalazł się w holu, nie skierował się do salonu, skąd dobiegał go głos Brittany, lecz do kuchni, skąd tylnymi drzwiami wymknął się do ogrodu.

Automatycznym gestem chwycił za gałąź dębu, wsunął stopę w rozwidlenie między konarami i podciągnął się do góry. Jego ręce i nogi zachowywały się tak, jakby nadal miał dziesięć lat, kiedy to szukał kryjówki na tym drzewie, ilekroć pragnął uniknąć jakiegoś paskudnego zajęcia lub po prostu w samotności poczytać. A kiedy miał osiemnaście lat, umarła Judy, i wtedy praktycznie całe lato przemieszkał na tym drzewie.

Teraz ukrył twarz w dłoniach i oparł się o gruby

konar pięć metrów nad ziemią. Dzięki Bogu, że drzewo urosło na tyle, by utrzymać jego ciężar. Przed chwilą o tym nie pomyślał.

Zrodziła się w nim dziwna pewność, że nigdy więcej nie powinien spotkać Annabelle Langley.

A jeśli chodzi o Brittany, to jak może do niej wrócić i ją uwodzić, skoro dziesięć minut temu przestała być ważną częścią jego prywatnego świata? To nie była wina Brittany; w tym zawiniła jego matka.

Kupidyn, ten sadystyczny stary łajdak, na pewno śmieje się teraz do rozpuku. Jakim cudem Ben Jackson, młody asystent prokuratora okręgowego, racjonalista, człowiek świadomy swych celów, może zakochać się po uszy, i to od pierwszego wejrzenia? Na dodatek w kobiecie, która zabiła matkę...

Nadal siedział na drzewie, gdy piętnaście minut później tylne drzwi domu otworzyły się i w progu stanęła Annabelle - posepna jak chmura gradowa. Zbiegła ze schodków, przystanęła między drzewami i zapatrzyła się w przestrzeń.

Jej pojawienie się wywarło na nim niesamowite wrażenie. Usiłował patrzeć na nią krytycznym wzrokiem, porównywał ją nawet do Brittany - w nadziei, że jego rozum odezwie się, zanim będzie za późno. Czyż matka przed chwilą nie nazwała go robotem? Robot wszak nie potrafi się zakochać.

W Annabelle było jednak coś takiego, co spr-

wiało, że jego wola słabła. Nie podobało mu się to, nie chciał tego, nie akceptował. Namiętność rani, miłość oznacza stratę. Okropną, straszliwą stratę, która nagle, bez ostrzeżenia, daje znać o sobie ciągiem bolesnych wspomnień.

Nie stać go było na empatię. Nie potrafił być otwarty na emocje i jednocześnie dobrze pracować. Jest winien całą swą uwagę ludziom, których pod przysięgą obiecał chronić. Jeden przestępca mniej na ulicy to jedna ofiara mniej. Na przykład Judy...

Annabelle nie może go teraz widzieć. W chwili, gdy weszła do ogrodu, mógł coś powiedzieć, lecz teraz ta okazja już minęła. Popatrzył na nią chłodno. O co w tym wszystkim chodzi?

Była kilka centymetrów niższa od Brittany. Ta ostatnia była poza tym szczupła jak modelka, podczas gdy Annabelle miała tu i ówdzie zaokraglenia. Szykowne, modne stroje nie wyglądałyby na niej tak znakomicie jak na Brittany, jeśli założyć, że miewała na sobie coś bardziej szykownego niż te legginsy i ta workowata bluza. Pomyślał, że właściwie nic go jej stroje nie obchodzą. Bez ubrania wyglądałaby świetnie, i taką właśnie ją chciał.

Proste, jasne włosy Brittany idealną linią otaczały jej twarz, włosy Annabelle zaś wyglądały tak, jakby ich nigdy nikt nie obcinał. Poczuł, że ma ochotę wsunąć w nie rękę, ukryć twarz w ich splecionej masie.

To nie jest miłość.

To żądza. A z żądzą sobie jakoś poradzi.

Annabelle chyba nie przejmowała się specjalnie swym wyglądem. W tej chwili na jej ustach widniały jedynie resztki szminki, nos błyszczał, na policzku pozostał niebieski ślad po ołówku kopiowym. No tak, ale ona przecież cały dzień pracuje. I to ciężko. Szybie tylko z pozoru jest zajęciem prostym, w istocie szwaczka się garbi i rani sobie ręce. No właśnie, dziś przez niego Annabelle wbiła sobie w palec szpilkę. Jak mógł być tak niezdarny! Jego uwaga też zapewne głęboko ją zraniła.

No tak, Brittany jest zupełnie inna. Jej świat to elitarne kręgi towarzyskie. Łatwo się uśmiecha, każdego potrafi oczarować. Dlaczego więc Brittany nagle zaczęła mu przypominać mechaniczną lalkę? Dlaczego jej świetlista uroda nagle w jego oczach zbladła? Ta zaś nieokrzesa kobieta sprawiła, że zapragnął zeskoczyć z drzewa i zaciągnąć ją do swej jaskini, w której miałyby zostać z nim na zawsze...

Jęknął, uderzył się dłonią w czoło i nieoczekiwanie stracił równowagę. Gdy poczuł pod stopami pustkę, krzyknął i usiłował chwycić gałąź ponad głową, ponieważ ta, na której siedział, niebezpiecznie zatrzeszczała, a potem się złamała. Spadając, próbował chwycić po drodze jakąś inną gałąź, uderzył się mocno w ramię, i w końcu zawisł ze trzy metry nad ziemią, po czym z wdziękiem kamienia opadł na trawę.

Annabelle patrzyła na niego z otwartymi ustami.

- Zaraz ci wszystko wyjaśnię - powiedział, wyciągając ręce w proszącym geście.

- Nic ci nie jest? - spytała. - Wyglądasz dość strasznie.

- Nic mi nie jest.

- Co tam robiłeś na tym drzewie?

Podeszła do niego i wyciągnęła rękę, by oczyścić klapę jego marynarki.

- Zaraz ci wyjaśnię - powtórzył.

Kosztowało go wiele wysiłku, by nie chwycić jej za nadgarstek i nie porwać w ramiona. Gdy opuszką palca musnęła jego szyję, znów poczuł dreszcz.

- No więc...? - mruknęła ze wzrokiem utkwionym w rękaw marynarki, z którego usuwała liście i kawałki gałązek.

- Więc co? - Z zachwytem patrzył na niebieską smugę na jej policzku.

- Chcesz mi coś wyjaśnić.

- Aha.

Zamknął oczy, gdy jej dłoń powędrowała w dół jego marynarki, otrzepując z niej resztki kory i gałązek. Potem Annabelle ujęła go za ramiona, poprawiła marynarkę, po czym odsunęła się i otaksowała go wzrokiem.

- Resztą możesz zająć się sam - oświadczyła.

Dzięki Bogu. Gdyby zaczęła czyścić mu spodnie, musiałyby ją odepchnąć.

- Włosy. Wyglądasz jak satyr, tyle w nich liści. Przesesał rękami włosy, potrząsnął głową, a potem otrzepał spodnie.

- No to słucham. - Stanęła przed nim z rękami na biodrach i wreszcie spojrzała mu w oczy.

- Ja... Chodźmy na chwilę do oranżerii.

Potrząsnęła głową.

- Nie mogę. Sprzątnięcie tego bałaganu na górze zajmie mi co najmniej godzinę.

- Ale przecież wyszłaś stamtąd.

- Tylko dlatego, żeby nie zacząć krzyczeć z frustracji. Zamiast jednak ochłonać, znowu przeżyłam szok, bo spadłeś na mnie jak kamień z nieba.

Włożył ręce do kieszeni spodni.

- No dobrze. Tam na górze zrobiłem z siebie durnia, więc przyszedłem tutaj i włożyłem na drzewo, żeby się uspokoić i zastanowić, jak mam cię przeprosić. A kiedy wyszłaś, straciłem równowagę.

- Mogłeś mnie ostrzec, że tu jesteś.

- Wiem. Przepraszam.

- Nigdy nie żywiłam zbytnej sympatii do szpiegów.

- Nie szpiegowałem cię - skłamał. - Zawsze wydawało mi się, że jestem dobrze wychowany. Naprawdę przepraszam.

- Przyjmuję twoje przeprosiny - powiedziała i odwróciła się, zamierzając wrócić do domu.

On zaś odniósł wrażenie, że w ogrodzie robi się ciemno.

- Poczekaj! - Wyciągnął w jej stronę rękę. - Może byś poszła ze mną na kolację?

- Co?

- Kolacja. Ja, ty, dziś wieczór.

- Teraz już rozumiem. Zwariowałeś. - Wskazała dom. - Chyba jest pan z kimś umówiony, panie prokuratorze okręgowy. I ta pani pewnie zastanawia się, gdzie się pan, u diabła, podziewa.

Pozwolił jej odejść, a sam oparł się o pień starego ukochanego drzewa. To niemożliwe! To wszystko jest takie nierealne. Matka musiała dolać jakiegoś napoju miłosnego do jego herbaty, kiedy siedzieli w salonie i czekali na Brittany. A może to guz mózgu lub jakiś mały wylew? Przecież w kategoriach racjonalnych nie da się tego wszystkiego wytłumaczyć.

Znowu przymknął oczy. Cokolwiek się stało, musi wszystko naprawić, dokonać egzorcyzmów, odczynić czar, zanim to coś go pochłonie, unicestwi jego plany, przekreśli cele i zamieni resztę jego życia w nieszczęsny, beznadziejny pościg za kobietą, która nie tylko pod każdym względem jest dla niego nieodpowiednia, lecz najwyraźniej nawet go nie lubi.

- Co ty takiego wyprawiałeś? - spytała Elizabeth syna. - Wyglądasz okropnie.

- Och, potknąłem się na patio. Było ślisko.

- Aha. - Jeśli nawet mu nie uwierzyła, nie dała tego po sobie poznać. - Brittany i ja zaprojektowałyśmy suknię. Jest wystarczająco stylowa, żeby się w niej pokazać na balu kostiumowym, i wystarczająco współczesna, żeby nie raziła na koncercie symfonicznym lub przyjęciu podczas karnawału.

- Czy mogę obejrzeć projekt?

Brittany roześmiała się. Jeszcze nie tak dawno ten dźwięk go urzekał, teraz jednak odebrał go jak nie miły zgrzyt.

- Nie, nie możesz, ty niegrzeczny chłopcze. To przynosi pecha!

Rozsiadła się wygodnie na kanapie, podczas gdy matka wzięła notatnik, pozbierała albumy i zniosła wszystko do stojącej w rogu szafy.

- Tylko w przypadku sukien ślubnych - zauważała.

Brittany zaśmiała się cicho, a Ben uznał, że chyba się najadł szaleju, skoro tak gwałtownie i tak diametralnie zmienił zdanie o tak pięknej kobiecie. Zamrugał oczami i na przekór wszystkiemu zapragnął, by Brittany - ta dawna Brittany, którą lubił - natychmiast tu wróciła.

Niestety. Był w stanie nadal docenić jej urodę, nie poruszała go jednak bardziej niż marmurowa rzeźba.

- No, dzieci, jedźcie na kolację - rzekła Elizabeth. - Ja mam swoje plany.

Ben rozpaczliwie usiłował znaleźć pretekst, by się wykręcić od wspólnego wyjścia, lecz był na to zbyt dobrze wychowany, a Brittany przecież niczego złego nie zrobiła. Odpowiedzialność za to, co się stało, spoczywała wyłącznie na nim - na nim i na tej jego matce wiedźmie, która rzuciła na niego czar. A może to tylko taka dwudziestoczterogodzinna grypa? W takim razie jest nadzieja, że obudzi się rano wyleczony z Annabelle.

Usłyszał, jak obie kobiety powoli opuszczają salon, i udał się za nimi w stronę drzwi. Na pożegnanie matka i Brittany ucałowały powietrze obok swych policzków.

- Jedziesz, kochanie? - spytała Brittany.

- Zaraz będzie wolny - odparła Elizabeth. -
Przyjechaliście dwoma samochodami, prawda?

Wyraz irytacji, który pojawił się na twarzy Britnany, zniknął tak szybko, że Ben nie był pewien, czy się nie pomylił.

- Oczywiście. Wobec tego do zobaczenia w klubie - powiedziała i pogładziła go po policzku.

Stał w progu obok matki i patrzył, jak jego „dziewczyna” wsiada miękkiem ruchem do samochodu, macha im ręką i odjeżdża.

- To piękna kobieta - oznajmiła Elizabeth.

- Aha.

- I wyjątkowo bystra.

Nie zabrzmiało to jak komplement.

- W tej sukni, którą zaprojektowałyśmy, będzie wyglądała znakomicie. Tatuś, jak sądzę, ma pieniądze?

- Podobno całe wory.

- Czy mam już zacząć projektować jej suknię ślubną?

- Nie, nie. Jeszcze trochę poczekaj.

- Aha. - Matka spojrzała na niego spod przy-mrużonych powiek. - To niemożliwe, żebyś tak szybko zmienił zdanie.

Zignorował jej uwagę.

- Jeśli zaraz nie wyjdę, przypadnie mi rezerwacja w klubie. - Ucałował matkę pospiesznie i wybiegł na podjazd.

- Czy przyprowadzisz ją na moją czwartkową kolację? - zawołała Elizabeth.

Cholera! Te legendarne czwartki matki...

- Nie wiem. Zadzwonię.

- Świetnie. To nie musi być Brittany, wiesz. Może być każda inna, pod warunkiem, że nie będzie miała pusto w głowie.

- Oczywiście.

Wsiadł do samochodu i ruszył przed siebie o wiele za szybko, zwłaszcza że ulica była bardzo wąska. Przestraszył niską kobietę, która spacerowała z wielkim mastiffem. Pomyślał, że powinien przystanąć i ją przeprosić, bo zapewne jest to jedna z sąsiadek matki, choć nigdy nie została mu przedstawiona. Kobieta

ta jest poza tym częścią jego potencjalnego elektoratu, jeśli zechce walczyć o fotel prokuratora okręgowego.

Musi pamiętać, że jest przede wszystkim prawnikiem, a dopiero potem mężczyzną.

Niech to szlag!

ROZDZIAŁ DRUGI

Annabelle zamknęła drzwi od ogrodu i oparła się o nie, założywszy ręce do tyłu. Zamknięcie zasuwki nic nie da. Ben najzwyczajniej w świecie obejdzie dom dookoła, a tam jego matka otworzy mu drzwi frontowe, zakładając, że Ben nie ma własnych kluczy do ich rodzinnej posiadłości.

Serce biło jej jak szalone, żyłki w skroniach pulsowały, a nad górną wargą zebrały się kropelki potu, mimo że dzień był dość chłodny, jak to na początku kwietnia.

„Krewny mojego wroga to mój wróg”. Babka wbijała jej te słowa do głowy od najmłodszych lat, a teraz odchodziła od zmysłów, bo Annabelle podjęła pracę u Elizabeth, byłej żony Hala Jacksona. A gdyby babka jeszcze się dowiedziała, że wnuczce spodobał się syn Hala...

Bo to była prawda. Właściwie Ben zawsze ją pociągał, chociaż ostatni raz widziała go wiele lat temu, przed jego wyjazdem na studia. Wiedziała oczywiście o śmierci Judy Bromfield: zginęła latem owego roku, w którym Ben ukończył szkołę średnią. To

wszystko było takie okropne, zwłaszcza gdy wyszło na jaw, że to właśnie ojciec Bena doprowadził do tego, iż człowieka, który zgwałcił i zamordował Judy, zaledwie dwa miesiące wcześniej uwolniono od zarzutu popełnienia innej zbrodni.

Annabelle zapamiętała Bena jako radosnego, dowcipnego chłopaka, któremu wszystko się udawało. Teraz jego głos brzmiał właściwie zawsze tak samo; w nim samym wyczuwała jednak chłód, a w oczach dostrzegła lęk. Znała tego rodzaju spojrzenie - codziennie widziała je w lustrze podczas porannej toalety.

Wtedy, w szkole średniej, uważała go za swego najlepszego kolegę, bo traktował ją tak samo jak wszystkich. Teraz zaprosił ją na kolację, a ona chciałaby pójść, ale nie miała odwagi przyjąć jego zaproszenia. Uznała bowiem, że musi unikać pokus jak zarazy, jeśli nie chce stać się taką samą ladacnicą jak matka. Tymczasem dreszcz, jaki nią wstrząsnął, gdy otrzepywała ubranie Bena, wskazywał na to, że powinna unikać go jak ognia.

A do tego wszystkiego Ben jest synem Hala. Babka wpadnie w szal, jeśli się dowie. Jakby nie dość było tego, że ona, Annabelle, pracuje u jego matki...

Ale jakże inaczej miałyby zarobić na swe utrzymanie, nie wspominając już o tym, że nie może stracić umiejętności zawodowych i wypaść z rynku.

Gdy wróciła do Memphis, by zaopiekować się babką, propozycja pracy od Elizabeth spadła jej jak z nieba. Zawodowo może na tym tylko zyskać. W dodatku dzięki tej pracy miała zapewnione mieszkanie na czas pobytu w Memphis.

Albowiem na to, by zatrzymać się w domiszczu babki, przystać nie mogła. Kiedy przed paroma laty odlatywała stąd do Nowego Jorku studiować wzornictwo, poprzysięgła sobie, że nigdy więcej w tym domu nie zamieszka.

Elizabeth zaproponowała Annabelle mieszkanie nad dużym garażem, przerobionym z dawnej powozowni. Umeblowane zostało ze smakiem - Elizabeth nigdy nie robiła niczego połowicznie. Było prawie tak duże jak mieszkanie Annabelle na poddaszu w SoHo na południowym Manhattanie, i miało nawet kominek.

Już pierwszego dnia Annabelle zsunęła do kąta część mebli, ustawiła blat na kobyłkach i wniosła dwie maszyny: jedną do szycia, drugą do obrzucania szwów. Teraz mogła pracować u siebie do późna w nocy. To było lepsze niż kładzenie się spać, bo jej sny... Kiedy mieszkała u babki, nękały ją koszmary. Tabletek brać nie chciała - rzeczywistość była tak trudna, że wzdrażała się na myśl o zniekształcaniu jej dodatkowo środkami nasennymi.

Powoli ruszyła w stronę schodów Wiodących do pracowni. Jak można czekać na śmierć babki jako dzień

ostatecznego wyzwolenia? Tylko potwór może się tak zachować. A ja jestem potworem i nim pozostanę, pomyślała. Zresztą, tu każdy spodziewa się po mnie potwornych czynów.

Ben poznał ją od razu - stąd to jego zakłopotanie po tym, kiedy wyrwała mu się pogróżka o zamordowaniu własnej matki. W Nowym Jorku nikt by tego tak nie skojarzył. Tam nikt nie uważał Annabelle za diabelskie nasienie.

- Dobrze się czujesz? - Zgrubiałe palce, w których Marian Wadsworth trzymała igłę, znieruchomiały na chwilę, a wenecka koronka opadła na kolana.

- Tak. - Annabelle odrzuciła włosy do tyłu po raz pięćdziesiąty tego dnia. - Ogołę się do skóry jak buddyjska mniszka.

- Kiedy odrosną, będą jeszcze gorsze.

Annabelle podniosła z podłogi trzydziestocentymetrowy kawałek jedwabnej lamówki i związała włosy w koński ogon. Nie miała przy sobie gumki, a wiedziała, że lamówka ześliznie się z włosów mniej więcej za godzinę. Schylając się po nią, w szparze między deskami zauważyła błysk pajetki. Potem zobaczyła następną, toteż na czworakach zaczęła szukać reszty.

- To zabawne - rzekła pod nosem. - Ben Jackson prawie na mnie spadł.

- Co ty mówisz?

- Był na gałęzi tego starego dębu. Nawet nie wiedziałam, że tam siedzi, a potem nagle spadł mi pod nogi jakby z nieba.

Marian zaśmiała się i podniosła koronkę.

- W dzieciństwie zawsze wlaźił na to drzewo, kiedy chciał się schować. - Spoważniała. - Po śmierci Judy spędził na nim właściwie całe lato. Można powiedzieć, że tam przesiedział całą żałobę. Jak on się teraz miewa? Dobrze?

- Tak, Marian, twój ulubieniec miewa się dobrze, i ja także.

- To widzę, Belle, dlatego spytałam o niego.

- Otrzeptałam go i kiedy wszedł do domu, na ubraniu już nic nie było widać. A, mam cię! - zawołała, wyciągając ze szpary następną pajetkę.

- On był zawsze taki czysty! Jego ubranie po szkole wyglądało jak przed wyjściem z domu. - Marian z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

- A ja - odparła Annabelle - wyglądałam jak po bitwie już dziesięć sekund po ubraniu się. Babcie doprowadzało to do szału. - Usiadła na piętach, nie spuszczać wzroku z podłogi.

- Jak ona się czuje?

- Dziękuję, chyba dobrze. Nie miałam ani jednego telefonu od opiekunki czy pielęgniarki, czy też jak tam one się dziś nazywają. Drogie są te panie, zważywszy na to, że po prostu siedzą i oglądają w telewizji seriale.

- Może pani Mayhew zrobi trochę więcej.

- Ona rzeczywiście sprawia wrażenie bardzo sumiennej. W pokoju babci i w łazience jest czysto, dba też o swój pokój i łazienkę, ale chyba będę musiała zamówić ekipę do sprzątnięcia reszty domu, bo niedługo zupełnie zarośnie brudem.

- Nawet nie próbuj. Ten dom jest wielki jak stadion olimpijski. - Marian pochyliła się nad igłą. - I tyle w nim różnych cennych bibelotów i mebli. Może byś poprosiła o pomoc Jonasa?

- On ma dość pracy w ogrodzie. Przynajmniej na ogród sąsiedzi nie narzekają. No i Jonas nie jest już taki młody, jak wiesz. Robi poza tym zakupy i wozi ją do lekarza.

- Jak długo masz zamiar to ciągnąć?

Annabelle ścisnęła dłońmi obolałe mięśnie ramion.

- Tak długo, jak długo będę musiała. Ona zawsze się panicznie bała domów opieki. Nie mogę jej tego zrobić.

Marian mruknęła coś pod nosem i odgryzła nitkę.

- CO?

- Nieważne.

- Nie odgryzaj tak nitki, jeśli na starość chcesz mieć zęby, i przestań mamrotać. Powiedz mi wyraźnie, co mówiłaś.

Marian wzięła do ręki nożyczki, które wisały na jedwabnym sznurku na jej szyi, i ostentacyjnie od-

cięła koniuszek odgryzionej przed chwilą nici. Potem westchnęła i spojrzała na Annabelle.

- Powiedziałam, że tej starej wiedźmie dobrze by to zrobiło.

Annabelle podniosła z podłogi ostatnią pajetkę i wstała.

- Nie umieszczę jej w domu opieki także dla spokoju sumienia.

- Och, przestań! Wbij sobie wreszcie do głowy, że nie ponosisz żadnej winy za to, co przydarzyło się twojej matce. Ojciec się do wszystkiego przyznał i poszedł za to siedzieć.

- Żeby mnie uratować, zapomniałaś dodać. Wszyscy o tym wiedzą. Babcia...

- Victoria Langley to jadowita żmija, która zrobiła, co mogła, żeby zniszczyć wszystkich, którzy się pojawili na jej drodze. Jeden Pan Bóg wie, dlaczego sprawiało jej to tyle przyjemności.

- Wzięła mnie do siebie i bardzo się o mnie troszczyła - zaprotestowała Annabelle. - To bardzo nieszczęśliwa kobieta.

- Och, nie wątpię. Nie czyń drugiemu, co tobie niemiłe, mówi ewangelia. Ona sprzeniewierzyła się tym słowom, ale nie wyciągnęła z tego wniosków. Żaden z jej złych uczynków nie sprawił jej ani przyjemności, ani nie uczynił jej szczęśliwszą. Ona jest jak ta jadowita ropucha - im więcej jadu zużywa, tym więcej go produkuje.

- No wiesz, Marian! Wiedziałam, że jej nie lubisz, ale nie miałam pojęcia, że jej wprost nie cierpisz. Co ona takiego ci zrobiła?

- Wystarczy, że wiem, co zrobiła tobie. Wytworzyła w tobie takie poczucie winy, że rzuciłaś pracę w Nowym Jorku i przyjechałaś się nią opiekować. - Marian pociągnęła nosem i wierzchem dłoni otarła oczy. - Ja bardzo się cieszę, że tu jesteś, ale robi mi się niedobrze, kiedy myślę o tym wszystkim.

Annabelle włożyła pajetki do kieszonki koszuli, po czym podeszła do Marian i położyła jej dłoń na ramieniu.

- Z całej rodziny została mi tylko ona. A poza tym sama już nieźle narozrabiałam, zanim ona wzięła mnie do siebie.

- Nieprawda. - Marian położyła rękę na dłoni Annabelle. - Byłaś małą zahukaną dziewczynką. A po tych wszystkich latach spędzonych w towarzystwie tej harpii... potrzebujesz chyba dziesięciu lat terapii.

- Och, bardzo ci dziękuję - zaśmiała się Annabelle trochę gorzko. - Mam za sobą całe lata terapii. Inaczej pewnie bym już nie żyła. W swoim środowisku funkcjonuję znakomicie, ludzie się mnie nie czepiają. Bardzo jest fajnie, mieć przyjaciół, którzy cię rozumieją.

- Ja bym dopiero była zadowolona, gdybyś zro-

biła to wszystko, co pomogłoby ci wyjść na prostą. Czy rozumiesz mnie?

- Tak, proszę pani. - Annabelle zasalutowała. - A teraz powiedz mi, gdzie jest ten kawałek koronki, który zabrudziłam krwią? Muszę go przeprać w zimnej wodzie.

Marian ruchem głowy wskazała niski stolik.

- Tam. Ale plama nie jest duża.

- Zaniosę go do siebie i namoczę w zlewie. A po pracy upiorę.

- Już jest po pracy. - Marian odłożyła igłę i tamborek. - Jutro poprawię ten wzór.

- Robisz rzeczy niewiarygodne, panno Marian - rzekła z podziwem Annabelle. - Nikomu nawet nie przyjdzie do głowy, ile wycierpiała ta koronka, zanim Elizabeth ją uratowała.

Marian roześmiała się radośnie.

- A teraz będzie żyła nowym życiem w sukni hrabiny takiej to a takiej na otwarciu sezonu w operze paryskiej, albo w sukni pani ropy teksaskiej na ślubie jej córki. Dobra w tym jestem, prawda? - Spojrzała na swe dzieło z satysfakcją. - Wiesz, nikt z wyjątkiem Bena nie nazywał mnie panną Marian. Czytałam mu wówczas opowieści o Robin Hoodzie. Już wtedy miał ochotę naprawiać wszystkie błędy świata.

- Pasuje to do ciebie.

- To prawda, niestety. - Ostrożnie rozłożyła kre-

mową koronkę na stole pokrytym zielonym filcem. - Właściwa robota już jest skończona, to znaczy zrobiłam już frywolitki. Teraz muszę to wszystko jeszcze połączyć, żeby się nie strzepiło. - Wstała, zdjęła połówki okularów, włożyła je do skórzanego etui leżącego na stole, a potem wyciągnęła z kieszeni czerwone etui i wyjęła z niego okulary dwuogniskowe. - No, teraz wreszcie dobrze cię widzę - rzekła do Annabelle. - I muszę ci powiedzieć, że wyglądasz strasznie. Idź do domu, włącz telewizor, poczytaj książkę albo pójdz do kina lub umów się z koleżanką ze szkoły. W każdym bądź razie wyjdź stąd i coś z sobą zrób.

- Nie. - Annabelle ostrożnie złożyła delikatną białą koronkę, owinęła ją bibułką i ruszyła za Marian w stronę drzwi. - Nie zrzedź tak, nic mi nie jest. Nastawię Mozarta albo Rolling Stonesów, zrobię sobie coś do jedzenia, włożę tę koronkę do wody i pobiegnę zobaczyć, co u babci. Nie mam czasu na nic więcej.

Zgasiła w pracowni światło i razem z Marian tylnymi schodami zeszły na dół, gdzie się pożegnały. Gdy poprzez wahadłowe drzwi Annabelle przechodziła do głównej części domu, zaciekawiło ją, czy Ben i jego obecna flama są jeszcze w salonie z panią Jackson.

Uważała go za najprzystojniejszego, najbardziej charyzmatycznego mężczyznę, jakiego znała, ale dla

niej był teraz znacznie mniej dostępny niż w czasach, kiedy kończył szkołę, a ona ją zaczynała.

- Kotu wolno popatrzeć na spyrkę - szepnęła i uchyliła lekko drzwi.

W salonie ujrzała nie Bena, lecz Brittany, która siedziała na kanapie ze skrzyżowanymi nogami i z ramionami wyciągniętymi na oparciu. Jej idealnie obcięte, jasne włosy sięgały ramion i pięknie kontrastowały z opaloną skórą.

Annabelle zamknęła cicho drzwi. Za wysokie progi... Brittany wygląda jak Claudia Schiffer, a ona... jak kobieta z jaskini.

Przebiegła dziedziniec i otworzyła drzwi do małego korytarzyka, z którego wchodziło się po schodach do mieszkań przeznaczonych przez Elizabeth na lokale gościnne. Schody były tu wąskie i zdradliwe, pokrywał je jednak miękki chodnik. Ściany pomalowano na jasnożółty kolor i ozdobiono kwiatowym szlaczkiem biegnącym równoległe do poręczy.

W swym mieszkanku Annabelle zrzuciła drewniaki, które nosiła w pracowni, po czym wyjęła z kieszonki pajetki i ostrożnie umieściła je w kryształowej popielniczce. Ponieważ nie paliła ani też nie pozwoliłaby zapalić nikomu w pobliżu tak delikatnej materii jak koronki, popielniczka była czysta. Potem wyjęła ostrożnie białą koronkę z bibułki, rozłożyła ją na stalowym blacie zlewozmywaka, po

czym napełniła miskę wodą, do której wsypała cały pojemnik kostek lodu. W końcu dokładnie przyjrzała się materii.

Był to spory kawałek - liczył kilka metrów długości. Annabelle szukała zaplamionych miejsc, bo tylko te miała namoczyć. Gdyby zanurzyła w wodzie cały kupon, ważyłby potem z tonę; istniało także ryzyko, że pozrywają się delikatne połączenia. O, jest pierwsza plama. Nie do wiary, że zwykłe ukłucie igłą może poczynić takie spustoszenie.

- I kto by pomyślał, że stary człowiek ma w sobie tyle krwi? - rzekła bezwiednie, przypominając sobie, jak jeden z jej przyjaciół aktorów powiedział kiedyś, że cytowanie „Makbeta” przynosi nieszczęście.

Włączyła małą lampkę nad zlewem, ponownie przyjrzała się koronce - i zamarła. Potem z jej gardła wydobył się zduszony okrzyk. Koronka w jej dłoni ociekała krwawą posoką, skórę pokrywała świeża krew.

Przecież aż tak się nie skaleczyła!

- Nie! - krzyknęła, upuściła koronkę i odwróciła się od zlewu, czując, że robi jej się niedobrze. - Nie!

Świat zawirował, obraz stracił ostrość. Po chwili, która w jej odczuciu trwała wieczność, odetchnęła głęboko i odwróciła się w stronę zlewu. Bała się spojrzeć na rękę, lecz gdy to zrobiła, okazało się,

że są suche i czyste. Na koronce widniało osiem lub dziewięć brązowych plamek. Patrzyła na nie zdumiona, a potem potrząsnęła głową.

- To chyba gra świateł. Albo zachód słońca za oknem...

Uświadomiła sobie, że mówi na głos. W cichym pokoju jej głos zabrzmiał jednak kojąco.

- Jestem głupia - powiedziała głośno i wyraźnie. - Powinnam zbadać oczy. - Potarła kostkę pośrodku nosa, na której przez cały dzień opierały się połówki okularów. - To wszystko przez tego Bena. On spadł z drzewa, a ja mam wstrząs mózgu i halucynacje.

Wsunęła zakrwawiony kawałek delikatnej materii do wody i sięgnęła po ręcznik. Gdy wytarła dłonie, przez długą chwilę uważnie mu się przyglądała, spodziewając się, że ujrzy na nim krew. Co za koszmar...

Podeszła do szafki w kącie pokoju, w której znajdowało się stereo i telewizor. Nie chciała słuchać dziennika - wiadomości są na ogół złe. Udręki miała dosyć na całe życie. Przejrzała natomiast swój skromny zbiór płyt kompaktowych. Vivaldi? Mozart? Zbyt ułożeni, zbyt optymistyczni. Jej potrzebny był strach. Znalazła starą wersję „Kindertotenlieder”, pieśni dla zmarłych dzieci Mahlera. Wspaniale. Przeżycia obecnego w tych pieśniach wystarczy na sto lat. Ale te pieśni kończą się triumfalnie...

W prawdziwym życiu to się jednak nie zdarza. W prawdziwym życiu człowiek po prostu brnie przed siebie i ma nadzieję przetrwać, nie narażając na szwank ani umysłu, ani ciała, a także czyniąc wokół jak najmniej krzywd. W jej przypadku na to wszystko jest już za późno.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kiedy kolacja podgrzewała się w kuchence mikrofalowej, Annabelle usiadła w żółtym klubowym fotelu koło pustego kominka i skuliła się w kłębek. Przetarła oczy, powiodła palcami po twarzy. Gdy dotknęła policzków, zdała sobie sprawę, że jej dłonie są spocone i drżą.

No więc co było z tą koronką? Może sobie wmawiać, że to gra świateł, ale przecież siebie nie oszuka. Jonas opowiadał jej kiedyś, jak to gubernator Huey Long z Luizjany pokazywał wszem i wobec sfałszowane zaświadczenie zwolnienia ze szpitala psychiatrycznego jako dowód swego zdrowia psychicznego. Gdyby miała takie zaświadczenie, mogłaby na nie spojrzeć i powtarzać sobie: „Widzisz? Jeszcze nie zwariowałaś”.

Tymczasem w razie potrzeby może jedynie zadzwonić do kilku znakomitych psychoterapeutów z prośbą, by zaświadczyli, że nie jest bardziej zwariowana niż tak zwani zdrowi ludzie.

No dobrze, nie znosiła przyjęć, poznawania nowych ludzi i przemawiania publicznie. Ale halucy-

nacje? Nigdy w życiu nie miała halucynacji, nawet w okresach najgorszych koszmarów sennych.

Jeśli zaś chodzi o te koszmary... Nie nawiedzały jej już od kilku lat, lecz znów zaczęły ją nękać, gdy powróciła do Memphis i podjęła pracę u żony mężczyzny, który dawno temu nie zdołał skutecznie obronić jej ojca. Dlaczego? Przecież ta kobieta i ten mężczyzna są już rozwiedzeni. Hal Jackson zniknął kilka lat temu, wtedy kiedy zniknął także jej ojciec.

Vickie, z którą Annabelle wynajmowała w Nowym Jorku mieszkanie, błagała ją, by nie opuszczała miasta. Annabelle jednak nadal płaciła za połowę mieszkania, tak że przyjaciółka nie musiała szukać towarzyszki, a Annabelle mogła w każdej chwili wrócić na swoje miejsce. Razem z Vickie włożyły mnóstwo pracy w urządzenie strychu w SoHo, a dziś nie znalazłyby niczego podobnego za przystępną cenę.

Rodzina to jednak rodzina. Właściwie tylko rodzina się liczy. A babcia potrzebowała Annabelle, ponieważ z całej rodziny pozostała jej tylko ona. Gdy przed laty Annabelle nie miała co z sobą począć, babcia nie wahała się ani chwili "i przyjęła ją pod swój dach.

Ubierała ją i karmiła, wysłała do najlepszych szkół, czasami nawet próbowała zachowywać się jak prawdziwa babcia. Nie ponosiła winy za to, że

jej się nie powiodło. Była z natury potworem, zaś straszliwe okoliczności, w wyniku których przyszło jej zająć się Annabelle, zniszczyły uwielbiany przez nią styl życia i uczyniły z niej zgorzkniałą samotnicę.

Bez znaczenia pozostawał fakt, że za tę opiekę Annabelle zapłaciła wysoką cenę w postaci psychicznego okaleczenia. Babka zrobiła wszystko, co mogła, i starała się to robić najlepiej, jak umiała. A teraz przyszła kolej na Annabelle - tak właśnie funkcjonuje rodzina.

Annabelle nie była w stanie zajmować się babcią z odległości dwóch i pół tysiąca kilometrów ani kontrolować pracy owych nieznanych kobiet, które pojawiały się i znikwały tak często, jak często trzeba było zmieniać babce pościel.

Pół roku to niewielkie zadośćuczynienie za wszystkie lata kurateli i finansowanie szkół. Doktor Renfro powiedział, że jego zdaniem babka nie pożyje dłużej niż sześć miesięcy. Annabelle bała się chwili, gdy przyjdzie jej na zawsze pożegnać się ze starą kobietą. Łączyła je niezmiennie tyle samo miłość, co nienawiść, lecz z chwilą śmierci babki zniknie ostatnia nić, jaka wiąże ją jeszcze z domem, i od tej pory Annabelle będzie już tylko się unosić na powierzchni zdarzeń.

Rozległ się pisk kuchenki mikrofalowej. Annabelle wyłączyła płytę i nastawiła telewizor. Wiado-

mości się skończyły. Właśnie zaczęła się jakaś komedia sytuacyjna, toteż wreszcie usłyszała wokół siebie ludzkie głosy i wybuchy śmiechu. Postawiła talerz na tacy, usiadła z powrotem w fotelu i zjadła kolację, nie zwracając uwagi na to, co dzieje się na ekranie.

Gdy nieco później poczuła w skaleczonym palcu pulsowanie, posmarowała ranę maścią z antybiotykiem i owinęła bandażem. Ból jednak nie przechodził. Niech diabli wezmą tego Bena! Na myśl o nim poczuła się trochę nieswojo. Na wszelki wypadek spojrzała na koronkę, rozłożoną teraz na białej tekturze na stole, i odetchnęła z ulgą. Dobrze, nie ma żadnej krwi.

Po kolacji musiała pojechać do babki, by sprawdzić, czy obecna opiekunka nie zrezygnowała - jak wiele z jej poprzedniczek - z pracy, lub czy babka nie rozbiła jej głowy srebrną tacą. To zdumiewające, jak babka stawiała się silna, kiedy wpadała w złość. Tym bardziej zdumiewające, że gdy leżała w swym wielkim łóżu, wyglądała na kruchą jak mały kotek.

Annabelle zgasiała telewizor i zaniósła tacę do kuchni. Potem włożyła swój wielki czarny sweter. Kwietniowe wieczory potrafią być bardzo zimne. Gdy już zmierzała w stronę drzwi, zadzwonił telefon. Niechętnie zawróciła i podniosła słuchawkę.

- Tak, słucham - rzekła, uświadamiając sobie, że jej głos brzmi cierpko.

- Annabelle? Tu Ben Jackson.

- A, Ben. Poznają twój głos. - To jej ciało poznało jego głos, a nie ona, ale przecież mu tego nie powie!

- Słuchaj, chciałbym cię przeprosić za...

- Nie ma potrzeby. Wszystko rozumiem. - Miała zamiar się z nim rozłączyć, gdy dodał:

- Ale ja chciałbym ci to jakoś wynagrodzić.

- To nie jest konieczne, Ben. A teraz się spieszę.

- Och, przepraszam. Wobec tego załatwmy to szybko. Pozwól w czwartek zabrać się na kolację.

- Nie, dziękuję.

- To nie randka, ale wieczór u matki.

- Nie ma mowy.

- Ale wystarczy tylko przejść przez podwórko. Annabelle, przecież musisz coś jeść.

- Pracuję z twoją matką, nie, pracuję dla twojej matki przez pięć dni w tygodniu, i nie wydaje mi się, żeby marzyła o tym, by zobaczyć moją błyszczącą twarz podczas kolacji z tymi wszystkimi osobistościami, które tam bywają.

- To są kameralne wieczory. I pewnie znasz tych ludzi.

- No, no! I to ma mnie skusić?

- Posłuchaj. Wróciłaś do Memphis i nie możesz się ciągle chować nad tym garażem. Musisz czasem wyjść. W Nowym Jorku też żyjesz jak pułstelnica?

- W Nowym Jorku jestem zwykłą Annabelle Langley, a tu... Wiesz, kim tu jestem.

- To stara historia, a ty i tak nie miałaś z nią nic wspólnego. Chodź ze mną, proszę. Choćby po to, żebym się poczuł trochę mniej winny.

- Ben...

- Moim następnym krokiem będzie szantaż.

- Co?

- Poproszę mamę, żeby wywarła na ciebie nacisk.

- To wredne.

- Więc mnie przed tym uchroni. Pójdź ze mną w czwartek na kolację.

Przyłożyła rękę do czoła.

- Dobrze, Ben. Ale nie mam strojów wizytowych.

- Cokolwiek włożysz, będzie dobrze. - Nagle w jego głosie zabrzmiała radość. - Przyjdę po ciebie w pół do ósmej.

- Przyjdiesz? - Zaśmiała się krótko. - Ben, ja mieszkam w domu twojej matki. Nie bądź śmieszny.

- No to wobec tego zawołam cię, dobrze?

- Niech ci będzie. Ale teraz naprawdę muszę gnać do babci.

- Oczywiście. Przepraszam. I do widzenia.

Była pewna, że gdy odkładała słuchawkę, usłyszała, jak Ben mówi do siebie: „Świetnie!”

- Świetnie! - powiedział, wyłączając telefon komórkowy. Zastanawiał się nawet, czyby nie odtańczyć tańca zwycięstwa, uznał jednak, że korytarz toalety męskiej w klubie nie jest miejscem do tego odpowiednim. I tak jeden z przechodzących golfiarzy obrzucił go zdumionym spojrzeniem. Ben uśmiechnął się do niego radośnie i wyszedł, by odszukać Brittany.

Brittany, no właśnie. Co ma począć z Brittany? Nie jest odpowiedzialna za atak jego szaleństwa, lecz teraz nie byłby w stanie odwieźć jej do domu i pójść z nią do łóżka. Nie dziś wieczorem, a właściwie już nigdy. Nie mógłby też jej wyznać: „Brittany, bardzo mi przykro, ale zakochałem się do szaleństwa w nowej projektantce mojej matki”. To byłoby grubiańskie. Kiedyś gdzieś przeczytał, że gdy kobieta zaprasza mężczyznę do łóżka, ten powinien to zaproszenie przyjąć. I on dotychczas tak robił.

Dziś jednak nie miał na to ochoty. Czy to dlatego, że jego płomienny zachwyt tą kobietą powoli się wypalał? Ale czy kiedykolwiek był nią tak naprawdę zachwycony? Czy nie chodziło tu raczej o satysfakcjonujący i pomysłowy seks? Brittany miała wspaniałe ciało i znała się na miłości. Żaden prawdziwy mężczyzna nie odrzuciłby lekką ręką jej zaproszenia.

No więc dlaczego nie może teraz przyjąć jej propozycji? Kogo by to zraniło? Przecież nie Annabelle,

która nie zdaje sobie sprawy z jego uczuć, która zapewne nawet o nim dotąd nie myślała. I nie Brittany, która zapewne nie zrobiłaby niczego, czego dotąd z nim nie robiła. A także nie jego samego...

Aha, chyba właśnie o to chodzi. To zraniłoby właśnie jego. Pójście z kobietą do łóżka z uprzejmości było czymś, co praktykował jego ojciec. Czasem ranił tym rodzinę, lecz głównie kobiety, które uwodził. Ben kiedyś poprzysiągł sobie, że nigdy nie pójdzie w ślady ojca. I teraz ma okazję sprawdzić, czy jest w stanie dotrzymać tego przyrzeczenia.

- Jesteś gotów, kochanie? - Brittany odstawiła filiżankę z cappuccino i wyciągnęła do niego rękę. Ujął ją i pomógł jej wstać. - Ben, skarbie, dobrze się czujesz? - zapytała. - Trochę zbladłeś.

- Przepraszam. Chyba zjadłem trochę za dużo tych pierożków z krabami - odrzekł, idąc z nią do drzwi. - Czy miałybyś coś przeciwko temu, żebym pojechał do domu i się położył?

W jej oczach błysnęła na moment wrogość, po czym Brittany się opanowała i z uśmiechem dotknęła jego policzka.

- Czy chciałbyś, żebym ułożyła cię do snu?

Przywołał na twarz blady uśmiech.

- Myślę, że wszystko będzie dobrze, jeśli wezmę tabletkę i porządnie się wyśpię. A teraz pojedę za tobą do domu i dopilnuję, żebyś bezpiecznie weszła do środka.

- Nie bądź niemądry, skarbie. Przecież mieszkam niedaleko, a mój dozorca jest silny jak tur. Jedź więc do domu, połóż się, a kiedy będziesz zasypiał, pomyśl, co tracisz.

Otworzył drzwi jej samochodu i pomógł jej wsiąść. Był zaskoczony, że nogi Brittaney nadal wywierają na nim wrażenie.

- Mimo wszystko pojedę za tobą - powiedział.
- Proszę, nie spieraj się. Wiem, co się może przytrafić pięknej kobiecie, nawet jeśli ma do przebycia tylko pięć przecznic.

- Jesteś bardzo miły - odparła i posłała mu ręką całusa. - Zadzwonisz do mnie jutro?

Skinął głową i zawrócił w stronę swojego samochodu. To tyle, jeśli chodzi o honor. Trzeba będzie się zastanowić, jak jej powiedzieć o rozstaniu, tak by nie ranić jej dumy. Podejrzewał bowiem, że Brittaney tak łatwo nie da mu spokoju.

- Szszsz! - zasyczał głos z góry. - Ta... pani Langley już zasnęła.

Annabelle weszła na piętro szerokimi schodami z orzechowego drewna, skrzyła na półpiętrze i biegiem pokonała resztę stopni, które prowadziły na balkonik zawieszony nad klatką schodową. Przy każdym jej kroku z orientalnego dywanika wydobywały się tumany kurzu. Pomyślała, że dom trzeba szybko posprzątać, inaczej obejmą go w posiadanie wielkie

brunatne pająki i myszy. Stłumiła odruch kaszlu i zapytała szeptem:

- Jakieś problemy?

Kobieta, która ważyła dwa razy więcej niż Annabelle i miała ramiona wielkości wałka na tapczan, spojrzała w sufit i z westchnieniem powiedziała:

- Dziś było lepiej. Niczym we mnie nie rzuciła.

Annabelle usiłowała przypomnieć sobie nazwisko kobiety. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy przez dom babki przewinęło się tyle opiekunek, że chociaż znała wszystkie z nazwiska - poprzez kontakty z agencją pośrednictwa pracy - poznała zaledwie trzy, albowiem żadna z kobiet nie zagrzała tu miejsca dłużej niż tydzień.

- Dziękuję... - zawiesiła głos - pani Mayhew.

Tak, znakomicie. Beulah Mayhew. Zaczęła tu pracę trzy dni temu.

- Ona tam mi nie wadzi - odparła kobieta. - Niektóre to były jeszcze gorsze. A ta to przynajmniej mało waży. - Zaśmiała się cicho, jej tłuste ramiona się zatrzęsły. - Napiłaby się pani słodkiej herbatki? Zrobiłam sobie na noc termosik.

Annabelle uśmiechnęła się. Żadna z poprzedniczek pani Mayhew nie zaprosiła jej nawet na solone orzeszki.

- Nie, dziękuję. Ale może kiedy indziej, dobrze? A teraz czy mogłabym do niej zajrzeć, tak żeby się nie obudziła?

- Annabelle! - Zza drzwi znajdujących się w głębi korytarza dobiegł gderliwy i nad podziw silny głos. - To ty?

Annabelle opuściła ramiona.

- Tak, babciu - odparła.

Opiekunka przewróciła oczami i szepnęła:

- Proszę się z nią przywitać. Ja niedługo przyjdę i zrobię porządek.

Annabelle ruszyła powoli korytarzykiem, którego podłogę pokrywał chodnik odcięty z cennego dywanu kermanskiego. Właściciel sklepu, który jej go sprzedawał, był zszokowany, babka jednak oświadczyła mu dobitnie, że to jej dywan i może z nim robić, co chce.

Annabelle przywołała na usta stosowny uśmiech, wyprostowała plecy i przekroczyła próg pokoju, który wzbudzał w niej nienawiść od dwudziestu trzech lat.

Pokój był tej samej wielkości co salon, a znajdująca się za nim letnia weranda - pod którą na dole zrobiono solarium - została przeszklona i powstała tam niewielka oranżeria. Zaniedbane rośliny dawno już wymarły, niemniej w pokoju nadal unosił się słaby zapach gnijącej mierzwy połączony z ostrą wonią medykamentów.

Tu z kolei babka zgromadziła całą kolekcję dywanów orientalnych. Stanowiły one zawsze jej pasję. Kiedyś Annabelle domniemywała, że słabość

babki do wschodnich kobierców świadczy o jakimś powinowactwie artystycznym między nimi, sądziła, że babka naprawdę docenia bogatą kolorystykę i przepiękne wzory tych dywanów. Później jednak odkryła, że babka zawsze uważała je za widome oznaki bogactwa. Posiadała je w taki sam sposób, w jaki chciała posiadać wszystko i wszystkich wokół.

Z tego samego powodu bardzo lubiła bogato zdobione meble z okresu poprzedzającego wojnę domową. Orzeł rzeźbiony w drewnie orzechowym po dziś dzień zdobił wysokie wezgłowie łoża, a uchwycony był w momencie, gdy pochylał się nad ofiarą, wyciągając w jej stronę długie szpony. Te szpony całymi latami prześladowały Annabelle w snach, a ich widok do dziś wzbudzał w niej dreszcz.

Babka leżała pośrodku łoża, oparta o miękkie poduszki, których boki obszyte były ręcznie robioną koronką. Miała taki sam ostry nos i przenikliwe oczy jak orzeł nad jej głową. Wraz z wiekiem i postępem choroby podobieństwo to stawało się coraz bardziej wyraziste.

Babka straciła mnóstwo gęstych niegdyś włosów i teraz różowa skóra prześwitywała spod delikatnych białych pasemek, które co tydzień były przycinane i układane przez fryzjerkę, która także robiła jej maniur i pedikiur. W bladych, jasnoniebieskich

oczach babki błyszczała taka sama obłąkana inteligencja jak w oczach orła.

- Chodź i pocałuj mnie, dziecinko, jeśli potrafisz znieść dotyk tej pomarszczonej starej skóry.

Babka pragnie komplementu, pomyślała Annabelle, a więc ma dobry dzień. Ucałowała staruszkę w policzek i poczuła smak francuskiego pudru, którym staruszka obsypywała się nawet w łóżku, oraz zapach drogich, importowanych perfum.

- Nonsens. Ty nigdy się nie zestarzejesz.

- Kłamiesz. - Babka chwyciła dłoń Annabelle i przyciągnęła ją do siebie. - Ta kobieta zadreczy mnie na śmierć - szepnęła. - Już dziesięć razy próbowałam ją wyrzucić, ale nie chce stąd wyjść. Ty musisz się jej pozbyć.

- W jaki sposób cię dreczy?

- Bije mnie. - Babka zrobiła chytrą minę i zerknęła w stronę drzwi. - I kradnie. Ukradła te perły, które dostałam od twojego dziadka w naszą dziesiątą rocznicę ślubu.

- Te perły są w twoim sejfie w banku.

- Ona mnie głodzi. Popatrz na nią, a potem na mnie. Ona je swoją porcję, a potem moją. Dziś nic nie miałam w ustach. - W jej głosie znowu zabrzmiały zrzęдлиwe tony.

Annabelle odsunęła się od babki delikatnie i spojrzała na srebrną tacę stojącą na stoliku nocnym. Pośilek nie był zapewne wyszukany, lecz na pewno

smaczny. Sądząc po nożu i widelcu, które babka po jedzeniu krzyżowała po europejsku na talerzu, pani Mayhew nie zjadła jej kolacji.

- Czy mam ci przynieść kanapkę?

- Kanapkę? - parsknęła babka. - A jakie wino pija się do kanapki?

- Nie możesz pić wina, babciu.

W wyblakłych oczach pojawił się błysk.

- Bo wszystko wypijaś, tak, ty paskudne dziecko? - Z oczu starszej pani popłynęły łzy. - Koniak, który kupił twój dziadek. Szampany. Niczego już nie ma, prawda? Wypijaś i resztę sprzedawaś, co? Tak właśnie robiła twoja matka.

- Nie, babciu. Wino jest, a jedyny klucz do piwnicy masz przecież ty. Zapomniałaś o tym?

- Dorobiłaś sobie zapasowy. Jesteś z nią w zmowie. - Nagle ukryła twarz w poduszce. - Zostaw mnie samą. Wszyscy mnie zawsze zostawiają samą.

- Nie jesteś sama, babciu. Pani Mayhew jest tutaj, ja jestem tutaj, i Jonas.

- Jonas? - Stara kobieta zaśmiała się skrzekliwie.

- Jonas, a to dopiero! - Spojrzała na Annabelle groźnie. - Wynoś się stąd i nie wracaj. Jesteś taka sama jak ona. Zła! Diabelskie nasienie! Poznałam się na tobie od pierwszego dnia. Wynoś się!

Annabelle wstała. Znakomicie zdawała sobie sprawę z tego, że nie rozmawiają już o pani Mayhew, lecz o matce Annabelle. Babka nie znosiła

Chantal i nieustannie przypominała wnuczce, że była jedynym świadkiem wrednych knowań tej kobiety. W obecnej chwili jednak Annabelle pozostawało jedynie opuścić sypialnię. Babka później ją zawoła i oskarży o to, że wyszła, lecz gdyby została, spowodowałyaby następny wybuch. Tak było zawsze.

- Dobranoc, babciu. Śpij dobrze. - Przysunęła się do staruszki, by dotknąć policzkiem jej policzka, i w ostatniej chwili zdołała się odsunąć, unikając zetknięcia z ostrymi czerwonymi paznokciami, które się w jej kierunku wyciągnęły. Paznokcie przypominające szpony orła...

- Powiedziałam wynoś się. Dziwka! Rozpustnica! Popatrz na siebie. Wyglądasz zupełnie jak ona!
- Gdy Annabelle otwierała drzwi, babka usiadła prosto i dodała: - Ilu mężów uwiodłaś w tym tygodniu? Zabiłaś ją, i była to jedyna dobra rzecz, jaką uczyniłaś w tym swoim nędznym życiu!

Annabelle wybiegła, mijając gospodynię, która stała w progu z szeroko otwartymi ustami. Na schodach potknęła się o obluzowany pręt przytrzymujący chodnik i przyklekła, by go wsunąć na miejsce. Nie mogła pozwolić sobie na to, by pani Mayhew skrzyknęła kark.

Gdy wybiegała na dwór przez kuchenne drzwi, usłyszała wołanie babki, lecz nie zatrzymała się. Potem wsiadła do samochodu, zatrzasnęła drzwi, zapaliła silnik i w końcu rozpłakała się jak dziecko. Ze złości, z bólu, z poczucia straty?

Ten wieczór należał do jednego z najgorszych. Wielokrotnie słyszała już o tym, że starzy schorowani ludzie tracą czasem kontakt z rzeczywistością, terazniejszość miesza im się z przeszłością, lecz jej babka miała zawsze sprawny umysł. Niezwykle sprawny.

Annabelle głęboko odetchnęła. W babce zawsze było dużo złości na życie, a teraz nie miała już na co czekać z wyjątkiem śmierci. Musiało jej być ciężko patrzeć na wnuczkę, którą tyle jeszcze w życiu czeka. W takich chwilach Annabelle miała ochotę ziać nienawiścią do tej okropnej staruchy, ale, jak wyjaśniła Marian, ta starucha była wszystkim co miała. Wszystkim - od chwili zniknięcia ojca.

Gdy mijała wyszukanej konstrukcji garaż na cztery samochody, zobaczyła, że na piętrze pali się światło. Dopiero dziewiąta, może więc wpaść do Jonasa? Uznała, że przedtem jednak wypada zadzwonić, toteż wyjęła telefon komórkowy i wybrała numer, a gdy Jonas odebrał, poinformowała go, że jest na dole i spytała, czy może go odwiedzić.

- Oczywiście, panno Langley - odparł.

Kiedy otworzył drzwi, objęła go na powitanie.

- Dlaczego mówisz do mnie „panno Langley”?
- spytała z pretensją w głosie.

Odsunął się i wpuścił ją do swego przytulnego saloniku. Na oparciu fotela leżała otwarta książka, tuż obok stała lampa. Pokój był umeblowany od-

rzutami z dużego domu, lecz dywany były drogie i piękne. A Jonas przynajmniej doceniał ich urodę.

- Jest pani już dorosła. Nie powinienem mówić do pani po imieniu.

- Nonsens. Dla ciebie zawsze będę Annabelle. Masz piwo? - Opadła na kanapę obitą brązowym aksamitem i oparła głowę o ścianę. Nerw po prawej stronie jej czaszki gwałtownie pulsował. Pomasażowała delikatnie skroń i pomyślała, że mimo wszystko zdoła chyba zasnąć.

- Zwykłe czy bezalkoholowe?

- Bezalkoholowe, jeśli mam wybór. - Poklepała się po udach. - Zawsze bezalkoholowe. I wypiję prosto z butelki, jeśli pozwolisz.

Podał jej oszronioną butelkę o smukłej szyjce, a sam z drugą butelką w dłoni usiadł w fotelu naprzeciwko.

- A potem głośno bekniesz?

Annabelle zaśmiała się serdecznie.

- Jak najgłośniej. Tak żeby mnie słyszała. Szkoda, że nie żuję tytoniu, bo mogłabym jeszcze charkać i pluć.

- Dała ci się dzisiaj we znaki? Miała zły dzień?

- Owszem. Mówi, że pani Mayhew ją bije, okrada i głodzi.

- Nonsens - prychnął. - Znam się na ludziach i mogę ci powiedzieć, że Beulah Mayhew jest zna-

komitą opiekunką. I mam nadzieję, że nie odejdzie. Kiedy wracasz do Nowego Jorku?

- Nie mogę, Jonas. Nie tak zaraz.

- Powinnaś stąd wyjechać jak najszybciej, a ją umieścić w domu opieki. Wiem, że tego nie chcesz, ale niektóre z tych domów są dobre. Sprawdziłem.

- Nie mogę jej opuścić. - Annabelle potrząsnęła głową. - Niechętnie to przyznaję, ale ona mnie nie opuściła, a mogła.

- Nie. Ona dopilnowała tego, żebyś za jej hojność zapłaciła każdym dniem swojego młodego życia. - Jego twarz zaszepiła się. - Są takie dni, że sam mam ochotę ją zabić.

Annabelle wstała i postawiła butelkę na blacie obok zlewu.

- Zamkną cię i co ja wtedy zrobię? Jesteś moim jedynym przyjacielem. Dzięki, Jonas. I jeszcze jedno: dziedziniec wygląda bardzo ładnie.

- Robię co mogę. Dziś trudno o przyzwoitą pomoc.

- Ale przynajmniej pieniądze nie są problemem. W każdym bądź razie nie dla niej.

- A dla ciebie?

- Teraz nie. - Ucałowała jego szorstki policzek.

- Jeśli będziesz potrzebowała pieniędzy, daj mi znać. Trochę odłożyłem.

- Wystarczy mi, Jonas, naprawdę. Elizabeth płaci

mi lepiej, niż zasługuję, i mieszkanie tu mam też za darmo.

- Ale jak by co, to pamiętaj o mnie.

- Zawsze o tobie pamiętam. Bez ciebie nigdy bym tak daleko nie zaszła. A jeśli jeszcze kiedyś nazwiesz mnie panną Langley, zemszczę się.

Zbiegła na dół i na dworze pomachała mu na pożegnanie. Gdy oddalała się już od rezydencji babki, w tylnym lusterku widziała Jonasa stojącego w otwartych drzwiach mieszkania nad garażem.

W domu przed pójściem spać ostrożnie opakowała suchą koronkę w specjalną bibułkę. Plamy na szczęście zniknęły. Koronka ta została odzyskana z sukni ślubnej z początku dwudziestego wieku. Jeśli się uda, będzie służyć innej pannie młodej. Wystarczy dodać do tego kilka metrów delikatnego szwajcarskiego batystu, dozór szefowej pracowni oraz niezwykły talent krawiecki Marian i innych szwaczek.

Annabelle rozebrała się i włożyła obszerną jedwabną górę od piżamy, która służyła jej za nocny strój. Gdy w łazience spojrzała na swe odbicie w lustrze, rzekła pod nosem:

- Elizabeth tak potrzebna jest kierowniczką pracowni, jak mnie trzecia noga.

Wiedziała, że jest tylko znakomitą szwaczką i zaopatrzeniowcem. Marian i Wietnamki, które szyły dla Elizabeth, nie potrzebowały nadzoru. Niemniej

była wdzięczna tej kobiecie, że znalazła dla niej miejsce, obdarzyła ją wysokim stanowiskiem i nawet mieszkaniem.

- Jeśli tu zostaniesz, nie będę musiała jeździć na aukcje koronek ani polować na wyprzedaże starych sukien i gratów, a Marian będzie mogła spokojnie zająć się szyciem i łataniem - wyjaśniła jej Elizabeth. - Jesteś mi bardzo potrzebna.

To dobra kobieta. Wszyscy tu są dobrzy, a ona, Annabelle, jest im wdzięczna. Czasami jednak to uczucie bardzo ją męczyło.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Dlaczego się na to zgodziłam? - zapytała Annabelle, patrząc na swoją twarz w lustrze. Może lepiej powiedzieć Benowi, że zrezygnowała? Elizabeth pewno nie wie, że Ben zamierza ją przyprowadzić na kolację, bo nic na ten temat nie wspominała. Pewnie myśli, że syn przyjdzie w towarzystwie tej wysokiej blondynki, z którą oglądała katalogi.

Z niemałym trudem upięła swe długie i gęste włosy wokół głowy, solidnie spryskała je lakierem, niemniej kilka kosmyków natychmiast opadło na szyję i czoło. Annabelle machnęła na nie ręką i przystąpiła do wyboru stroju.

Włożyła czarną spódnicę do kostek i solidne czarne pantofle. Boże, wyglądam, jakbym pracowała w kopalni soli w Transylwanii! Wrzuciła buty na dno szafy, potem zdjęła spódnicę i cisnęła ją w ślad za butami. Po raz pierwszy w życiu zapragnęła mieć metr dziewięćdziesiąt wzrostu i czterdzieści pięć kilogramów wagi, tak jak modelki nowojorskie. Tymczasem przypominała Dumpy'ego i Frumpy'ego, dwa uratowane od śmierci koty Vickie.

Postanowiła włożyć czarne spodnie, wycięty w serek pomarańczowy sweter, a na całość narzucić wzorzysty tybetański płaszcz. Boże, w tym stroju się ugotuje! Zrzuciła płaszcz i sweter, zdjęła spodnie, i rzuciła to wszystko na podłogę.

Dobrze, trzeba znaleźć coś prostego, lecz eleganckiego. Z głębi szafy wyciągnęła cheongsam - chińską suknię z czarnego jedwabiu, którą Vickie uszyła jej na Boże Narodzenie. Nigdy nie miała odwagi w niej wystąpić. Suknia leżała na niej znakomicie - była dopasowana, ze stójką wokół szyi i pęknięciami z boku - lecz jej krój bardziej pasował do Chinek zamieszkujących uboższe dzielnice Manhattanu.

Annabelle spojrzała na zegarek i jęknęła. Ben na pewno się nie spóźni, co oznacza, że zostało jej najwyżej pięć minut. Szybko zapięła suknię, wsunęła stopy w czarne sandały na wysokim obcasie, które w chwili szaleństwa kupiła na wyprzedaży, chwyciła najmniejszą czarną torebkę, jaką posiadała, i zapięła wymyślne złote guziki przy szyi. Nie miała czasu obejrzeć się porządnie w lustrze, bo zadzwonił dzwonek na dole i rozległ się głos Bena:

- Drzwi są otwarte. Czy mogę wejść?
- Nie! To znaczy, tak.

Szybko zebrała rozrzucone po podłodze rzeczy i schowała je do szafy. Trudno. Ben zapewne spojrzy na nią i zaprosi do MacDonalda, a nie na kolację

do domu matki. Usłyszała jego kroki na górze i odwróciła się do niego.

- Przepraszam, Ben - powiedziała. - Mówiłam ci, że nie mam co na siebie włożyć.

Potrząsnął głową.

- Jeszcze mi tego nie udowodniłaś. Wyglądasz wspaniale.

- Naprawdę? Bo czuję się jak parówka.

- Nie przypominasz mi żadnej z parówek, które jadłem. Chodźmy już. Wiesz, że mama nie lubi, kiedy goście się spóźniają.

- Ben, jesteś pewien, że tego chcesz?

Położył rękę na jej karku i skierował ją delikatnie w stronę schodów.

- Tak. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Wyszli. Wieczór był chłodny, na niebie świecił księżyc, a wśród drzew migotały światełka porozwieszanych tu i ówdzie lampek. W powietrzu unosił się lekki zapach azalii i wczesnych róż. Gdy Ben ujął ją pod rękę, zwróciła ku niemu pytająco głowę.

- Uważaj, księżniczko Turandot. Ta ścieżka jest nierówna.

- Czy Turandot to ta operowa ładacznica, która kazała ściąć głowę wszystkim zalotnikom?

- Och, tak, ale w końcu została pokonana przez miłość.

Mam nadzieję, że i tobie się to przydarzy, po-

myślał Ben i wydał westchnienie ulgi. Nie był jednak całkowicie głupi, zadurzając się w Annabelle. Z wysoko upiętymi włosami, w tej niesłychanej chińskiej sukni, była bodaj najbardziej pociągającą kobietą, jaką w życiu spotkał. I w przeciwieństwie do tych wszystkich zimnych blondynek, emanowała ciepłem.

O jego uszy obły się te wszystkie historyjki, jakie opowiadano o jej matce, krwistej kajunce z Lafayette, która latem nie nosiła pończoch ani białych rękawiczek, a do ogrodu Langleyów przywędrowała boso. A w swoim mężu rozbudziła tak obłąkaną namiętność, że w końcu ją zabił. No i poszedł za to siedzieć. Ben słyszał także, jak mówiono, że skłamał przed sądem, by ochronić swą córkę, prawdziwą zabójczynię.

Nie wierzył, by była zdolna zrobić coś takiego, nawet przez przypadek. Nie mógł także zmienić zbyt wielu rzeczy w swoim życiu. Nadal chciał zostać prokuratorem okręgowym, a potem może gubernatorem, a nawet... senatorem. Toteż jeśli zamierza osiągnąć te cele z Annabelle u boku, istnieje tylko jedno rozwiązanie. Musi zmienić Annabelle, a przynajmniej jej publiczny wizerunek. Bo jeśli chodzi o resztę, podobała mu się bez zastrzeżeń.

- Nie mogę - odezwała się tuż przed wejściem.
- Ależ możesz. - Jego dłoń na jej karku stała się cieplejsza.

- Kto tam będzie?

- Nie mam pojęcia. Pewnie kilku polityków, jakiś profesor albo dwóch. Nikt szczególnie.

Stanęła w miejscu.

- A kogo byś uznał za szczególnego? Księcia Karola i dalajlamę?

- Przestań, Annabelle. Mama obiecała, że posadzi nas razem...

- To ona wie, że przychodzę?

- Oczywiście. Dlaczego miałbym to przed nią ukrywać?

- Nic mi o tym mówiła.

Ben wzruszył ramionami i cofnął rękę.

- To dla niej nie jest wielkie wydarzenie.

- Bo pewnie ma nadzieję, że jedno z nas się opamięta. Najlepiej ja - oświadczyła i zawróciła w stronę swego mieszkania.

- Nie rób tego! - poprosił i chwycił ją za ramię.

- Po prostu przypomnij sobie tę starą dobrą radę, żeby w razie czego wyobrazić sobie wszystkich bez ubrań.

- Zwariowałeś? A co będzie, jeśli oni mnie tak sobie wyobrażą?

- Czy macie zamiar tam stać całą noc? - Oboje aż podskoczyli, słysząc głos Elizabeth. - Spóźniście się, już jest po koktajlach. Zaraz siadamy do stołu.

- Elizabeth... - zaczęła Annabelle.

- A ty nawet nie próbuj uciekać. - Głos Elizabeth złagodniał. - Chodźcie - dodała i otworzyła szerzej drzwi.

Ben westchnął z ulgą, Annabelle - z rezygnacją, po czym ruszyła w stronę wejścia, jakby szła na gilotynę. Gdy stanęła w kręgu światła, Elizabeth spytała:

- Moja droga, skąd masz tę suknię? Jest przepiękna. Szyta jakby dla ciebie.

- Od koleżanki. Jest projektantką dla małego domu mody. Dostałam ją od niej w prezencie gwiazdkowym.

- No cóż, gdyby kiedykolwiek poszukiwała pracy, niech się skontaktuje ze mną.

- Nie sądzę, żeby Vickie zgodziła się opuścić Nowy Jork nawet dla Chanel.

Obie kobiety ruszyły przez niewielki hol w stronę drzwi wiodących do głównej części domu.

- Odkąd są komputery, mogłaby pracować na trzecim księżycu Jowisza, jeśli taki oczywiście istnieje. - Elizabeth pchnęła drzwi i przekroczyła próg.

- Oto mój zabłąkany syn - powiedziała - a to, jeśli ktoś jej nie zna albo nie pamięta, Annabelle Langley, która prowadzi moją pracownię.

Annabelle zamrugała powiekami. Była najmłodszą osobą w tym pokoju. Przez chwilę twarze obecnych straciły jakby swą ostrość i żałowała, że nie wzięła z sobą okularów. A potem w polu widzenia

pojawił się wysoki, siwowłosy i bardzo dystyngowany mężczyzna, który uśmiechnął się do niej i wyciągnął rękę.

- Witaj, Annabelle. Ja osobiście jestem wręcz zachwycony tym, że wróciłaś ratować Elizabeth. Pracowała naprawdę za długo i byłem z tego bardzo niezadowolony. - Uścisnęła jego rękę. - Nazywam się Phil Mainwaring i jestem szefem Bena.

- Miło mi pana poznać, sir - odparła Annabelle z wysiłkiem.

- Święty Boże, ratuj mnie! Kiedy piękne kobiety zwracają się do ciebie „sir”, to znaczy, że życie się skończyło - rzekł ze śmiechem Phil Mainwaring.

Annabelle spojrzała na Bena. Czyżby nie wiedział, kim jest Mainwaring? Niemożliwe, przecież dla niego pracuje. Czyżby wobec tego nie wiedział, kim Phil Mainwaring kiedyś był? Czy po latach dla tych ludzi to wszystko nic już nie znaczy? Poczowała, że powoli mięśnie jej ramion się rozluźniają. Może to ona sama siebie oszukuje? Zabójstwo to zdarzyło się ponad dwadzieścia pięć lat temu i zapewne ci ludzie traktują je jak legendę, a ją jak jedną z przyjaciółek Bena.

- Siadajmy do stołu, bo mus z łososia nam opadnie - zażartowała Elizabeth, biorąc Phila Mainwaringa pod ramię i prowadząc go poprzez hol do dużej jadalni.

Godzinę później Annabelle zdała sobie sprawę,

że właściwie dobrze się tu czuje. Rozmowa była inteligentna i zabawna, i na szczęście nie dotyczyła mody. Ben przestał już na nią patrzeć tak, jakby była bombą zegarową. Gości istotnie zaproszono niewiele.

Elizabeth i Phil najwyraźniej stanowili parę. Naprzeciwko Annabelle siedział posiwiały i zaniedbany profesor religioznawstwa z uniwersytetu wraz ze swą równie siwą małżonką, która wyglądała tak, jakby jej skórę pokrywały powiązane w węzły sznury. Na pewno oboje mają doktoraty, pomyślała Annabelle. May i Gene Dresslerowie. Albo Resslerowie. Albo jakoś podobnie.

Drugą parę, jeśli to istotnie była para, stanowili czarujący, uprzejmi aktorzy amatorzy, którzy wieczorami grywali w lokalnym kółku teatralnym, a w dzień zarabiali krocie, zajmując się jakąś działalnością finansową. Nie miała pojęcia, czy mieszkają razem, czy nie, lecz niewątpliwie zachowywali się jak stare małżeństwo. W tej chwili nie mogła przypomnieć sobie ich nazwisk, a teraz nie wypadało już tego ustalać. Postanowiła, że później zapyta o to Bena.

Kolacja była znakomita, a ponieważ podawał ją dostawca, Elizabeth nie musiała wstawać od stołu. Po przystawce z musu podano cytrynowy sorbet, sałatkę i kaczkę w sosie pomarańczowym z dodatkiem jarzyn. Gdy po daniu głównym zebrano talerze,

drzwi do kuchni zostały otwarte i dostawca wraz ze swym asystentem wtoczyli do pokoju wózek z płonącą kulą lodową, pokrytą bezami i czekoladowym kremem. Płomienie unosiły się z wianuszka małych urodzinowych świeczek umieszczonych na szczycie kuli.

Gdy Ben zaczął śpiewać „Happy Birthday”, przyłączyli się do niego wszyscy z wyjątkiem Elizabeth, która siedziała na honorowym miejscu przy stole, śmiejąc się i klaszcząc w ręce.

Kolacja urodzinowa? Ben przyprowadził ją na przyjęcie urodzinowe matki bez słowa uprzedzenia? Annabelle poczuła, że robi jej się gorąco. Co pocnie, jeśli po deserze nastąpi wręczanie prezentów? Obrzuciła Bena pełnym złości spojrzeniem, on jednak uśmiechnął się do niej tak promiennie, jakby zupełnie nie pojmował, o co chodzi.

- Jakie to piękne! - zawołała Elizabeth. - Ale nie wybuchnie, prawda? - Wstała, wciągnęła głęboko powietrze i, zachęcana przez wiwatujących gości, z całych sił zdmuchnęła świece. - Dzięki Bogu, że nie ma ich tyle, ile mam lat! - powiedziała. - Dom mógłby stanąć w ogniu.

Annabelle zauważyła, że gdy Elizabeth usiadła, Phil Mainwaring nakrył ręką jej dłoń, po czym oboje uśmiechnęli się do siebie.

- Prosimy o przemówienie! - zawołał Gene jakiś tam, który przez cały wieczór obficie raczył się wspan-

niałym czerwonym winem. Annabelle stwierdziła, że jest już nieźle wstawiony. Sądząc po posepnych spojrzaniach, jakimi obrzucała go żona, nie była odosobniona w swej ocenie.

- Nie będę przemawiać - odrzekła Elizabeth - ale bardzo cieszę się z tego, że przeżyłam następny rok i otaczają mnie przyjaciele i rodzina. - Uśmiechnęła się do Bena. - Do szczęścia brakuje mi tylko wnuka, zanim sama nie zdziecinnieje.

- Brawo! - rzekł Phil, unosząc do góry kieliszek.

W tej właśnie chwili rozległo się w głębi domu pojedyncze uderzenie zegara oznaczające kwadrans. Ręka profesora trzymająca pełen kieliszek drgnęła i czerwone wino rozlało się po białym obrusie.

- Gene, ty idioto! - warknęła żona.

Annabelle patrzyła, jak czerwona rzeka płynie poprzez stół szeroką wstęgą wprost na nią. Odniosła wrażenie, że w pokoju zrobiło się ciemno, a wino przemieniło się w gęstą krew, która za chwilę splami jej ręce. Jeśli ta rzeka ją dosięgnie - utonie.

Jak przez mgłę dotarły do niej odgłosy krzątania - kelner przybiegający z kuchni, hałas odsuwanych krzeseł, ktoś przeproszał, ktoś inny bagatelizował zdarzenie. Ona jednak nie była w stanie oderwać oczu od krwi, która płynęła ku niej coraz szerszym strumieniem.

- Nie! - Wstała tak gwałtownie, że krzesło upadło z hukiem na podłogę. Odsunęła się do tyłu, wy-

suwając przed siebie ręce, jakby chciała zatrzymać tę okropną falę. Musi się przed nią ukryć, musi stąd uciekać, bo za chwilę naprawdę utonie.

Nie pamiętała później, jakim cudem pokonała podwórko. Świadomość odzyskała dopiero wtedy, gdy usłyszała stukot własnych butów na schodach. Otworzyła drzwi swego mieszkania i jak burza wpadła do salonu. Trzęsącymi się rękami zdjęła buty i z całej siły kopnęła je w najdalszy kąt. Poczuła, że robi jej się zimno, i sekundę później usłyszała kroki Bena na schodach i jego głos:

- Annabelle! Annabelle, otwórz mi!

Ponieważ nie reagowała, pchnął drzwi z całej siły, aż jęknęły zawiasy. Annabelle skuliła się i stanęła tyłem do wejścia. Ben podszedł do niej i odwrócił ją do siebie twarzą. Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy.

- Co to było? - spytał. - Dobrze się czujesz?

- Ostrzegałam cię, Ben. - Poczuła, że wstrząsa nią szloch. - Przepraszam. - Podniosła na niego wzrok. - Nie patrz tak na mnie. Naprawdę bardzo mi przykro.

- Już dobrze - powiedział. - Wracajmy do nich.

- Nie! - Odsunęła się od niego i objęła się ramionami jak człowiek, który dygocze z zimna.

Gdy podniósł do góry ramiona i zacisnął zęby, poczuła, że ma ochotę się roześmiać. Taką minę widywała u niego w szkole, gdy jego drużyna przegrywała i musiał ratować jej honor.

- Annabelle - powiedział tonem, jakim zapewne zwracał się do krnąbrnych świadków. - Na pewno widziałas już wielu pijanych ludzi, a każdemu zdarzy się czasem rozlać wino. Przecież to drobiazg. Gene jest przygnębiony. Pyta, co takiego powiedział, że się tak zdenerwowałaś.

- Biedny Gene. To nie jego wina.

- Chodź ze mną i mu to powiedz. - Ben wyciągnął do niej rękę. - Wtedy na pewno odetchnie.

- Nie, nie mogę.

- Posłuchaj - powiedział przymilnym tonem, jakby chciał namówić przestraszonego pieska do wyjścia z ukrycia - ci ludzie to moi przyjaciele. Oni chcą także zostać twoimi przyjaciółmi. Wróć, a obiecuję ci, że nikt nie będzie robił z tego sprawy. Powiedz, że złapał cię skurcz w nodze albo że zaszkodził ci mus. Wszyscy będą ci współczuć.

- Ale to nie to, Ben.

- Więc co?

- Nie zrozumiałabyś - odrzekła półgłosem. - Nikt tego nie zrozumie.

- Może jednak zaryzykujesz?

Potrząsnęła głową.

- Na litość boską, Annabelle.

- Właśnie wygłupiłam się przed grupą ludzi, których prawie nie znam, w tym przed własną pracodawczynią, i nie zamierzam wracać, żeby znowu zrobić z siebie pośmiewisko.

Otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz nie pozwoliła mu dojść do głosu.

- I jeszcze jedno. Czy nie przyszło ci do głowy, żeby mi wspomnieć, że to przyjęcie urodzinowe twojej matki?

- Co?

- Jak to, co?!

- Nie uważałem tego za wydarzenie. Przecież nie dawaliśmy prezentów. To jest po prostu zwyczajna czwartkowa kolacja.

- Nie. To jest przyjęcie urodzinowe, a ja tam stoję i śpiewam „Happy Birthday” z głupim uśmiechem na twarzy, udając, że o wszystkim wiedziałam, a potem jakiś pijany bufon wylewa na stół wino i... - Zatoczyła się lekko, gdy w jej wyobraźni pojawił się obraz szybko rosnącej, czerwonej plamy na białym obrusie.

- Annabelle? - Poczwała nagle, jak Ben ją obejmuje i przyciąga do siebie. - Belle?

Wzruszenie ścisnęło ją za serce, lecz oczy pozostały suche. Żadnych łez. W jej oczach nigdy nie pojawiały się łzy, czuła jedynie dławienie w gardle i dostawała czkawki. Inni ludzie płakali, a ją tylko piekło gardło i paliły oczy. Dlaczego nie potrafi płakać? Czy to kolejny dowód na to, że jest potworem?

Ben delikatnie dotknął palcem brody Annabelle i uniósł jej głowę do góry. Z całej siły zacisnęła powieki i usiłowała zlekceważyć ból brzucha.

- Ależ ty jesteś piękna - wyszeptał.

Poczuła jego usta na swoich, delikatne i ciepłe, drażniące ją lekko i jakby usiłujące wyczuć jej smak. Chciała mu się oprzeć, powiedzieć, że nie jest to odpowiednie miejsce ani czas, lecz wzbierająca w niej fala gorąca nie pozwoliła jej tego zrobić. Poczuła, że sama otwiera usta, ulegając jego czarowi. Ręce Bena zacisnęły się na jej talii i nagle ogarnęło ją uczucie błogości i spokoju. Niepokojące było jedynie pulsujące ciepło gdzieś w głębi jej łona, które powstało jakby w odpowiedzi na wzrastające w nim pożądanie. Nie. To ona musi nad tym zapanować, nie ulec jego bliskości, stłumić te wszystkie emocje, jakie w niej wywołał. Odsunęła się, odetchnęła głęboko i spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Idź stąd, Ben. Proszę.

- Nie pójdę sam - szepnął, przyciągając ją do siebie.

- Musisz wracać do gości. - Klepnęła go lekko w rękę. - Przestań. Powiedz im, że padłam ofiarą hipochondrii czy coś takiego.

- Chodź ze mną.

- Ben! - Szarpnęła się, i by odzyskać równowagę, musiał zrobić dwa kroki w tył. - Posłuchaj mnie. Nie mogę i nie wrócę dziś do tamtego domu. Jutro do wszystkich wyślę liściki, jeśli tego chcesz...

Usiadł na kanapie i ujął jej ręce.

- To nie ja tego chcę. Chodzi o to, że to ty tego

potrzebujesz. Jeśli teraz do nich nie wrócisz, następnym razem będzie ci trudniej wyjść ze skorupy. Jak możesz się dobrze czuć w sytuacjach towarzyskich, jeśli...

- A kto powiedział, że muszę?

- Ja tak mówię.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- A co ty masz z tym wspólnego? - zapytała.

Ku jej jeszcze większemu zdumieniu zaczerwieniła się i rzekł niepewnym głosem:

- Bo... życzę ci jak najlepiej.

- A powodem tego jest...

- Wiesz, ten pocałunek nie był tylko przyjacielski. Dzwoni mi jeszcze po nim w uszach.

- Nawet na Południu nie musiałbyś się ze mną ożenić tylko dlatego, że mnie pocałowałaś.

- A gdybym miał ochotę?

Tym razem to ona się roześmiała.

- Słusznie. Bo przecież byłabym idealną żoną prokuratora okręgowego. - Podeszła do ściany i podniosła buty. - Ben, jestem bardzo zmęczona i nie nadaję się do spotykania z ludźmi. Przepróż w moim imieniu matkę i jej gości.

- Na pewno, nie zmienisz już zdania? I nie powiesz mi, co się stało?

- Nie.

- Dobrze - odparł zrezygnowany. - Nie mogę cię przecież wziąć na ręce i tam zanieść. No, może

i bym mógł, ale pewnie byś kopała i krzyczała lub też zrobiła coś równie mało atrakcyjnego.

- Masz rację.

Wyprostował się i dodał:

- Niemniej, panno Annabelle, to nie jest jeszcze koniec. Mam zamiar ustalić, co się stało. A potem coś z tym zrobimy.

Obrócił się na pięcie i wyszedł krokiem, który zapewne uważał za dystyngowany. Gdy dotarł do pierwszego stopnia schodów, cicho zaczęła bić mu brawo. Przystanął, po czym zbiegł na dół i zatrzasnął za sobą drzwi.

Stała nieruchomo do chwili, aż usłyszała jego kroki na dziedzińcu, a potem usiadła w wielkim klubowym fotelu. Dwie halucynacje w ciągu jednego dnia. To rekord. Powinna zrobić tomografię lub EEC. Może to jakiś krwiał albo guz? A może za tym wszystkim kryje się Ben? Ona jest w Memphis od miesiąca i przez ten okres nie przydarzyło się jej nic gorszego oprócz kilku złych snów. A potem nagle Ben spadł jej przed nosem z drzewa i zaczęła wariować. Czyżby to hormony?

Czy po latach dzielnej wstrzemięźliwości ciało zaczyna ją zdradzać? Nie miała pojęcia, co się dzieje, niewątpliwie jednak coś zaczyna się psuć.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Gdy Ben wrócił do jadalni, goście stali już przy drzwiach i żegnali się. Matka spojrzała na niego z troską.

- Co z Annabelle? - zapytała.

- Migrena. Mówi, że nie zdarza się to często, lecz ataki są niespodziewane. Bała się, że może dostać torsji.

- Biedne dziecko - rzekł profesor. - Przepraszam za tę plamę, Elizabeth. Ten zegar mnie wystraszył.

- To prezent urodzinowy od Phila - wyjaśniła Elizabeth. - Antyk, pozłacany brąz.

- Strasznie hałaśliwy - rzucił Phil jakby od niechcienia. - Jeśli chcesz, mogę wyłączyć wybijanie godzin.

- Proszę. Jest bardzo piękny, ale zegar grający co piętnaście minut to chyba przesada. Byłbyś tak miły?

- Oczywiście. Zrobię to jeszcze dziś, jeśli ci zależy.

Elizabeth uśmiechnęła się do Phila. Ben ujrzał

w jej oczach ulgę. Jego matka nigdy się źle nie wyrażała o prezentach, lecz wiedział, że bicie zegarowego mechanizmu może doprowadzić ją do szału i wtedy biedny antyk skończy w schowku na szczotki, a na salony będzie wnoszony tylko przed wizytami Phila.

- Cieszę się, że to nie przeze mnie ta migrena
- powiedział Gene.

- Masz szczęście - wtrąciła żona.

Profesor jakby nagle wytrzeźwiał.

- Proszę jej powiedzieć, że jest nam przykro i bardzo chętnie się z nią spotkamy - dodała May, ściskając ramię Bena. - To bardzo miła dziewczyna. Zupełnie inna niż te, które zwykle ci towarzyszą.

Z uśmiechem przyklejonym do ust Ben tkwił u boku matki i żegnał się ze wszystkimi z wyjątkiem Phila Mainwaringa, który stał w progu, obejmując czule Elizabeth w pasie.

- No to co? - odezwał się Phil, patrząc na Bena.
- Wypijemy jeszcze po kawie?

Ben potrząsnął głową.

- Chyba zostawię was samych. Nie róbcie niczego, czego ja bym nie zrobił.

Elizabeth zaśmiała się cicho.

- My nie śmielibyśmy robić nawet połowy tego, co ty robisz, prawda, Phil?

- Śmielibyśmy, gdybyś mi pozwoliła.

- A oprócz tego - ciągnęła Elizabeth, ignorując

uwagę Phila - chciałabym wiedzieć, co naprawdę stało się z Annabelle. - Wysunęła się z objęć Phila. - Usiądźmy na chwilę. Czuję się odpowiedzialna za Annabelle. Jeśli ma jakieś problemy, chciałabym o nich wiedzieć.

- Nic nie wiem o żadnych problemach - odparł Ben i wraz z matką oraz Philem udał się do salonu. Tam usiadł na kanapie, wyciągnął przed siebie nogi i położył głowę na oparciu.

- Nie jesteś w najlepszym nastroju - powiedziała matka. - Przecież cię tak od razu nie wyrzuciła.

- Nie wyrzuciła mnie, ponieważ nie miała powodu - odparł. - Właściwie to nie wiem, o co dziś poszło. Ostrzegła mnie tylko, że nie czuje się zbyt dobrze w towarzystwie. W szkole trzymała się z dala od wszystkich, no ale w szkole zawsze się znajdzie jakiś dziwak, z którego wszyscy się naigrawają. Ona była właśnie takim kozłem ofiarnym.

- Mam nadzieję, że nie należałaś do tych wszystkich - rzekła matka.

- Nie, ale też jej nie broniłem. Mamo, przecież ona była cztery lata młodsza. W szkole to różnica praktycznie całego pokolenia. Byliśmy sąsiadami, ale nie byliśmy zżyci. Wiekowo ona bardziej należy do grupy Steve'a.

- A potem twój brat wyjechał do szkoły wojskowej. - Elizabeth westchnęła ze smutkiem. - Od

skończenia ósmej klasy właściwie przestał bywać w domu.

- Zrobiłaś, co musiałaś. Nie czuj się winna.

- Może gdybym była lepszą matką...

- Twój młodszy syn z kwitnącego młodocianego przestępcy zmienił się we wzorowego obywatela, a to znaczy, że postąpiłaś słusznie - wtrącił Phil. - Ben, mnie to właściwie nie dziwi, że Annabelle ma osobowość trochę dysfunkcyjną, skoro wyrastała w mauzoleum w towarzystwie tej starej Langley, która wbijała jej do głowy, że jest do imentu zła. Może powinna była pozostać w Nowym Jorku.

- Nie, nie powinna! - zaprotestował Ben tak gwałtownie, że starsi państwo utkwili w nim pełne zdumienia oczy. - To znaczy - dodał niepewnym głosem - ona musi zmierzyć się z tym miasteczkiem, jeśli jej osobowość ma się zmienić w „funkcyjną”.

- W pracy funkcjonuje znakomicie - oświadczyła Elizabeth.

- Ona musi nabyć swobody w obcowaniu z ludźmi, nauczyć się radzić sobie w trudnych sytuacjach towarzyskich, zachowywać się z wdziękiem...

- O mój Boże! - westchnęła Elizabeth i zapadła się w poduchy swej brzoskwiniowej sofy. - Annabelle? Ben, pamiętam, co mówiłam, ale nie przyszło mi do głowy, że na tej strzale pojawi się jej imię.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Spojrzała na niego spod przymrużonych powiek.

- A więc przyprowadziłeś Annabelle, bo Brittany dziś nie mogła przyjść?

- Daj spokój, mamó.

- Gdybym choć trochę pomyślała...

- Przepraszam, ale o czym wy rozmawiacie? - spytał Phil.

- Mamó... - W głosie Bena zabrzmiało ostrzeżenie.

- Dobrze. - Po chwili wahania matka skinęła głową. - O niczym, Phil. To taki rodzinny żarcik. Ale, Ben, mam chyba rację, co? Mam na myśli tę strzałę.

- A jeśli nawet?

- To gorzej niż źle. W tych okolicznościach to jest właściwie katastrofalne. Tylko nie wiem, czy dla ciebie, czy dla niej.

- Słuchajcie - rzekł Phil, podnosząc się - jeśli macie zamiar dalej mówić zagadkami, to ja idę do domu.

- Nie, zostań - poprosił Ben. - To ja idę. Jutro skoro świt muszę się zapoznać z aktami sprawy MacCauleya. Rano jest przesłuchanie wstępne.

- Zrób to koniecznie, twój szef cię o to prosi. - Phil opadł z powrotem na kanapę i objął Elizabeth ramionami. - A więc idź i wróć dopiero wtedy, kiedy już będziesz wiedział wszystko na temat napadu z niebezpiecznym narzędziem w dłoni.

- Lub przynajmniej na temat Cadwalladera.

- Istotnie. To dobry precedens.

Ben ucałował matkę w policzek.

- Zrób mi przysługę i zostaw tę sprawę w spokoju.

Elizabeth westchnęła.

- Dobrze - powiedziała. - Nie wiem, czy mam się z twojego powodu cieszyć, czy smucić.

- Dajcie i mnie się pośmiać - wtrącił Phil.

- To przekleństwo matki - wyjaśniła Elizabeth, dotykając jego policzka. - Nie zrozumiesz, bo nie masz dzieci.

. - To nie jest twoja wina, mamó - rzekł Ben, prostując się. - Wszystko się jakoś ułoży, zobaczysz. Poradzę sobie.

- Mam nadzieję. Naprawdę mam nadzieję.

- Ani słowa więcej, rozumiesz?

- Nabieram wody w usta.

- Dziękuję, mamó. I dobranoc.

Wszystko się jakoś ułoży, do cholery, pomyślał, gdy zbiegał z kamiennych schodków i kierował się w stronę swojego żółtego samochodu. Nauczy się panować nad uczuciami, które Annabelle w nim budziła. Nie ma niczego złego w tym, co matka określa słowem „pasja”, lecz on nie może pozwolić sobie na to, by pasja - miłość - przesłoniła mu cel. No i może uda mu się pomóc Annabelle w oswojeniu się z ludźmi. I wilk będzie syty, i owca cała - jak lubi mawiać Phil.

Wyjechał na ulicę i skierował się w stronę domu. Nagle jego samochód zrobił skręt, jakby kierował nim jego własny mózg, i już po chwili parkował na tyłach posiadłości matki, obok auta Annabelle.

Światło w jej mieszkaniu nadal się paliło. Ben wyjął telefon komórkowy i wystukał numer. Gdy podniosła słuchawkę, zapytał:

- Czy mogę wejść na górę?
- Jest późno.
- Wiem. Nie będę długo. Chcę ci tylko powiedzieć, co się wydarzyło u matki.
- A czy mnie to obchodzi?
- A nie?
- No tak - westchnęła. - Dobrze, wejdź, ale tylko na chwileczkę.

Czekała na niego, stojąc na podeście piętra. Naprawdę wstrzymał na parę sekund oddech. Jej potargane włosy opadały na ramiona, upodabiając ją do kobiety z obrazu Burne-Jonesa lub Dante Gabriella Rossettiego. Za jej plecami ostre światło fluorescencyjne oświetlało stół do pracy. Reszta pokoju tonęła w półmroku.

- Pracujesz o takiej porze?
- To mi pomaga się uspokoić. Chcesz może piwa albo wina?
- Piwo, proszę. - Oparł się o stół i patrzył na nią. Przebrała się w sztruksową suknię o barwie ka-

sztanów, która podczas ruchu podkreślała biel jej nagich kostek.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? - spytała, podając mu butelkę. Jej dłoń powędrowała do wycięcia przy sukni i podciągnęła materiał wyżej.

- Widzę cię w ogrodzie.

- Przepraszam...?

Powiódł palcem po jej policzku, dotarł do ucha. Zauważył, że jego dotyk wywołuje w niej dreszcz.

- Mam wrażenie, jakbym po raz pierwszy widział, że świat kwitnie.

Postąpiła krok do tyłu.

- Wypij piwo, proszę, a potem mi powiedz, co się stało u matki, i idź.

Ocknął się, sen odpłynął.

- Gene ucieszył się, że to nie przez niego rozboleła cię głowa, a poza tym wszyscy się zgodzili, że stanowisz wspaniałe towarzystwo. Chętnie częściej by cię widywali.

- Czyżby?

- Niczego nie zmyślam. A teraz twoja kolej. Powiedz mi, co to było.

- To jest... obłąkane. - Odwróciła się od niego.

- Nie będę się śmiał ani nie każę cię zamknąć.

- Położył ręce na jej ramionach i delikatnie przytulił ją do siebie. Początkowo lekko się opierała, a potem cicho westchnęła i oparła głowę o jego pierś. Zaczął

masować jej ramiona. - Twoje mięśnie to jeden wielki węzeł.

- To przez szycie - wyszeptała.

- Nie szycie, tylko napięcie. Czy to przez babcię, jakieś wspomnienia z dawnych lat?

- Częściowo. - Wydała pomruk zadowolenia. - Jak cudownie - dodała cicho.

On również czuł się cudownie. Pochylił głowę i dotknął ustami szyi tuż pod jej uchem. Szarpnęła się lekko.

- Nie, Ben.

- Dlaczego nie? Obojgu się nam to podobało. - Chwycił jej dłonie, przyciągnął ją do siebie i objął w talii. - Tobie naprawdę się podobało.

- A nie powinno.

- Powinno. - Ujął ją delikatnie pod brodę, podniósł do góry głowę i pocałował w usta. Gdy odwzajemniła jego pocałunek, otoczył ją ciasno ramionami, przytulił mocniej i zaczął całować tak, jakby świat przestał istnieć.

- Ben - szepnęła.

- Cicho... - Jej ciało zeszywniało, lekko odsunęło się od niego, a potem jakby skapitulowało i uległo. Miał wrażenie, że zatracą się w smaku jej ust, ciepłe skóry, drzeniu rąk. Potem odchylił lekko głowę, zsunął suknię z jej ramion i rozpiął znajdujący się z przodu suwak. Była naga. Gdy dotknął ustami piersi, z jej ust wydobył się jakby szloch, po

czym rozpalonymi wargami dotknęła skóry na jego szyi. Poczował, że jego ciało zaczyna płonąć.

- Pragnę cię - wyszeptał.

Wyciągnęła dłonie i objęła go za głowę, jej ciało wygięło się w lekki łuk, a z piersi wydobył się zduszony jęk. Szybkim ruchem zdjął koszulkę polo, którą włożył na kolację.

- Annabelle? - Odszukał wzrokiem jej oczy. Miała rozszerzone źrenice, czerwone wargi. Nie spuszczać z niego spojrzenia, rozpięta zamek do końca i suknia opadła na podłogę. Gdy stanęła przed nim zupełnie naga, w jej oczach pojawiło się przerażenie.

- Ja... zaczęła. - Ja nie mam...

- Wszystko w porządku, kochanie - szepnął, tuląc ją do siebie. - Ja mam. - Ucałował jej rękę. - Nic się złego nie stanie.

Zaprowadził ją do sypialni. Słyszał jej oddech, płytki i nerwowy. Pomyślał, że pewnie nieczęsto spotyka się z mężczyznami. Musi być delikatny, przekonać ją, że bardzo mu na niej zależy, że jej ciało to dla niego wspaniały i niezwykły dar.

Leżała na łóżku i patrzyła, jak się rozbiera. Dopiero gdy zobaczyła jego rozpalone ciało, z jej ust wydobył się zduszony pomruk. Położył się przy niej i obsypał jej skórę pocałunkami. Pieścili się, tulili do siebie, poznawali zakamarki swych ciał. Gdy w pewnej chwili Annabelle wygięła się w łuk i krzyknęła, Ben znieruchomiał.

- Annabelle, nie wiedziałem! - W półmroku dojrzał, jak jej oczy błyszczą łzami.

- Nawet tego nie potrafię dobrze zrobić - szepnęła.

- Czy mam przestać? Powiedz.

- Nie, proszę, nie!

- Nie chciałybym cię zranić.

- Ktoś kiedyś musi, prawda? Ben, przepraszam...

Objął ją mocno i przytulił.

- Za co? Za to, że dajesz mi taki prezent?

- Ben, proszę, zrób, co trzeba. Nic mi nie będzie.

- Jesteś pewna?

- Tak.

- Mogę zostać całą noc, jeśli zechcesz.

Poczuł się nieswojo w roli rycerza w białych rękawiczkach. Nie miał pojęcia, że nadal była dziewczyną. Nie wiedział, jak się z nią kochać, co zrobić, żeby jej nie zranić. Pożądał jej, lecz teraz ważne było tylko to, czego pragnęła ona.

Leżała pod nim nieruchomo, zaciskając mocno powieki i trzymając go za rękę. Czy pożądał jej na własną zgubę? Czy to błąd, że zgodził się przyjąć od niej ten dar? Pocałował delikatnie jej szyję, potem zszedł niżej. Wygięła się w łuk i mruknęła coś z zadowoleniem. Ucieszył się, że nie sprawia jej już bólu, lecz radość. Jego ciało wiedziało, co robić. Czuł spazm jej orgazmu, słyszał cichutkie jęki rozkoszy. Odnaleźli wreszcie wspólny rytm, popłynęli razem

ku krainie szczęścia. Później, gdy leżeli obok siebie wyczerpani, scałował łyzy z jej policzków, tulił ją do siebie i głaskał po plecach.

- Czy zajdę w ciążę? - wyszeptwała.
- Nie, kochanie, pomyślałem o tym.
- Czy bardzo krwawiłam?
- Nie mam pojęcia.
- Zostaniesz jeszcze chwilę? Potrzywasz mnie?

- Tak, kochanie. - Pogłaskał ją po włosach, po czym podniósł z podłogi koc, by ich przykryć. - Teraz śpij.

Przytuliła się do niego i w chwilę później usłyszała jej równomierny oddech. Szkoda, pomyślał z żalem, że ja tak łatwo nie zasnę.

Tej nocy, po raz pierwszy od dwunastu lat, Anabelle nawiedził ten sen. Usłyszała trzask płomieni, które wyciągały w jej stronę długie jęzory, jak gdyby zamierzały ją wciągnąć w szalejący żywioł, słyszała też cichnący dźwięk oddalających się od ognia dzwoneczków.

W mroku powstawały i rozplływały się jakieś monstrualne kształty. Usiłowała się ukryć, lecz przysuwały się do niej, wysyłając w jej stronę dławiący odór czegoś ostrego i metalicznego.

Cały czas ocierała ręce o przód dresowej bluzy, lecz gdy patrzyła na wewnętrzną stronę dłoni, wi-

działa, że nadal są mokre i czerwone. W końcu ruszyła przed siebie i biegła, aż potknęła się i runęła w ciemność.

Budziła się zawsze tuż przed uderzeniem o dno. Słyszała, że jeśli ktoś spadnie na samo dno, umrze. Ciekawe, czy w ogóle tam jest jakieś dno...

- Annabelle!

Głos był męski, znajomy. Wołał ją z odległości tysięcy kilometrów. Obudziła się, miotając się w silnych ramionach, które ją obejmowały.

- Uspokój się. Nic złego się nie dzieje.

Zamarła, patrząc prosto w szare oczy zaniepokojonego Bena Jacksona. W jednej sekundzie przypomniała sobie wszystko. Co ona zrobiła? Taka była ostrożna, tak długo uważała, aż tu nagle - trach! Przecież właściwie ledwie go znała.

- Miałaś koszmarne sen.

Wysunęła się z jego objęć i usiadła, zakrywając piersi rękami.

- Przepraszam. Czasami mi się to zdarza.

Opuszkami palców pogładził ją po karku. Zadrżała lekko, przypominając sobie, że jego dotyk wzbudził w niej rozkosz.

- Jak się czujesz? - zapytał łagodnie.

- Dobrze. Dlaczego miałyby być inaczej?

Bądź beztroska. Ta noc jest bez znaczenia. On na pewno uzna to wszystko za jeszcze jeden podbój. Skok w bok od Brittany, Ashley czy Heather. On

nie ma prawa się zorientować, jak bardzo jest przerażona swoim zachowaniem.

- Połóż się. Chcę cię przytulić.

- Chce mi się pić. I muszę pójść do łazienki. - Zerknęła na zegar. - Chyba powinieneś wracać do domu, prawda? Oboje musimy wcześniej wstać i na pewno nie chcemy, żeby ktoś zobaczył tu twój samochód.

- Annabelle! - Usiadł za jej plecami i mocno ją objął. - Nic mnie nie obchodzi, czy ktoś zobaczy mój samochód. Nie zniósłbym tylko tego, że żałujesz...

Odwróciła się i ukryła twarz w zagłębieniu jego obojczyka. Włosy na jego torsie łaskotały ją w nos. Boże, jak podoba jej się jego zapach, smak soli na skórze.

- Nie żałuję - powiedziała, niezgodnie jednak z prawdą. Tej oto nocy wkroczyła na drogę, którą wywróżyła jej kiedyś babka. Dopóki była dziewczyną, mogła zawsze udowodnić sobie i babce, że nie jest taką ladacznicą jak jej matka.

- To dobrze - szepnął Ben. - Pozwól mi zostać. Potrząsnęła głową.

- Nie, Ben.

- Nie dotknę cię, jeśli o to ci chodzi. - Pogłaskał ją po włosach. - Czy sprawiłem ci ból?

- Mówiłam ci, że nic mi nie jest. - To, co czuła, było połączeniem bólu i rozkoszy, choć w tej chwili dominował ból.

- Obiecuję, że następnym razem nie będzie bolało.

Następnym razem? Nie będzie żadnego następnego razu. W tej chwili dałaby wszystko, by go nie widzieć, nie czuć jego dotyku, nie pożądać go. Mimo to kiwnęła głową.

- Ale teraz idź, proszę.

Westchnął.

- Jesteś pewna, że nic ci nie jest?

Sięgnął ręką w bok, by zapalić lampkę.

- Nie! - Chwyciła go za nadgarstek. Umrze, jeśli będzie musiała spojrzeć na pościel. Zachowuje się być może niczym osiemnastowieczna heroina, lecz babka od lat wbijała jej w głowę to jedno: dziwka, dziwka, dziwka.

Ben wyśliznął się z łóżka i zaczął się ubierać. Sierp księżycy świecił na tyle jasno, że wpadające przez wąskie okna promienie nadały jego skórze srebrny odcień. Zachowywał się nieprzyzwoicie naturalnie - nagość nie przeszkadzała mu zupełnie. Gdy skończył się ubierać, przyklęknął na jednym kolanie i pochylił się, by ją pocałować.

- Spij dobrze. Rano zadzwonię.

Wstała z łóżka i zapaliła światło dopiero wtedy, gdy usłyszała warkot oddalającego się samochodu.

Ślad na prześcieradle był prawie niewidoczny. Na pewno musiała bardziej krwawić! Szybko zmieniła

pościel, a potem wzięła prysznic, by zmyć z siebie zapach seksu.

Od pierwszej chwili wiedziała, że Ben zburzy spokój jej umysłu. Przestała się pilnować i przez to straciła swą siłę. Ale teraz uzbroi się po zęby i nie ulegnie więcej jego czarom. Nie zostanie jedną z jego wielu kochanek. Bo dla kogoś takiego jak Ben taka kobieta jak ona może jedynie być kochanką.

Gdy chwilę później położyła się do łóżka, natychmiast zapadła w głęboki sen. Tym razem nic się jej nie śniło.

Obudziły ją skrzekliwe dźwięki wydawane przez ptaka przedrzeźniacza, który uwił sobie gniazdko nad oknem. Spojrzała na zegar: piąta trzydzieści. Przez następną godzinę przewracała się z boku na bok, czując coraz silniejszy ból gardła. Wreszcie przyłożyła dłoń do czoła i stwierdziła, że ma gorączkę.

Piekły ją oczy, język pokrywał nieprzyjemny osad. Ale to nie może być zemsta za to, czego się dziś dopuściła. Ta choroba rozwija się w niej od dwóch lub trzech dni. No i tłumaczy owe halucynacje. To nie nowotwór mózgu, lecz pocziwa stara grypa.

Wzięła dwie tabletki aspiryny, wypła całą szklankę wody prosto z kranu i wróciła do łóżka. Będzie musiała zadzwonić do Marian i powiedzieć, że jest chora.

Nagle jęknęła. Jeśli Elizabeth zauważyła samo-

chód Bena, nie uwierzy w żadne przeziębienie. Pomyśli, że jest tak zmęczona nocnymi harcami, że nie chce jej się wstać z łóżka. Ben pewnie też się rozchoruje...

Niewątpliwie. Podzieliła się z nim sprawiedliwie bakteriami. Zastanawiała się kilka godzin temu, co takiego mogłaby podarować Benowi, czego on jeszcze nie ma. Na pewno nie miała na myśli przeziębienia.

- Przepraszam - powiedziała Elizabeth.

- Za co? - Ben wsunął słuchawkę między ucho i ramię, tak by nie przerywać podpisywania dokumentów, które podsuwała mu Dixie Guest.

- Za wczorajszy wieczór. Byłam przekonana, że kłamałeś na temat tej migreny Annabelle.

Rzucił pióro i chwycił w dłoń słuchawkę.

- O czym ty mówisz, mamoo?

- Naprawdę źle się czuła.

- Jest chora? - Usłyszał w swym głosie panikę.

- Na co? Kto się nią opiekuje?

- *Oj*, uspokój się, skarbie. To tylko jakiś wirus. Jestem pewna, że jutro lub pojutrze wszystko będzie dobrze.

- Skąd wiesz? - W jego wyobraźni pojawiła się wizja krwotoku. Chyba wczoraj zwariował! Po pierwsze, że się z nią kochał, a po drugie, że zostawił ją samą, nie upewniwszy się, że nic jej nie jest.

- Rano zadzwoniła do Marian i powiedziała, że nie przyjdzie do pracy, więc oczywiście do niej wpadłam. Piła tylko sok pomarańczowy i wyglądała okropnie. Wiesz, katar, i tak dalej.

- Czy wezwałaś doktora Vickery?

- Nie, Ben, nie wzywałam doktora Vickery. Annabelle wzięła dwie tabletki aspiryny i zabroniła mi się do siebie zbliżać, bo to może być grypa.

- A ty tak po prostu zostawiłaś ją samą? - Jego głos podniósł się niebezpiecznie.

- Ben, nie byłeś aż tak zaniepokojony, kiedy miałam nagłą operację wyrostka. Widzę, że jest ci naprawdę ciężko.

- Nie jest mi ciężko. Mam tylko chorą przyjaciółkę i zimną matkę. - Zanim odłożył słuchawkę, w ostatniej chwili dorzucił: - Dzięki, że zadzwoniłaś.

Zgarnął leżące na biurku dokumenty i włożył je do teczki z informacją „do podpisu”, po czym chwycił marynarkę wiszącą na oparciu krzesła.

- Hola, szefie! - zawołała sekretarka. - Siadaj no na tyłku i zaraz mi tu podpisz te papiery!

- Mam pilną sprawę, Dixie. Podpiszę je wieczorem i w poniedziałek raniutko znajdziesz je u siebie na biurku.

- W poniedziałek? Ben...

- W tej chwili wszyscy sędziowie są już w połowie pola golfowego. Ale jeśli tak bardzo ci zależy, przyniosę je jeszcze dziś wieczorem.

Dixie wykrzywiła usta.

- Ty jesteś tu szefem, choć czasami nie potrafisz zrozumieć dlaczego.

Podszedł do niej i cmoknął ją w policzek.

- Pozdrów ode mnie Gusa, i życzę ci miłego weekendu. Wyjdź wcześniej. Zaslugujesz na to.

- Cholera, chyba masz rację. - Podniosła rękę i poprawiała siwe włosy, gdy tymczasem Ben zamykał za sobą drzwi.

Zatrzymał się przed sklepem ze zdrową żywnością i wydał osiemdziesiąt pięć dolarów na holistyczne leki przeciw grypowe, multiwitaminy, mieszanki ziołowe obniżające gorączkę i słoik rosołu domowej roboty z kurczaka. Potem przystanął przy sklepie z lodami i kupił cassatte oraz sorbet malinowy. Przemknęła mu przez głowę myśl, by kupić Annabelle brylanty, lecz szybko uznał, że ich nie przyjmie. Różę? Chyba nie, jeśli ma katar i kaszel.

Zapasowy klucz do jej mieszkania nadal leżał pod doniczką z geranium stojącą obok tylnych drzwi. Chwycił plastikowe torby do jednej ręki, otworzył drzwi i zawołał, przystając u dołu schodów:

- Annabelle, to ja, Ben. Idę na górę.

Usłyszał najpierw jęk, a potem słowa:

- O Boże, nie!

Leżała na kanapie podparta poduszkami, przykryta kocami. Na ekranie telewizora cztery okazałych rozmiarów damy usiłowały wzajemnie wyrwać sobie

włosy. Fonia była wyłączona. Annabelle podniosła pilota i zgasiła telewizor.

- Odejdź, Ben - wychrypiała. - I nie patrz na mnie. Jeśli to zrobisz, zamienisz się w kamień.

- Twoje włosy istotnie przypominają trochę węże, ale aż tak bardzo się nie wiją. Nic mi nie będzie.

- Pocałował ją w policzek.

Zakryła dłońmi twarz.

- Nie patrz. Proszę.

- Oczywiście.

Położył torby na kuchennym blacie i z jednej wyjął dwa pudełka lodów. Gdy otworzył zamrażalnik, zobaczył tam sześć gotowych dań obiadowych i torbę krewetek. Postawił lody na górnej półce.

- Przyniosłem rosół i lekarstwa ziołowe.

- To ślicznie z twojej strony, ale przede wszystkim potrzebny mi jest sen. Jeśli będę miała szczęście, ta głupia gorączka minie za dwie godziny i jutro normalnie wstanę.

- Jutro jest sobota. Możesz leżeć cały dzień, jeśli chcesz.

- Mam na głowie babcie.

- Ona nie potrzebuje tego, co teraz masz.

- Ani ty, panie asystencie prokuratora okręgowego.

Rzucił jej na kolana buteleczki z medykamentami.

- Ja przeciwnie - potrzebuję wszystkiego, co masz. Zarazki też mi nie przeszkadzają. Weź teraz tabletki, a ja podgrzeję zupę.

- Ben, proszę. - Jej głos zabrzmiał błagalnie. - Już samo patrzenie na ciebie mnie męczy. A poza tym jest czwarta, a ja nigdy nie jestem głodna przed siódmą.

- Jadłaś lunch?

- Nie, ale...

- Więc może podam ci porcję chłodnego sorbetu z malin, a potem herbatę z lodem?

Otworzyła szeroko oczy.

- Sorbet malinowy? Skąd wiedziałeś?

- Mam swoje sposoby. - Usiadł na niskim stoliku i sięgnął po jej rękę, którą natychmiast zagrzebała głęboko pod kocami. - Powiedz mi, co ci jest. Cały dzień martwiłem się o ciebie i wieszałem na sobie psy. Dzwoniłem, ale włączała się sekretarka.

- Ben, nic mi nie jest. Naprawdę. Gdyby nie ta głupia grypa, czułabym się wspaniale. - Potarła czoło. - A poza tym podejrzewam, że za kilka godzin będziesz świetnie wiedział, jak się czuję.

- Co?

- Po ostatniej nocy moje zarazki są twoimi zarazkami.

- Ja chcę nie tylko twoje zarazki.

- Ben, proszę. - Jej twarz nagle spoważniała. - Dziękuję, że do mnie zajrzałeś, dziękuję za troskę i sorbet, ale chyba już wystarczy tego dobrego. Ty i ja - no cóż, ja i ty nigdy nie będziemy razem, i im wcześniej to sobie powiemy, tym lepiej.

Gdzieś w głębi serca poczuł dojmujący ból. Po raz pierwszy od czasu szkoły średniej otworzył przed kimś duszę, pomyślał, że być może nadarza się szansa, by ponownie stać się człowiekiem. Dawno już zapomniał, co to znaczy ból po stracie. Lepiej by na tym wyszedł, gdyby sobie o tym w porę przypomniał. Wczoraj był pewien, że ona pragnie go tak samo jak on jej. Najwyraźniej zmieniła zdanie.

Przez cały dzień widział oczami duszy, jak by wyglądała w ciąży z ich dziećmi. Wyobrażał sobie, jak całuje każdą zmarszczkę mimiczną wokół jej oczu, jak się przy niej starzeje. Dziś rano, między wystąpieniem sędziego Hawkinrooda a pierwszym wnioskiem procesowym, ujrzał w myślach całe ich wspólne życie.

Świadomość, że mógłby przeżyć je bez niej, wywołała w nim wręcz fizyczny ból. Skulił się w sobie, otoczył ramionami.

- Ben, dobrze się czujesz?
- Nie, nie czuję się dobrze.

Wstał, wziął z kuchennego blatu miskę z sorbetem, niemal rzucił ją na kolana Annabelle, po czym zaczął krążyć po pokoju.

- Mmm, wspaniałe - mruknęła z zadowoleniem.
- Dlaczego?
- Co dlaczego?
- Dlaczego nie możemy być razem?

Odstawiła pustą miskę.

- Usiądź, Ben, i posłuchaj mnie. Przez cały dzień o tym myślałam.

- Jeśli chodzi o te bzdury związane ze śmiercią twojej matki...

- To nie są bzdury, Ben. To jest prawda. Ja strzeliłam i zabiłam moją matkę.

- Nie. Twój ojciec za to siedział.

- Babcia mówi, że mnie chronił.

- A jeśli nawet strzeliłaś, to był to przypadek. Na litość boską, przecież nie miałaś wtedy nawet czterech lat. Nie mogłaś wiedzieć, czym jest broń, a tym bardziej, czym grozi wzięcie jej do ręki.

- Nieważne. To się stało. Nie miałyby to może znaczenia, gdybyś był biznesmenem czy bankierem albo gdybyśmy przeprowadzili się do Fargo w Północnej Dakocie i hodowali świnie. Ty jednak masz stanowisko asystenta prokuratora okręgowego i jesteś znany z niezłomności w kwestii przestępstw i przestępców. Ty sprawujesz nadzór nad przestrzeganiem prawa. Pierwszy dziennikarz, który zobaczy nas razem w Memphis, wysmaruje od razu artykuł na temat przepaści między tym, co mówisz, a tym, co robisz.

- Kogo to obchodzi?

- Ciebie. A przynajmniej powinno.

- Czy pamiętasz, jak do niej strzelałaś?

- To, co zapamiętałam, zostało tak zmienione przez wszystko, co ludzie potem całymi latami mi

mówili, że nie mogę wiedzieć, co się naprawdę wtedy stało.

- Więc może twój ojciec istotnie był winny.

- Dobrze, niech będzie. Skoro więc nie jestem zabójczynią, jestem dzieckiem zabójcy. I dzieckiem kobiety lekkich obyczajów. Wszyscy wiedzieli, że moja matka sypia z kim popadnie. I podobno dlatego ojciec ją zabił. Obojętne, jak to zinterpretujesz, Ben, ja jestem dla ciebie dziewczyną z marginesu i kiedy tylko wyjaśni się sytuacja z babcią, wracam do Nowego Jorku, a ty będziesz mógł poślubić Brittanę, Tiffany albo Heather.

- Nie chcę żadnej Brittanę, Tiffany czy Heather. Chcę ciebie.

- Mnie nie możesz mieć. Już nigdy.

Miał zamiar coś powiedzieć, lecz po namyśle zrezygnował. Po dłuższej chwili odezwał się:

- Powiedz mi, że wczoraj mnie nie chciałaś.

Odwróciła głowę w bok.

- Wczoraj było wczoraj, Ben. Dziś jestem chora, ale myślę jasno. Nie mam zamiaru zmarnować ci życia.

- Nie zgadzam się z niczym, co mówisz. Po pierwsze nie zgadzam się z tym, że jesteś zła lub że odziedziczyłaś jakieś złe geny. Wstawię zupę do lodówki - powiedział, wstając - a ty ją podgrzejesz w kuchence mikrofalowej, kiedy będziesz chciała.

- Idziesz? - W jej głosie zabrzmiało zdumienie.

- Sama powiedziałaś, że pewnie skończę w łóżku tak jak ty, a mam jeszcze coś do zrobienia.

Pochylił się, by ją pocałować, lecz odprawiła go machnięciem dłoni. Wstawił zupę do lodówki, robiąc przy tym sporo hałasu, i stwierdził, że w środku był tylko galon soku pomarańczowego i kilka cytryn.

- Zapomniałem o herbacie mrożonej.

- Zrobię sobie później.

- Dobrze. - Ruszył w stronę wyjścia. U szczytu schodów odwrócił się i dodał: - Być może nie zauważyłaś, że dla mnie nie ma rzeczy niemożliwych. Nie poddaję się, nie ulegam wpływom, a jeśli coś mi się nie podoba, szukam sposobu, żeby to zmienić.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pierwszą rzeczą, jaką zauważył po wejściu do mieszkania, było mrugające światełko automatycznej sekretarki.

Rzucił marynarkę na oparcie kanapy, rozwiązał krawat i cisnął go na marynarkę, potem zdjął buty i w drodze do telefonu rozpiął koszulę.

Siedem wiadomości. Westchnął, zdjął koszulę i nacisnął przycisk.

- Ben, kochanie, tu Brittany. Czy dobrze się czujesz? Wiem, że nie mogłeś mnie zastać. Zadzwoń.

Przyniósł sobie z lodówki butelkę piwa i wrócił na miejsce, by wysłuchać reszty wiadomości. W ciągu dnia dwukrotnie dzwonił do Brittany, lecz za każdym razem o takiej porze, żeby jej nie zastać.

Trzy następne wiadomości były także od Brittany. Ta sama piosenka, inny refren. Potem rozpoznał głos Dixie.

- Nie miałeś racji, jeśli chodzi o sędziów. Henderson był tu tak długo, że mógł się ustosunkować

do twojego wniosku przedprocesowego. Ty szczęściarzu. Dowody z rewizji zostają włączone do sprawy. Do zobaczenia w poniedziałek.

Nie szczędził wysiłków, by materiał dowodowy zebrany podczas rewizji na posesji Thomasa MacCauleya został uwzględniony w rozprawie mimo protestów obrony. Powinien czuć się uradowany, tymczasem czuł się przygnębiony.

Piąta wiadomość pochodziła od matki, która odwiedziła Annabelle i wyraziła nadzieję, że Bena nie zaatakuje ten sam wirus. Szóstym rozmówcą był Phil Mainwaring.

- Świetna robota, stary. Nie jestem jeszcze sędzią, lecz wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że mam wielką szansę. Zgadnij, kto zostanie moim następcą. Do zobaczenia w poniedziałek.

Gdy włączył ostatnią wiadomość, rozległ się wysoki, lecz zdumiewająco stanowczy głos osoby starszej wiekiem.

- Tu Victoria Langley. Zazwyczaj nie nagrywam się na sekretarki, lecz w tym wypadku czynię wyjątek, ponieważ pragnę pana ujrzeć dziś wieczorem o ósmej. Proszę się nie spóźnić.

Ben utkwiał zdumiony wzrok w maszynie. Victoria Langley? Babka Annabelle? Ta kobieta potwór? Przecież ona nie może nic wiedzieć na temat jego i Annabelle! Odkąd jego ojciec zawarł ugodę z sędzią w sprawie jej syna oskarżonego o zabójstwo

swej żony, Victoria Langley nie odezwała się do nikogo z jego rodziny.

W opinii Victorii Hal Jackson był całkowicie odpowiedzialny za to, że jej syn siedział w więzieniu i później zniknął. Na skutek tego skandalu Victoria wycofała się z życia publicznego, winiąc za to Hala. Czego więc mogła chcieć od niego?

Podniósł słuchawkę, by zadzwonić do niej i poinformować ją, że nie może przyjść, po czym odłożył słuchawkę na widełki. Może starsza pani chce mu powiedzieć coś związanego z Annabelle? Wobec tego dobrze by było się z nią spotkać.

Być może uda się z niej coś wydusić na temat tej nocy, której zginęła matka Annabelle. On, Ben, nie wykluczyłby, że Victoria sama zastrzeliła synową, a z syna zrobiła kozła ofiarnego. Elizabeth uważała, że Victoria Langley nienawidzi... Jak ona się nazywała? Tak jakoś po kajuńsku. Auvern? Nie, Aucoin. Tak, właśnie tak. A imię miała dość oryginalne. Chantal.

Chantal Aucoin z Lafayette, miejscowości zaszytej w głębi Luizjany. Nic dziwnego, że stara pani Langley znienawidziła ją od pierwszego wejrzenia. Matka opowiadała mu kiedyś, jak to Raymond Langley wrócił z nią do domu po kilku miesiącach pracy w jednym z banków, z którym Langleyowie byli powiązani. Pani Langley przez miesiąc nie wychodziła wtedy z łóżka i do żadnego z nich się nie odezwała.

W owych czasach ludzie liczyli jeszcze miesiące od dnia ślubu do urodzenia pierwszego dziecka. Podejrzewał, że w przypadku Annabelle mogło między tymi wydarzeniami upłynąć nieco mniej niż dziewięć miesięcy. To zresztą łatwo można sprawdzić.

Właściwie nie wie, kiedy Annabelle się urodziła. Nie wie, jaki jest jej ulubiony kolor, jakie lubi filmy i czy interesują ją długie spacery poza miastem.

Zakochał się w osobie kompletnie obcej - obcej, którą znał od najmłodszych lat. Chyba naprawdę jest nią oczarowany. Czyżby jej matka, Chantal, wywierała taki sam wpływ na mężczyznę?

Pięć minut przed ósmą zadzwonił do drzwi posiadłości pani Langley. Zaparkował samochód pod wyszukany georgiański daszek na tyłach domu i poszedł do drzwi frontowych. Nie miał zamiaru używać drzwi kuchennych.

Stał teraz w bladym świetle ganku i patrząc na swe odbicie w szklanych drzwiach, poprawiał krawat. Przedtem wziął prysznic, ogolił się ponownie i włożył na siebie jeden ze swych najlepszych oficjalnych garniturów. W rękę trzymał równie szacowną walizeczkę, która skrywała mały komputer.

W holu zapaliło się blade światło i ktoś odsunął firankę na szybie. Chwilę później drzwi się otworzyły

i w progu ukazała się tęga kobieta w elastycznych spodniach i kwiecistej hawajskiej koszuli.

- Cześć, pan chyba jest Ben Jackson. Proszę wejść. Rany, jak to dobrze, że się pan nie spóźnił. Po tym, jak zadzwoniła do pana, nie można było z nią wytrzymać.

Wiedział od matki, że ten dom niegdyś tętnił życiem i radością, a pani Langley wydawała wspaniałe przyjęcia, na których stoły uginały się od jedzenia. Ale to było, zanim jej syn trafił do więzienia.

Teraz to miejsce wyglądało tak, jakby nawiedzały je duchy.

- Jestem Beulah Mayhew - ciągnęła kobieta, prowadząc go na górę. - Opiekuję się nią. Szczerze mówiąc, gdyby nie ta śliczna Annabelle, dawno bym się zwolniła. Pani Langley właściwie cały czas jest okropna, choć czasem potrafi być słodka jak cukierek.

- W jakiej jest dziś formie?

Opiekunka przystanęła i pochyliła się ku niemu.

- Myślę - szepnęła - że ona udaje te swoje humory, szczególnie kiedy nie chce czegoś zrobić albo chce doprowadzić mnie i Annabelle do szału. Ciagle mówi, że traci pamięć, ale moim zdaniem dalej nieźle kuma.

- Nie wie pani, do czego jestem jej potrzebny?

- Na pewno jakieś ciemne sprawy. - Przystanęła na piętrze, by złapać oddech, i położyła rękę na ra-

mieniu Bena. - Niech pan tu poczeka. Kazała mi przećwiczyć, jak mam pana zaanonsować. Zupełnie jak królowa Saby! - Pani Mayhew podeszła do podwójnych drzwi na końcu korytarza, otworzyła je, weszła do środka i powiedziała: - Pan Jackson przyszedł, proszę pani - po czym odsunęła się na bok, by mógł wejść.

Gdy ujrzał drobną postać opartą na poduszkach w wielkim łożu, zdziwił się, że Annabelle się jej boi. Tak myślał do momentu, gdy powolnym gestem uniosła dłoń ciężką od pierścieni z brylantami. Sam nie wiedział, czy ma ją uścisnąć, czy pocałować.

Zbliżył się do łoża, ukrył jej ptasią rękę o długich i zapewne sztucznych paznokciach w swojej, i znowu się zdziwił, że w tej drobnej dłoni jest tyle siły.

- Przysuń tu krzesło, młody człowieku. Do światła. Chcę pana widzieć.

Zrobił, o co go prosiła. Jej twarz pozostała w cieniu.

- Zupełnie jak ojciec. Przystojny jak sam diabeł, i pewnie tak samo zepsuty. Chyba też pan pije i lubi kobiety, prawda?

- Dotąd tego nie robiłem - odparł - ale od dzisiaj, kto wie?

Spojrzała na niego zwięzonymi oczami, po czym usłyszała jej śmiech. Wysoki, cienki i dość przerażający.

- Wielu mężczyzn doprowadziłam do picia. Ale

w kobieciarzy się nie zamienili. Mnie trudno było zastąpić.

Zauważył ze zdumieniem, że ta kobieta z nim flirtuje!

- Niech pan wstanie i obejrzy to zdjęcie nad kominkiem. - Gdy posłusznie wykonał jej polecenie, dodała: - Proszę zapalić tamto światło. Ja tego nie robię, bo to zbyt przygnębiające.

Portret był wspaniały. Widniała na nim cudownej urody eteryczna celtycka księżniczka, ubrana w szyfonową wieczorową suknię, otoczona irysami i różami. Artysta znakomicie uchwycił delikatny owal jej twarzy, stalowy błysk w jej błękitnych oczach. Pani Langley była w młodości porywająca, lecz w tym portrecie widniała zaledwie zapowiedź jej wielkiej urody.

- Jest piękny.

- Nie, to ja byłam piękna. Starość, panie Jackson, to wredna suka, a jeśli ktoś mówi inaczej, proszę mu nie wierzyć.

Nie byłby bardziej zdziwiony, gdyby wypowiedziała pod nosem kilka dosadnych anglosaskich przekleństw. Wrócił na swe miejsce obok jej łóżka.

- Chciałabym coś panu dać. Jako mojemu prawnikowi, oczywiście.

- Jestem pewien, że ma pani wielu prawników...

- Proszę słuchać. - Spod stosu pledów wyciąg-

nęła biały kształt. - W tej kopercie jest tysiąc dolarów. Myślę, że to wystarczy na opłacenie pańskich usług.

- Proszę pani, ja jestem prokuratorem zatrudnionym przez okręg.

- Czy to uniemożliwia panu wykonywanie innych czynności prawnika?

- Z punktu widzenia prawa nie, ale gdyby doszło do konfliktu interesów...

- Nie będzie konfliktu interesów, zapewniam. - Wyprostowała się i zawołała: - Mayhew, chodź tutaj!

- Słucham, pani Langley. - Beulah wetknęła głowę w drzwi, po czym przekroczyła próg.

- Wyglądasz jak mała wyspa tropikalna - oznajmiła Victoria Langley. - Wyspa, po której przeszedł paskudny tajfun.

- Cha, cha - zarechotała Beulah i puściła oko do Bena.

- To pudełko, które kazałam ci dzisiaj znaleźć na strychu. Masz je?

- Tak, proszę pani. Stoi koło drzwi na strych. Czy mam je tu przynieść?

- Nie sądzę. Nie chcę go więcej widzieć, ani w tym życiu, ani w następnym. Czy jest zabezpieczone?

Beulah skinęła głową.

- Bardzo dobrze. Panie Jackson, kiedy pan wyj-

dzie, proszę to pudełko wziąć i umieścić w jakimś bezpiecznym miejscu.

- Jeśli w środku jest coś wartościowego, powinno znaleźć się w banku.

- Nie ma tam nic wartościowego, zapewniam pana. I lepiej żeby nie było widać, Mayhew, że ktoś się do niego dobierał.

- Ja tam do niczego się nie dobieram.

- Wobec tego chciałabym, żeby dziś wieczorem pudełko to znalazło się w rękach pana Jacksona. - Wskazała dłonią list. - W środku tej koperty są zalakowane instrukcje, spisane moją własną ręką, określające, co należy zrobić z tym pudełkiem po mojej śmierci. Do tej pory nikomu pod żadnym pozorem nie wolno go otwierać. Czy mogę panu zaufać i wierzyć, że spełni pan moje życzenia?

Miał ochotę zaprzeczyć, bo pragnął otworzyć list i pudełko natychmiast. Na pewno znalazłby tam coś na temat śmierci Chantal Langley. Może jakiś dowód, który oczyściłby dobre imię Annabelle? A może nawet wyznanie Victorii Langley, że to ona zabiła synową?

- Czekam. Jeśli nie zechce pan tego zrobić, zrobi to inny prawnik. W moim testamencie znajdzie się dla pana następny tysiąc dolarów, jeśli zastosuje się pan do mojej woli.

- Zanim odpowiem, pani Langley, chciałbym zadać jedno pytanie. Dlaczego wybrała pani mnie?

- Jest pan synem Hala Jacksona. Jest rzeczą stosowną, żeby to pan otrzymał to pudełko, a nie ktoś inny. Z tego, co o panu słyszałam, ma pan w pewnym sensie żelazne zasady, czego nie można powiedzieć o pana ojcu.

- Mój ojciec był dobrym obrońcą.

Victoria Langley zamachała ręką.

- Gdyby był dobrym obrońcą i przejmował się losem swoich klientów, mój syn nie siedziałby w więzieniu i moje życie nie zostałoby zmarnowane. Ani życie pana matki.

Na twarzy Bena pojawiło się zaskoczenie.

- Życie mojej matki nie jest zmarnowane.

- Pana ojciec zostawił Elizabeth z dwoma synami na utrzymaniu, pozbawił ją także prestiżu wynikającego z bycia żoną zamożnego człowieka. To, że jej się mimo wszystko powiodło, jest tylko i wyłącznie jej zasługą. Trudno chwalić pańskiego ojca za to, że musiała zostać szwaczką.

Ben otworzył szeroko oczy. Czy ta kobieta mówi to serio? Matka będzie się zaśmiewać do łez, gdy jej powie, że Victoria Langley nazwała ją szwaczką.

A to pudełko na pewno będzie bezpieczniejsze w jego rękach niż kogokolwiek innego.

- Dobrze, pani Langley. Przyjmuję pani warunki.

- Proszę złożyć przysięgę, panie Jackson, tak żebyśmy ja i obecna tu pani Mayhew mogły być tego

świadkami. Pana ojciec był niekompetentny, lecz nie był nieuczciwy. Mogę mieć tylko nadzieję, że będzie pan podobny do niego w tym jednym tylko względzie.

- Dobrze, pani Langley, ale tysiąc dolarów to za dużo.

- O tym decyduję ja, a nie pan.

- Ja, Benjamin Jackson, adwokat, niniejszym przysięgam i obiecuję, że wezmę w posiadanie pudełko, które pani Mayhew wręczy mi dziś wieczorem, i że będę je trzymał zamknięte w bezpiecznym miejscu aż do pani śmierci, a gdy ta nastąpi, otworzę list zawierający instrukcje i zastosuję się do nich.

Stara kobieta skinęła głową.

- Nawet jeśli w liście będzie powiedziane, żeby spalił pan pudełko bez otwierania go?

- Tak. - Czy dotrzyma obietnicy, czy ją złamię, gdy ta stara dama przeniesie się do wieczności? Miał nadzieję, że nie będzie musiał łamać słowa, lecz jeśli dzięki temu mógłby uratować swój związek z Anabelle, to kto wie...

- Dobrze. Mogłabym panu powiedzieć wiele rzeczy o śmierci Chantal, i to takich, o których nikt nie wie, ale jeśli niebo istnieje i mnie uda się tam dotrzeć, chętnie posiedzę sobie na swojej chmurce i popatrzę, jak wpuszcza pan kota między myszy. A teraz niech pan weźmie pieniądze, pudełko, i idzie. Jestem

zmęczona. Mayhew, pokaż panu, gdzie jest to pudło, i odprowadź go do drzwi. A potem wróć do mnie i przygotuj mnie do snu.

Ani jednego „proszę”, ani jednego „dziękuję”. W drzwiach sypialni Ben odwrócił się i spojrzał na drobną kobietę. Leżała oparta o poduszki, miała przymknięte powieki i płytko oddychała.

- Pani Langley - powiedział łagodnie.

Powieki nieco się uniosły.

- Była pani naprawdę piękna.

To przekłete pudło zajęło niemal całe siedzenie pasażera. Patrzył na nie podejrzliwie i łapał się na myśli, że pewnie zacznie ono za chwilę tykać. Na dodatek nie było to zwykłe kartonowe pudełko, lecz dosyć oryginalne okrągłe pudło na kapelusze, obciągnięte jedwabiem w kwiatowy wzór, którego barwy dawno już wyblakły. Zapieczętowane było dodatkowo kilkoma warstwami grubej taśmy samoprzylepnej. A może by tak to diabelstwo przeświecić?

- zastanawiał się Ben.

List i pieniądze schowane do kieszeni tak paliły jego skórę, jakby były nasączone jakimś kwasem. W co on się wpakował? Jako przedstawiciel wymiaru sprawiedliwości był zobowiązany dostarczyć sądowi wszelkich dowodów zbrodni, lecz przecież nie mógł w żaden sposób się dowiedzieć, czy takowe kryją się w tym pudle. Równie dobrze w środku mo-

że znajdować się kapelusz. Albo dziesięć boa z piór. Albo stare listy miłosne od pana Langleya. Cholera jasna!

Spojrzał w lusterko wsteczne, gdy zirytowany kierowca jadący za nim zatrąbił ostrzegawczo, bo zjechał ze swojego pasa. Lecz gdy dotarł do domu, nastrój nieco mu się poprawił i kiedy niósł na górę swą nową zdobycz, ręce drżały mu tylko trochę. Zanim postawił swój dziwny nabytek na kuchennym blacie, potrząsnął nim delikatnie. Nic, cisza.

Potem ukrył pudło na trudno dostępnej półce w garderobie i zasłonił je od przodu kocami i ręcznikami, których nie używał. W gardle miał tak sucho, że wypił dwie szklanki wody, a dopiero potem zdjął ubranie i wyczerpany opadł na łóżko. Annabelle miała rację. Chyba zaczyna go dopadać to samo, co powaliło ją. Udany koniec udanego dnia. Przyłożył rękę do czoła i stwierdził, że ma gorączkę. Po chwili zaczęły wstrząsać nim dreszcze.

Kiedy naciągał na siebie prześcieradła i gasił światło, myślał jedynie o tym przekętym „podarunku” od pani Langley i cholernej obietnicy, którą tak nierozsądnie złożył.

Późnym wieczorem Annabelle, nadal leżąc na kanapie, zapadła w niespokojny sen, a gdy się obudziła o trzeciej w nocy, była zlana potem. Mokre też były koce i poduszki. Temperatura spadła, lecz czuła się,

jakby przejechał po niej walec. Przewróciła się na drugi bok i ponownie zapadła w sen, który trwał aż do dziewiątej rano. Na szczęście, tym razem nic się jej nie śniło.

Długo i powoli porządkowała mieszkanie, potem wzięła gorący prysznic i wreszcie zadzwoniła do babki.

Beulah powiedziała jej o wizycie Bena.

- Boję się, że ta rozmowa wyczerpała panią - mówiła opiekunka. - Dziś jest bardzo słaba, co chwila zasypia. Nie chciała jeść śniadania.

- Ma pani dziś wolne popołudnie, prawda?

- Tak było umawiane, ale mogę zostać, jak pani jeszcze nie wyzdrowiała.

- Nie, dziś czuję się dobrze. Jestem trochę zmęczona, ale chyba już nie zarażam. Będę mniej więcej za godzinę.

- No, jak tam pani chce. Muszę zrobić zakupy, no i muszę wpaść do moich wnuków. Mówię pani, jakie to fajne dzieciaki! Aż mnie w dołku ściska, jak ich choć na chwilę nie zobaczę.

Annabelle coś takiego teraz poczuła - właśnie ucisk w dołku. Czy jej babka kiedykolwiek nazwała ją „fajnym dzieckiem”? Choćby przed śmiercią Chantal? Nie zapamiętała niczego takiego.

Gdy wyszła na dziedziniec, Elizabeth stanęła w tylnych drzwiach głównego domu.

- Annabelle, lepiej się czujesz? - spytała.

Skinęła głową i podeszła do swej pracodawczyni.

- Bardzo mi przykro z powodu wczorajszego dnia, i przepraszam za zachowanie podczas kolacji.

- Nawet o tym nie myśl! Może miałabyś ochotę na filiżankę kawy? Jedziesz pewnie do pani Langley.

- Tak. I chętnie wypiję kawę. Mocną.

- A może do tego sok pomarańczowy i coś do jedzenia?

- Nie, dziękuję - odrzekła Annabelle, wchodząc za Elizabeth do środka. - Na śniadanie zjadłam rosół i lody. Ben mi to przyniósł.

- Rozumiem. - Elizabeth napełniła filiżankę kawą i podała ją swemu gościowi, potem napełniła drugą dla siebie. - Chyba ma to samo co ty. Kiedy do niego dziś zadzwoniłam, ledwo mówił. Dzięki Bogu, że to tylko dwudziestoczerogodzinna gorączka.

- Przykro mi. Chyba powinnam odwdzińczyć mu się za uprzejmość i w drodze powrotnej zawieźć mu sorbet, ale nie mam pojęcia, gdzie mieszka.

Elizabeth napisała jej adres na karteczce.

- Jestem z niego bardzo dumna, jak chyba wiesz. - Nerwowo obracała filiżankę w palcach, jakby zastanawiając się, co powiedzieć dalej. - On ma zostać nowym prokuratorem okręgowym, kiedy Phil Mainwaring dostanie nominację na sędziego.

- Nic dziwnego, że jesteś z niego dumna.

- Zajmie miejsce zwolnione przez Phila, a do

czasu wyborów powinien dowieść swych kompetencji. Już obecnie cieszy się poparciem ważniaków, którzy tu wszystkim trzęsą. On jest niezależny, choć jak wielu innych uważa, że przestępcom nie należy pobłażać.

Annabelle skinęła głową.

- Cieszę się, że mi to mówisz - powiedziała. - Ben jest bezpieczny. Ja nie zagrozę jego karierze.

Elizabeth zaczerwieniła się i wbiła wzrok w filiżankę, którą nadal obracała w palcach.

- To okropne musieć się przejmować opinią publiczną i plotkami. - Gdy podniosła głowę, Annabelle była pewna, że w jej oczach dostrzegła łzy. - Przy najmniej dopóki nie dostanie tej nominacji, musi być nieskazitelnie czysty. Nie powinno zdarzyć się nic, co gazety mogłyby wykorzystać przeciwko niemu. A potem - wiesz, że cię lubię. Jesteś dobra dla Bena.

- Nie jestem dobra dla nikogo.

Elizabeth ujęła dłoń Annabelle.

- Ależ to nieprawda! Wreszcie widzę, że Ben przestaje być automatem i zaczyna się zmieniać w człowieka.

- To nie moja zasługa.

- To może być tylko twoja zasługa. - Elizabeth wpatrywała się w filiżankę, jakby zawarty w niej czarny płyn fascynował ją. - Znałaś Judy Bromfield?

- Niezbyt dobrze. Była ode mnie starsza.
 - Ben i Judy byli w sobie naprawdę zakochani. Ich miłość przetrwałaby rozłąkę podczas studiów.
 - Pamiętam, że była miła. I ładna.
 - Inteligentna, czarująca... Miała wszystko, czego matka oczekuje od przyszłej żony swego syna.
 - Elizabeth przymknęła oczy i odchyliła się do tyłu.
 - Ben jakoś przeszedł do porządku dziennego nad tym, że ojciec nas porzucił, ale kiedy ten potwór zabił Judy, myślałam, że znajdzie ojca na końcu świata i zabije go. Bo Ben wiedział, że dwa miesiące wcześniej to dzięki jego ojcu ten wariat został łagodnie potraktowany za inne przestępstwo.
 - Ale ojciec Bena nie zabił Judy.
- Spojrzenie Elizabeth stwardniało.
- Ben powiedział, że nie można winić tygrysa za pożarcie kozy, ale można winić za to właściciela tygrysa, jeśli zostawia otwartą klatkę. Hal nigdy za to nie przeprosił ani nawet niczego nie wyjaśnił. - Wzruszyła ramionami. - Ale on zawsze unikał nieprzyjemnych rzeczy.
 - Wtedy, jesienią, Ben wyjechał do college'u, prawda?
 - Właśnie próbuję ci to wyjaśnić, Annabelle. Ben wyjechał na uniwersytet, wstąpił do właściwego stowarzyszenia studentów, dostawał najlepsze stopnie. Na pierwszy rzut oka był to ten sam czarujący Ben. Ale kiedy przyjechał do domu na Święto Dziękczy-

nienia, był już zupełnie inny. Szorstki, daleki, pusty w środku.

- W stosunku do mnie nie był szorstki.

- Nauczył się wszystko ukrywać, a jego serce zmieniło się w lód. A teraz widzę, że dzięki tobie ten lód zaczyna topnieć.

- Przykro mi, Elizabeth. - Annabelle wstała i skierowała się do wyjścia. - Nie jestem odpowiedzialna za Bena. Kiedy babcia umrze, natychmiast wyjeżdżam do Nowego Jorku.

- Ale...

- Obiecuję, że nie nadużyję twojej gościnności. Nie zrobię niczego, co przeszkodziłoby Benowi w karierze.

- Do diabła z jego karierą. Może i nie jestem sprawiedliwa, ale jestem matką. Proszę cię, nie skrzywdź Bena.

- On nie pozwoli się skrzywdzić. Dziękuję za kawę, Elizabeth, ale naprawdę muszę już jechać do babci. W poniedziałek rano będę w pracy.

Drogę do samochodu przebyła biegiem. Kiedy wkładała kluczyk do stacyjki, drżały jej ręce. Ben zanadto się do niej zbliżył... Nie może go tak zupełnie unikać. Niemniej musi być jakiś sposób, żeby ich znajomość przemienić w przyjaźń. Elizabeth nie chce, żeby jej syn cierpiał? To zrozumiałe. Ale czy kogokolwiek obchodzi, czy ona przypadkiem nie będzie cierpiała?

Kiedy kilka minut później dotarła do posiadłości babki i zwolniła panią Mayhew, okazało się, że babka jeszcze śpi. Z telefonu w holu Annabelle zadzwoniła do Bena, bojąc się trochę, że go obudzi. Powiedziała sobie, że powinna o niego zadbać, ponieważ to ona go zaraziła. Wcale nie zależało jej na tym, żeby go usłyszeć.

- Halo? - zaskrzeczał głos po czwartym sygnale.

- Przykro mi, że jesteś chory, Ben. Czuję się odpowiedzialna.

- Annabelle? - Odniosła wrażenie, że na moment ożył. - Jeśli wtedy, kiedy przyniosłem ci jedzenie, czułaś się tak jak ja teraz, to dlaczego mnie nie zastrześliłaś za to, że zawracam ci głowę?

Wzdrygnęła się, lecz chwilę później pomyślała, że uwaga Bena nic nie znaczy. Musi się przyzwyczaić, że ludzie mówią takie rzeczy od niechcienia.

- Na szczęście ta choroba nie trwa długo. Posłuchaj, w drodze do domu przywiozę ci sorbet malinowy, jeśli mi powiesz, skąd go wzięłaś. Nie musisz wstawać. Po prostu powiedz portierowi, żeby mnie wpuścił.

- A może nie malinowy, tylko cytrynowy?

- Dobrze. A teraz śpij.

Gdy odłożyła słuchawkę na widełki, uświadomiła sobie, że ciężko oddycha i że czuje w sercu jakiś dziwny skurcz. Podobał jej się jego głos, mimo że teraz był taki zachrypnięty.

- Wody!

Annabelle westchnęła.

- Już idę, babciu.

Mieszkanie Bena było umeblowane nowocześnie i surowo, lecz widok na rzekę z jednej z przeszklonych ścian wzbudzał zachwyty. Annabelle włożyła sorbet do zamrażarki, w której była tylko butelka wódki, i podeszła do drzwi sypialni.

- Ben?

Odpowiedział jej jęk i nieartykułowane dźwięki. Cichutko stanęła w progu.

Na przeciwległej ścianie stało wielkie kalifornijskie łóżko. Zgromadzono na nim tyle koców i poduszek, że nikogo nie było widać. W końcu Ben podniósł głowę i wychrypiął:

- Nawet ta choroba nie zmienia moich uczuć do ciebie.

- Szkoda.

- Powiedz mi, że nie umieram.

Zbliżyła się do niego i przyłożyła rękę do jego czoła.

- Nie umierasz, tylko masz gorączkę. Połóż się i zamknij oczy. - Zdjęła z łóżka jeden pled.

- I zdejmij z siebie trochę tego ciężaru, zanim temperatura podniesie ci się do stu stopni. Chcesz sorbet?

- I zimną wodę?

- Proszę bardzo.

Gdy wróciła, siedział już oparty o poduszki, lecz prześcieradło okrywało go tylko do pasa. Szybko odwróciła wzrok. Dobrze by było przytulić się do niego i zasnąć...

Duszkciem wypił wodę, wręczył jej szklankę i zabrał się do sorbetu.

- Gdzie masz łazienkę?

Wskazał jej drzwi.

Była imponująca, wyłożona biało-czarnymi płytkami z marmuru. Oprócz kabiny prysznicowej znajdowała się w niej wanna z hydromasażem. W jednej z dwóch umywalek Annabelle odkręciła kran z zimną wodą, zmoczyła ręcznik i wróciła do sypialni w porę, by odebrać od Bena puste naczynie.

- Kładź się, mam tu zimny ręcznik. I nigdy więcej mi nie mów, że mam okropne włosy. Twoje wyglądają jak spleśniała słoma.

Jęknął, lecz posłusznie zamknął oczy i pozwolił jej położyć kompres na rozpalonym czole.

- Gorączka zapewne ci niedługo przejdzie, a rano będziesz się czuł już całkiem dobrze.

Chwycił ją za rękę.

- Nie idź. Zostań i rozmawiaj ze mną.

- Potrzebujesz snu.

- Potrzebuję czułej opieki i kogoś, kto by za chwilę znowu zmoczył ten ręcznik w zimnej wodzie.

- Wobec tego przyniosę ci drugi. Będziesz mógł je sobie zmieniać.

Tym razem zabawiła w łazience dłużej niż poprzednio, bo czekała, aż puls jej się uspokoi. Wreszcie zmoczyła w wodzie drugi ręcznik i skierowała się do sypialni.

- Biedactwo! - rozległ się damski głos, głęboki i pełen współczucia. - Właśnie dowiedziałam się od twojej matki, że jesteś chory. Portier nie chciał mnie wpuścić, ale go nie słuchałam.

To ta blondynka, która oglądała u Elizabeth katalog z sukniami. Annabelle przytuliła się do ściany obok drzwi.

- Brittany... - powiedział Ben.

- Kochanie, nie cieszysz się, że mnie widzisz?

Poprzez szparę w drzwiach Annabelle zobaczyła, jak Brittany zmierza w stronę łóżka.

- To bardzo zaraźliwe - wycharczał Ben. - Nie powinnaś się do mnie zbliżać.

Gdy podciągnął prześcieradło pod brodę, Annabelle zebrała się na odwagę i opuściła łazienkę.

- Cześć - powiedziała. - Odwiedzamy chorych?

Brittany znieruchomiała, powiodła wzrokiem od Annabelle do Bena i z powrotem, po czym odzyskała rezon.

- Dzień dobry, jestem Brittany - odezwała się i wyciągnęła rękę. - Chyba się nie znamy. Czy pani też zaraża?

- Jestem Annabelle Langley i istotnie, to ja zaraziłam Bena - oznajmiła, trzymając ręcznik w obu dłoniach. - Przepraszam, ale mam mokre ręce.

- Oczywiście. Ben, kochanie, skoro jesteś w tak dobrych rękach, to sobie pójdę. - Obróciła się na pięcie i pomachała mu przez ramię. - Zadzwoń do mnie, kiedy będziesz miał ochotę na coś interesującego.

Trzasnęła drzwiami nieco za mocno, psując tym samym efekt. Chwilę później z hukiem zamknęły się drzwi wejściowe.

- Przepraszam.

- O Boże! -jęknął Ben i naciągnął prześcieradła na głowę.

- Czy mam pójść za nią i wszystko jej wyjaśnić?

- Co wyjaśnić?

- Że jestem tylko troskliwą przyjaciółką.

- Przecież to nieprawda. - Sięgnął po drugi ręcznik.

- Im prędzej stąd wyjdę, tym lepiej. Powiem twojej matce, że niedługo się pobierasz.

- Pocałuj mnie. Pomyśl, że to mój ostatni pocałunek.

- Właśnie przez ten pocałunek mamy ten bigos. Do widzenia, Ben.

Zawołał ją, lecz się nie zatrzymała. Miała nadzieję, że Brittany jest osobą na tyle egocentryczną, że nikomu nie powie o swej wizycie u Bena. Gdyby

to zrobiła, Ben mógłby mieć kłopoty natury politycznej. A w głębi duszy Annabelle podejrzewała, że Brittany to wredna suka, która tylko czeka na odpowiedni moment, by się zemścić...

Gorączka spadła nad ranem. Ben wstał, wziął prysznic i zmienił pościel. Normalnie zostawiał to zajęcie sprzątacze, tym razem jednak nie miał ochoty spać w przepoconych prześcieradłach.

Położył się z powrotem do łóżka z nadzieją, że szybko zaśnie. Tymczasem leżał z otwartymi oczami, przewracał się z boku na bok, aż wreszcie się poddał. Wstał, poszedł do kuchni, zrobił sobie kanapkę z salami i sera oraz nalał szklanek mleka. Potem usiadł w skórzanym fotelu klubowym, oparł nogi na stoliku i włączył telewizor. Przełączał kanały, oglądając na przemian ewangelistów i reklamy zachwalające najnowszy sprzęt gimnastyczny, aż trafił na czarno-biały film.

Wpatrywał się w ekran przez pięć minut, zanim uświadomił sobie, co ogląda. Był prawnikiem wystarczająco długo, by wiedzieć, że wiek nie stanowi żadnej przeszkody, jeśli chodzi o popełnienie okrutnych zbrodni. W tym jednak filmie zabójcą było dziecko. Złe dziecko. Chwycił pilota, zmienił kanał i zauważył, że trzęsą mu się ręce.

Annabelle nie jest zła. Wątpił, by mogła zastrzelić swą matkę choćby przez przypadek. Problem polegał

na tym, że Annabelle święcie w to wierzyła. Być może to babka raczyła ją takimi i podobnymi opowieściami, rozgrzeszając w ten sposób swego syna. A może babka była przekonana o winie wnuczki? Plotki się rodzą, rosną, żyją własnym życiem...

Raymond Langley mógłby wrócić do domu po zwolnieniu z więzienia, przyznać się do swej zbrodni przed światem, tak jak się do niej przyznał w ugodzie z sędzią. Odsiedział swój wyrok, nikt nie może go już za nic ukarać. Człowiek honoru zmusiłby świat, by go wysłuchał, zmusiłby córkę, by zrozumiała, że nawet jeśli jej ojciec był mordercą, ona nie jest niczemu winna. A gdyby później chciał zniknąć, to jego sprawa. Wszystkiego najlepszego.

Tymczasem Langley był i zabójcą, i tchórzem. Ktoś musi udowodnić Annabelle, że jest niewinna. Ona potrzebuje kogoś w rodzaju Ivanhoe. Kogoś w rodzaju Bena Johnsona.

Ben jednak musi poświęcić jakieś sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt godzin tygodniowo na swoją pracę. Poza tym musi uczestniczyć w politycznych lunchach i kolacjach, a także w różnych uroczystościach. Zaraził się od Annabelle tak łatwo tylko dlatego, że był wyczerpany. Prawie nie bywał ostatnio w siłowni, a o golfie i tenisie wręcz zapomniał. Nie raz nie miał czasu na to, by swobodnie odetchnąć, a co dopiero mówić o badaniu sprawy zamkniętej dwadzieścia pięć lat temu.

Annabelle byłaby przerażona, gdyby się dowiedziała, że on zastanawia się nad przejrzaniem tych akt. Mogłaby mu tego nigdy nie wybaczyć.

A poza tym gdzieś w głębi jego duszy tłukło się pytanie: co będzie, jeśli się okaże, że babka mówiła prawdę?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Już całkiem dobrze się czuję, mam - oświadczył Ben, gdy zadzwonił do Elizabeth w niedzielę rano. - Posłuchaj, chcę cię o coś poprosić, ale nie będziesz z tego zadowolona.

- Trudno, słucham - rzekła z westchnieniem.

- Muszę się skontaktować z ojcem.

Tym razem Ben nie usłyszał żadnej reakcji.

- Mamo, jesteś tam? - zapytał po chwili.

- Niestety, nie mogę ci pomóc - odrzekła wreszcie. - Nie wiem, gdzie jest ani co robi. I prawdę mówiąc, nie chcę wiedzieć.

- A czy on może utrzymywać kontakty z jakimiś dawnymi przyjaciółmi?

Najpierw usłyszał westchnienie, a potem głos matki:

- Zadzwon do Stevena. Masz jego numer, prawda?

- Ostatni numer, jaki miałem do Stevena, był numerem firmy o nazwie Executive Specialties. Nie mam pojęcia, czym oni się zajmują.

- Steve jest bardzo małomówny, ale moim zda-

niem jest to organizacja zajmująca się ochroną biznesmenów.

- To istotnie coś dla Steve'a. Dobrze, mamu, skontaktuję się z nim. - Zawahał się, po czym dodał:

- Nie zapytasz mnie dlaczego?

- Domyślam się. Chcesz porozmawiać z ojcem o śmierci Chantal i skazaniu jej męża.

- Właśnie.

- Nie rób tego. Annabelle nie będzie ci chyba wdzięczna.

- Nawet jeśli ustalę, że jest niewinna?

- Nawet wtedy. Już ja wiem, jak ty rozwiązujesz problemy. Definiujesz je w swoich własnych kategoriach, potem określasz kroki, jakie twoim zdaniem należałoby przedsięwziąć, po czym zaczynasz działać jak podwórkowy kundel w eleganckim garniturze.

- To nie miał być komplement?

- Twoje podejście jest w pewien sposób godne podziwu. Nie możesz jednak manipulować życiem ludzi, żeby osiągnąć swoje cele.

- To niesprawiedliwe, co powiedziałaś. Annabelle cierpi...

- Owszem, cierpi. Ale czy będzie cierpiała mniej, czy więcej, jeśli otworzysz stare rany? Czy zyska na tym, czy straci? Czy twoje motywacje są altruistyczne, czy też chcesz oczyścić jej imię tylko dlatego, żeby móc ją przemienić w idealną żonę urzędnika

państwowego? W kobietę, której twoim zdaniem potrzebujesz?

Ben osłupiał. Potem zaczął nieśmiało protestować, wreszcie przytknął oczy.

- Może sam siebie oszukuję - wyznał - ale rzeczywiście wierzę w to, że prawda daje nam wolność, bez względu na to, jak trudno ją czasem przełknąć. Dlatego właśnie zostałem prawnikiem. Jeśli uwolnię Annabelle od wątpliwości i podejrzeń, od głupich plotek, a ona mimo to później ode mnie odejdzie, to przynajmniej zostanie mi świadomość, że zrobiłem coś dobrego.

- Czy jesteś całkowicie z sobą szczerzy? A z nią?

- Na litość boską, mamó! Jeszcze tydzień temu nawet nie przyszło mi do głowy, że na jakiegokolwiek kobiecie mogłoby mi zależeć tak jak na niej. A jeśli to jest miłość, to niech to szlag! Postaram się jakoś trzymać.

- Wobec tego dam ci numer Steve'a. W tej chwili ma jakąś robotę w Filadelfii. Czasem się ze mną kontaktuje, mimo że do nas nie przyjeżdża.

Pięć minut później Ben wykrecił numer podany przez matkę. Po czwartym sygnale ktoś podniósł słuchawkę i szorstki głos zapytał:

- Co tam?

- Nie „słucham”?

- Ben? Po kiego licha dzwonisz na ten numer?

Coś z matką?

- Matka czuje się dobrze. Wszyscy czują się dobrze. Słuchaj, zrób mi przysługę i powiedz, jak się skontaktować z ojcem.

Przez chwilę wydawało mu się, że brat odmówi podania mu tej informacji, w końcu jednak podał mu numer.

- Mieszka na barce w jakiejś przystani jachtowej na jeziorze Michigan - wyjaśnił. - Nic więcej nie wiem.

- Kiedy ostatnio z nim rozmawiałeś?

- Ze dwa miesiące temu. Miałem urodziny.

- Chryste, Steve, zupełnie zapomniałem.

- Ja też. Ale stary był chyba trzeźwy. Pytał o ciebie i matkę. Myślę, że za wami tęskni.

- Powinien był o tym pomyśleć, zanim się wyprowadził.

- Taak. Wszyscy popełniamy błędy.

- A ty co porabiasz? Kim są ci ludzie, dla których pracujesz?

- A, to takie chłopaki, co rozwiązują problemy.

- Głos brata nie zachęcał do dalszych dociekań. - Powiedz mi coś o sobie.

Gdy dziesięć minut później Ben odłożył słuchawkę, uświadomił sobie, że o życiu brata wie niewiele więcej, niż wiedział dotychczas. To cały Steve. Zaczęli oddalać się od siebie, kiedy brat wstąpił do szkoły wojskowej, a potem do wojska. Zawsze odnosił wrażenie, że Steve czuje do niego niechęć -

dlatego, że został w domu i że dobrze mu się powodzi. A jednak Steve utrzymywał kontakty z ojcem. Dziwny facet, ten jego brat.

Barka w przystani? Czy telefon zadzwoni na pokładzie, czy też w odrapanej budce właściciela, który w niedzielę nawet tam nie zagląda?

A może matka ma rację? Może należałoby pozostawić rzeczy ich własnemu biegowi? Naprawdę nie chciał zranić Annabelle. Zerknął na drzwi do garderoby. A może złamać obietnicę i otworzyć to przekłete pudło? Nigdy dotąd nie złamał słowa, ale...

Gdyby jego uczucia do Annabelle miały z niego zrobić samoluba i oszusta, to czy byłyby one cokolwiek warte? Jeśli ją straci przez swą własną głupotę, do końca życia nie odważy się być niczym innym niż automatem.

Podniósł słuchawkę, wykręcił numer i zaprosił Annabelle na śniadanie.

Jedyną barwną rzeczą, jaką wypatrzył w jej stroju, był szalik w szalone wzory, którym związała włosy w koński ogon. Gdy opuścili podjazd przed domem matki, zapytał:

- Dlaczego jesteś zawsze ubrana na czarno?
- Nie zawsze.
- Zazwyczaj. - Machnął ręką, wskazując krajobraz za oknem. - Jest wiosna. Kobiety wyciągają z szaf róże i błękity.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że razi cię mój wygląd?

- Nie! Mój Boże, nie. Zadaję ci pytanie, ponieważ chcę uzyskać informację. Nie ma w tym żadnych podtekstów.

Czuł jej oczy na swojej twarzy i wiedział, że ucho mu się zaczerwieniło. Ścisnął dłońmi kierownicę i patrzył prosto na samochody, które miał przed sobą.

- Dobrze. Po pierwsze, czerń to w Nowym Jorku podstawowy kolor. Zwłaszcza w przemyśle związanym z modą, a już szczególnie wśród kobiet zza kulis, takich jak ja, które ważą dobrze ponad czterdzieści pięć kilo i mają mniej niż metr osiemdziesiąt wzrostu. Poza sceną modelki wcale nie wyglądają tak cudownie.

Zerknął na nią.

- Myślałem, że wyglądają cudownie cały czas.

- Prawdę powiedziawszy, większość wyglądała by wspaniale nawet w worku. Ale kiedy nie pracują, chodzą na ogół bez makijażu, nie uczesane, w starych dżinsach, obszernych bluzach i zdartych adidasach. I noszą ogromne torby pełne potrzebnych rzeczy. To jest biznes, Ben.

- Jak się do niego dostałaś?

- Babcia miała krawcową, która przychodziła do domu, kiedy byłam mała. Ona się nade mną litowała i uczyła mnie szyć ubranka dla lalek, a potem babcia uznała, że powinnam się nauczyć szycia artystycz-

nego, którego dziewczęta uczono w jej czasach, to też spędzałam całe godziny na wyciąganiu nitek z białego batystu, na haftowaniu, wszywaniu wstawek koronkowych, i tak dalej.

- Nie cierpiałas tego?

- A myślisz, że miałam wybór? Właściwie nawet to lubiałam, z wyjątkiem tych chwil, kiedy babka przychodziła i krytykowała każdy szew. Ale kiedy poprosiłam o maszynę do szycia na urodziny, dostałam ją, chociaż nie od babki, lecz od Jonasa.

- Jonasa?

- Tak. On jest głównym ogrodnikiem, szoferem i złotą rączką. Zaczął tu pracować, kiedy miałam ze dwanaście lat, i właściwie to on mnie wychował, chociaż ogrodnictwo, ku jego rozpaczy, nigdy mnie nie pociągało. Dzięki niemu ogrody Langleyów stały się słynne. Co roku stają do konkursu.

- Nie mam czasu na konkursy ogrodów.

- W każdym bądź razie, ponieważ w rodzinie nie miałam pod ręką mężczyzny, szłam zawsze do Jonasa, kiedy na przykład zepsuł mi się rower. On jest jednym z niewielu ludzi, którzy nie pozwalają babci jeździć sobie po głowie.

- I to on dał ci maszynę do szycia?

- Tak. Woził mnie poza tym na lekcje w akademii i myślę, że to on wymógł na babce zgodę, żebym studiowała wzornictwo. Jest dla mnie kimś w rodzaju drugiego ojca.

Ben postanowił skontaktować się z tym chodzącym wzorem cnót. Jeśli ktokolwiek cokolwiek wie o Annabelle, to tym kimś może być właśnie Jonas. Wiedziony impulsem, wyciągnął rękę i uścisnął jej kolano.

- A to co znaczy?
- Cieszę się, że kogoś miałaś. To wszystko.
- Miałam babkę.
- A ja wietrzną ospę.

Gdy się roześmiała, uświadomił sobie, że po raz pierwszy usłyszał jej śmiech. Był niski, gardłowy, i szybko go zdusiła, jakby wywołał w niej zażenowanie. Ben jednak się ucieszył. Jeden z jego kolegów mawiał, że jeśli mężczyzna potrafi rozśmieszyć kobietę, potrafi także ją zdobyć.

- Powiedziałaś: „Po pierwsze”.
- Co „po pierwsze”?
- No, dlaczego ubierasz się na czarno.

- Aha. Zaczęłam nosić czarne stroje w szkole średniej. Babcia tego nie znosiła, ale nie umiała sobie ze mną poradzić. Już wtedy byłam dziwaczką, uznałam więc, że mogę też wyglądać na dziwaczkę. No i jak ci mówiłam, ważyłam trochę za dużo, a czerń wyszczupła. A poza tym czerń można łączyć z wieloma różnymi rzeczami i nie trzeba mieć wielkiej garderoby, żeby się ubrać na każdą okazję. No i mogłam sobie te stroje projektować. Jesteś zadowolony?

- Nie wierzę tylko w te kilogramy i dziwactwo.
- Gdybyś w szkole choć raz na mnie spojrział, zauważyłbyś, że byłam kluseczką. A w Nowym Jorku musiałam się nieźle nabiegać, no i pracowałam do późna w nocy, więc waga sama mi spadła. Teraz dalej nie mogę się obżerać, ale mogę już jeść jak normalny człowiek.

- To dobrze, bo chcę ci zaproponować na śniadanie szampana i trufle.

- Gdzie?

- Jedziemy do Peabody.

- Nie! Myślałam, że zabierasz mnie na naleśniki albo coś takiego.

- Zaslugujesz na tę knajpę.

- Zasluguję na to, żebyś mnie trochę słuchał. Proszę, Ben, nie jedźmy tam. Albo odwieź mnie do domu.

- Dlaczego? Co ci się w Peabodym nie podoba?

- Ci wszyscy ludzie, ten hałas. Ja kogoś spotkam, ty kogoś spotkasz. Podawanie rąk, przedstawianie się, będą na mnie patrzeć, oceniać.

Podjechał do krawężnika, wyłączył silnik i obrócił się w stronę Annabelle, lewą rękę trzymając na kierownicy.

- Chcę się z tobą pokazać. Czy to źle?

- Na jakiej zasadzie? Popatrzcie na tę wariatkę z Nowego Jorku, którą zatrudniła moja matka? Czy też: Zobaczcie, kto wrócił, możecie gapić się do woli?

- Nie. Wiem, że powrót do tego miasta poruszył w tobie pewne rzeczy, ale wierz mi, dla tych ludzi to stare dzieje.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, zacisnęła usta. Jeszcze raz położył rękę na jej kolanie.

- Uwierz mi. Mam informacje dotyczące większości skandali w tym rejonie. Tobą nikt się tutaj nie zajmuje.

- Przysięgniesz? A jeśli poczuję się źle, to czy będziemy mogli wyjść?

- Oczywiście, przysięgam na moje serce, i tak dalej, i tak dalej.

Kiwnęła głową.

Dwadzieścia minut później wysiadali z windy na najwyższym piętrze hotelu Peabody. Gdy kelner prowadził ich do stolika w pobliżu parkietu, Annabelle spytała szeptem:

- Ben, nie ma tu jakiegoś miejsca w kącie?

Kelner spojrział na nią z uśmiechem, odsuwając dla niej krzesło.

- Bardzo mi przykro, proszę pani, ale dziś mamy więcej gości niż zazwyczaj.

Skinęła głową i usiadła. Nie otrzymała żadnej karty dań, za którą mogłaby się schować. Stoły wokół nich ugięły się od wszystkiego, począwszy od tradycyjnych śniadań, a skończywszy na blinach podawanych przez kucharzy, na krabach i górach tłuszczu.

tych krewetek. Kelner napełnił ich kieliszki szampanem.

- Wznoszę toast - rzekł Ben - za nowy początek.

- A za rozsądek?

- Ben, stary! - rozległ się głos nad jej ramieniem.

- Dobrze, że cię widzę. I bardzo się dziwię, że nasz przysły prokurator okręgowy nie spędza w biurze niedzieli!

Ben wstał i przedstawił Annabelle radnego Marka Adlera. Mężczyzna uściśnął jej dłoń.

- Witam, młoda damo. - Sekundę później puścił jej rękę, jakby go oparzyła. - Langley... Wydawało mi się, że skądś panią znam. - Jego głos stał się nagle podejrzanie serdeczny. - Nigdy nie zapomnę twarzy. Pewnie przypomnę sobie o trzeciej w nocy, gdzie panią widziałem.

Mężczyzna poszedł dalej, a Ben usiadł.

- Widzisz? Mówiłam, że nie powinnam tu przychodzić - odezwała się Annabelle.

Zanim zdążył jej odpowiedzieć, obok ich stolika przystanąła młoda przystojna para, a w chwilę później Annabelle ujrzała jeszcze wysokiego mężczyznę. Poczuła, że gubi się wśród tych nieznanymi, uśmiechniętych twarzy, których nie zapamięta, ponieważ ci ludzie nie patrzyli jej w oczy. Ich nazwiska zapominała, jeszcze zanim odeszli.

Wyglądało to na procesję. Annabelle siedziała

z uśmiechem przyklejonym do twarzy, pod stołem miętosiła serwetkę, serce biło jej jak szalone, podczas gdy Ben wstawał i siadał, ścisnął dłonie, poklepywał po plecach, całował policzki. Znał, wydawało się, wszystkich, i co gorsza, wszyscy znali jego.

W końcu procesja się skończyła.

- Przepraszam - powiedział. - To wszystko znajomi z pracy.

Próbowała się uśmiechnąć, po czym znieruchomiała.

- Ben, kochanie. - Brittany pochyliła się nad ramieniem Bena i cmoknęła go w ucho. - Jak to dobrze, że już wyzdrowiałeś. - Uśmiechnęła się do Annabelle. - Zaprosiłeś swoją pielęgniareczkę na śniadanie?

Ben uśmiechnął się i odepchnął krzesło od stołu.

- Nie, nie wstawaj. Aha, chyba nie znasz Trenta Wellfleeta, prawda?

Mężczyzna u jej boku nie był tak wysoki jak Ben ani tak przystojny, Annabelle zorientowała się jednak, że jego spodnie i koszula nie pochodzą z tej części kraju. Zapewne nawet nie zostały zaprojektowane w Stanach.

- Trent ma zamiar otworzyć tutaj filię swojej firmy inwestycyjnej - wyjaśniła Brittany, biorąc towarzysza pod rękę. - A mieszka w Londynie. Miło mi było was zobaczyć - zakończyła i pociągnęła zdeorientowanego Trenta w stronę bufetu.

- Ben, proszę - szepnęła Annabelle. - Odwieź mnie do domu.

- Przepraszam za to wszystko, ale jak widzisz, nikogo nie obchodzi, kim byłaś.

- Z wyjątkiem tego Adlera.

- Być może. Ale to bez znaczenia.

- Nie jestem już głodna. - Wstała. - Zostań, pojedę taksówką. - Ruszyła w stronę wyjścia, mając nadzieję, że nie wygląda to tak, jakby uciekała.

- Annabelle, poczekaj! Odwiozę cię. - Ben rzucił na stolik dwa banknoty i wybiegł za nią.

W holu nacisnęła guzik windy i modliła się, by ta przyjechała, zanim Ben ją dogoni. Gdy drzwi się otworzyły, stanęła twarzą w twarz z Elizabeth i Philem.

- Annabelle, jak miło cię widzieć - rzekła Elizabeth.

- Właśnie wychodzę.

- Witaj, mamó, witaj, Phil - powiedział Ben. - Proszę, Annabelle, wróć. Przyłączymy się do nich. Phil wzbudza większe zainteresowanie niż ja.

- To świetnie — mruknęła Annabelle i zniknęła w kabinie windy. Zanim jednak zdążyła nacisnąć odpowiedni guzik, Ben przytrzymał drzwi i wsiadł za nią.

- Wracaj do matki. Nie ma powodu, żebyś miał sobie zmarnować poranek. Czy ci ludzie nie są twoimi wyborcami?

- Ty jesteś jedynym wyborcą, na którym mi zależy.

Oparła się o ścianę windy.

- Przepraszam, Ben. To nie chodzi o to, że ci ludzie mogą mnie poznać czy też coś o mnie powiedzieć, gdyby mnie rozpoznali; są zbyt uprzejmi, żeby to zrobić. Najgorsze jest to, że czekam, aż ktoś rozszerzą się oczy, co świadczy o tym, że ten ktoś mnie poznał. Nie masz pojęcia, jak bardzo wyczerpuje takie ciągłe napięcie, taki przymus samoobrony, dopatrywanie się insynuacji tam, gdzie jej nie ma. W Nowym Jorku nie muszę się tak zachowywać. Wiem, że nie powinnam była wracać, ale nie miałam wyjścia.

Wobec tego to już jest jasne, uznał Ben, patrząc, jak Annabelle usiłuje się uspokoić, jak rozprostowuje zaciśnięte pięści. Trzeba koniecznie się dowiedzieć, co właściwie przydarzyło się Chantal. Jeśli w wyniku jakiegoś tragicznego zbiegu okoliczności Annabelle istotnie strzeliła, lepiej, by o tym wiedziała, niż gubiła się w domysłach. Jeśli pociągnęła za spust, musi się pogodzić z faktem, że był to wypadek, i przestać cierpieć z powodu poczucia winy.

- Annabelle, daj spokój - powiedział. - Musimy zjeść śniadanie.

- Przepraszam, Ben, ale muszę iść do pracy.

- Przecież jest niedziela - zaprotestował.

Jeszcze godzinę temu oczami duszy widział up-

ływające powoli popołudnie, widział, jak się z nią kocha, sprawia jej przyjemność.

- Wiem. I dziękuję.

- A może jutro zjemy kolację?

Zatrzymała się na szóstym stopniu od dołu.

- Nie mogę. Muszę odwiedzić babcię.

- Musisz przecież kiedyś jeść.

- Kolacja to nie jest dobry pomysł. Dzięki, Ben - powiedziała i uciekła.

To było właściwe słowo. Uciekła od niego niczym nimfa ścigana przez satyra. Nigdy nie pragnął tak żadnej kobiety. Nawet Judy tak nie pragnął. No ale wtedy był chłopcem, a dziś jest mężczyzną.

Co oznacza, że ból po stracie będzie jeszcze większy.

Gdy tylko zatrzasnął drzwi swojego mieszkania i zrzucił z siebie marynarkę, usiadł na kanapie i począł gwałtownie szukać na stoliku numeru telefonu, który dał mu Steve. Jak w transie wykręcił numer, nie spodziewając się nawet, że po drugiej stronie ktoś podniesie słuchawkę.

Po siedmiu sygnałach usłyszał męski głos:

- Ahoj, w czym mogę pomóc, koleś?

Ben wstrzymał oddech. Zawsze rozpoznałby głos swego ojca, ten głęboki, modulowany baryton, którym ojciec posługiwał się niczym Stradivarius, gdy rozpoczynał swą mowę przed ławą przysięgłych. Głos, który wywoływał w nim dreszcze, ilekroć

zmieniał go alkohol. Tak, ojciec na pewno jest pijany, tylko tym można uzasadnić to idiotyczne powitanie.

- Halo? - powiedział. - Czy to Hal Jackson?

- Człowieku, a kto jak nie Hal miałby odpowiadać na telefon na jego własnej łodzi? A kto dzwoni, mój kawalerze? - Hal Jackson roześmiał się, jakby powiedział znakomity dowcip.

Ben podparł głowę na ręce.

- Tato, to ja, Ben.

Zapadła chwila ciszy.

- Co się stało, Ben? - spytał zmienionym głosem.

Steve i ojciec zgodnie chyba uważali, że Ben może do nich zadzwonić jedynie w przypadku jakiegoś kataklizmu. Nie był z tego dumny.

- Nic takiego, tato.

- Coś z matką?

- Nie. Matka czuje się dobrze ją czuję się dobrze, Steve przesyła ci pozdrowienia.

- A tak, od kogoś musiałeś dostać numer... - Znowu chwila milczenia. - Nie dzwoniłbyś do mnie < w celach czysto towarzyskich. Na pewno masz jakiś interes.

Kiedyś Ben uwielbiał ojca. Kiedyś był on jego bohaterem. Teraz sprawiał wrażenie człowieka, który nagle wytrzeźwiał.

- Dzwonię w interesie i z powodów osobistych. Potrzebuję twojej pomocy.

- Mojej pomocy? Jakim to cudem stary liberalny adwokacina mógłby pomóc następnemu prezydentowi Stanów Zjednoczonych, obiecującemu narodowi ład i bezpieczeństwo?

- Jestem za młody, żeby kandydować. - Ben usiłował mówić uprzejmie.

- Och, nie ma pośpiechu. Jeszcze zdążysz przywrócić szubienice i egzekucje na oczach gawieździ.

- Nie po to dzwonię, żeby dyskutować o moich przekonaniach politycznych.

Śmiech ojca nieco przycichł.

- No i chyba dobrze. A więc o co chodzi? Taka rozmowa kosztuje. Nie podatników, mam nadzieję?

- Nie. Chciałbym cię zapytać o jedną ze starych spraw. Może ją pamiętasz. Strzały. Przemoc w domu. Chantal Langley.

Po chwili milczenia ojciec zapytał zduszonym głosem:

- Dlaczego? Dlaczego ta sprawa, Ben? Dlaczego teraz, po tylu latach?

- Stara pani Langley umiera, ojcze.

Zastanawiał się, czy wspomnieć ojcu o owym tajemniczym pudle, lecz zrezygnował. Pewnie kazałyby mu je otworzyć, mając gdzieś wolę klienta. Hal strawił życie, grając ze sprawiedliwością w ciuciubabkę. Ponieważ istotnie nosiła na oczach opaskę, było mu łatwiej wywinać się z jej rąk. Ojciec był geniuszem

w trzymaniu swych winnych klientów tuż poza zasięgiem jej ramion.

- No i?

- No i Annabelle Langley wróciła, żeby się nią opiekować. Wiesz, ozywają stare plotki. Chcę poznać prawdę; chcę wiedzieć, co się wtedy stało.

- Nawet po tylu latach nie mogę ci zdradzić, co powiedział mi mój klient. Nadal obowiązuje mnie tajemnica adwokacka.

- Załatwiłeś Rayowi ugodę z sędzią, a to znaczy, że był winny, prawda?

- Zrobiłem tak, bo mnie o to prosił. Nie chciał ciągać po sądach ani matki, ani córki. Myślę, że wyciągnąłbym go z tego, gdyby dał mi szansę. Zawsze żałowałem, że nie walczyłem o niego.

- A czy nie był on jedynym człowiekiem, który mógł to zrobić?

- Nie w tym rzecz. Prokurator miał bardzo marny materiał dowodowy i myślę, że sędzia pod wpływem moich argumentów by go obalił, zanim ława przysięgłych miała okazję go ocenić.

- A gdzie tu sprawiedliwość? Chantal Langley umarła.

- Już o tym mówiliśmy. Jeśli prokurator wykona swoją robotę dobrze, wtedy do sądu trafia solidny akt oskarżenia. Jeśli nie, to jego wina, nie moja.

- A winny zostaje wypuszczony, żeby zabijać dalej.

- Teraz myślisz o Judy.

- Oczywiście. Nigdy nie przestaję myśleć o Judy. Pamiętam, że gdyby nie ty, jej zabójca siedziałaby za kratkami, a ona by żyła. Cały czas o tym pamiętam.

- O ile wiem, Raymond Langley nikogo później nie zabił.

- Nie pod tym nazwiskiem. Zniknął przecież wiele lat temu. Mógł popełnić wiele morderstw na całym świecie, a ty i tak o niczym się nie dowiesz. I zresztą pewnie cię to nawet nie obchodzi.

- Ale tego morderstwa nie popełnił. Cholera, nie powinienem był tego mówić.

- A czy ktoś jeszcze to mówił?

- Przejrzyj stare akta. Przeczytaj opis autopsji, raporty policyjne. Przejrzyj dowody zbrodni. I sam, do jasnej cholery, wyciągnij z tego wnioski, jeśli jesteś taki mądry!

Ben pomyślał, że ojciec odłoży słuchawkę, lecz po chwili usłyszał jego neutralny ton:

- Jak miewa się matka, Ben?

- Ładnie wygląda, odnosi sukcesy, jest spokojna i szczęśliwa.

- Cieszę się. A ty?

- Pewnie zostanę prokuratorem generalnym, jeśli wszystko pójdzie dobrze.

- Ożeniłeś się?

- Jeszcze nie. Nikt jeszcze nie zrobił cię dziad-

kiem. A co u ciebie? Czy mam jakieś przyrodnie ro-
dzeństwo?

- Nic o tym nie wiem. Nie masz też macochy.

- Dlaczego mieszkasz na jachcie?

- To nie jacht, to żaglówka. Poświęcam jej
wszystkie moje pieniądze i niemal cały czas.

Ben pragnął spytać ojca o jego pracę, o to, czy
nadal jest adwokatem, nie wiedział jednak, jak ma
sformułować to pytanie.

- W odpowiedzi na tę chwilę milczenia - ciągnął
ojciec - wyjaśniam ci, że nadal trochę praktykuję,
ale nie zajmuję się już sprawami karnymi. Wolę że-
głować.

- I pić?

- Teraz nie piję, ale jutro... Nigdy nie wiadomo.

- Dlaczego nie zajmujesz się prawem karnym?

- Może na stare lata dostąpiłem łaski objawienia.

- Wątpię.

- Ben, jesteś moim synem i bez względu na to,
co o mnie myślisz, zawsze będę cię kochał.

- Jasne.

Rzucił słuchawkę na widełki z większą siłą, niż
miał zamiar. Najgorsze w tym wszystkim było to,
że on sam nadal kochał ojca. Życie byłoby o wiele
prostsze, gdyby potrafił go znienawidzić.

Położył głowę na oparciu kanapy. Im więcej miał
lat, tym bardziej jego życie przypominało szwajcar-
ski ser. Dziury po dziadkach, którzy umarli dawno

temu, po bracie, z którym się nigdy nie spotykał ani nie rozmawiał, po ojcu, który zniknął, po przyjaciółkach ze studiów, z którymi stracił kontakt, i najboleśniej chyba pustka po Judy.

Pozostała mu tylko matka, Marian, Phil, i ostatnio dołączyła do nich Annabelle. Miał mnóstwo znajomych, sojuszników i wrogów politycznych. Czy ma rację, odcinając się od emocji, od uczuć, jakie żywi do tych ludzi?

Jak, do cholery, może być dobrym prokuratorem, skoro nie rozumie ludzi, zarówno tych dobrych, jak i złych? Skoro nie rozumie siebie? Skoro obce mu jest uczucie empatii w stosunku do ofiar oraz ich rodzin?

Przygłodził włosy. Może coś go skierowało na sprawę Annabelle? Nagle zapragnął się dowiedzieć, kto pociągnął za spust, oraz dlaczego tak się stało.

Tego samego dnia po południu za kratą magazynu policyjnego siedział bardzo młody funkcjonariusz. Ben okazał mu swoją legitymację i wypełnił formularz z prośbą o udostępnienie mu akt sprawy Chantal Langley.

- Bardzo bym chciał panu pomóc, ale nie mam bladego pojęcia o tym, co tu mamy - oznajmił młody człowiek. - Siedzę tu, bo w zeszłym tygodniu zwichnąłem ramię.

- W pościgu za przestępcą?

Funkcjonariusz uśmiechnął się szeroko.

- Moje dzieci grały w piłkę nożną. Podczas rozgrzewki zacząłem się wygłupiać i ofiarnie rzuciłem się na piłkę. Myślę, że dziś nikt się nie wstydzi płakać na oczach dzieci.

- Z powodu zwichniętego ramienia na pewno nie. A może bym wszedł na zaplecze i sam poszukał tych akt?

Mężczyzna zrobił niepewną minę.

- Z niczym nie ucieknę - dodał Ben. - I zgłoszę się do pana przed wyjściem.

- Dobra, niech będzie. Ale musi mi pan podpisać dokument, jeśli pan zechce coś wynieść.

- Oczywiście.

Ben znał z grubsza rozkład magazynu. Sięgające do sufitu półki wypełnione były pudełkami z opisami akt i datami. Wnętrze pachniało lekko zwilgotniałym betonem, kurzem i pajęczynami. Niedawno zaczęły krążyć plotki o zamiarze zniszczenia starych akt, Ben wiedział jednak, że dokumenty dotyczące zabójstw, nawet tych wyjaśnionych, nigdy nie pójdą na przemiał.

Po dwudziestu minutach miał brudne ręce, zakurzoną marynarkę i katar, zdołał jednak zawęzić pole swych poszukiwań do sektora z prawej strony. Zadowolony, że przyniósł z sobą latarkę, zaczął przeglądać górne półki, aż wreszcie wypatrzył właściwy numer. Znalazł metalowe schodki, przyciągnął je do

odpowiedniego regału i zniósł pudełko na dół. Nie wiele było tych akt. Podszedł do zniszczonego drewnianego stolika stojącego pod jedynym w tym miejscu górnym oświetleniem i rozwiązał tasiemki na wieczku.

Do pudełka wrzucono wszystko, łącznie z notatnikami, z których korzystali detektywi. Przez następną pół godziny Ben układał zawartość pudła w jakimś chronologicznym porządku, a potem zaczął czytać opis z sekcji zwłok i przeglądać zdjęcia z miejsca zbrodni. Wydawało się, że jest to po prostu jedno z wielu zabójstw popełnionych w zaciszu domowego ogniska. Jeden strzał z pistoletu należącego do Raymonda Langleya, kaliber 9,65 milimetra. Na broni znaleziono tylko odciski palców właściciela.

Brak odcisków palców Annabelle. Ben wydał westchnienie ulgi i czytał dalej.

Kula trafiła Chantal Langley prosto w serce. Strzał doskonały. Na rękach Raymonda Langleya znaleziono ślady prochu. Czteroletnia Annabelle spędzała noc w domu babki stojącym na drugim końcu ogrodu.

A więc nawet nie było jej w domu, gdy Chantal została zastrzelona! Czy wie o tym? Czy jej zaślępiona nienawiścią babka uważała za stosowne ją o tym poinformować? Czy też była tak bardzo skoncentrowana na chronieniu swego jedyne go syna - oraz statusu społecznego - że z chęcią rzuciłaby Annabelle na pożarcie wilkom?

Nie wykluczyłyby, że zrobiła z Annabelle ofiarę, opierając się na założeniu, że czteroletnie dziecko nie zostanie postawione przed sądem. Wypadek nie jest zabójstwem.

Kolorowe zdjęcia zrobione przez detektywów w polaroidzie zbladły z upływem lat i teraz miały barwę psujących się pomarańczy, dawały jednak lepsze wyobrażenie na temat ofiary i jej otoczenia niż oficjalne zdjęcia czarno-białe.

W oczy rzucała się przede wszystkim krew. Mnóstwo krwi. Strzał zapewne nie zatrzymał serca natchmiast i jeszcze przez jakiś czas pompowało ono krew na białą suknię ofiary.

Chantal leżała na plecach tuż obok kominka w salonie, jej brązowe ręce i nogi były rozrzucone. Na stopach miała sandały na wysokich obcasach. Bez pończoch? W paździeniku? Paznokcie miała pomalowane na różowo. Ben zerknął do opisu z autopsji: brak majtek, choć nie ma śladów stosunku seksualnego. Być może nie lubiła nosić bielizny.

Chantal była piękna nawet w chwili śmierci. Poczuł skurcz bólu, gdy ujrzał jej twarz w zbliżeniu. Czekoladowe oczy nie lśniły tym światłem, które widział w oczach Annabelle, lecz miały identyczny kształt. Twarz obu kobiet przypominała owalem serce. Włosy Chantal o barwie kawy z mlekiem były tak samo rozwichrzone jak u Annabelle i leżały wokół jej głowy rozsypane i poskręcane, jak gdyby chciały odpełznąć.

Oderwał wzrok od jej twarzy i skoncentrował się na otoczeniu. Pistolet leżał na okrągłym pufie między dwiema kanapami. Puf ten najwyraźniej służył za stolik, ponieważ leżało na nim kilka czasopism, a kilka innych zsunęło się na podłogę. Następne zdjęcie przedstawiało w zbliżeniu tłąstą plamę na stoliku. Przed wystrzałem broń została oczyszczona i naoliwiona, lecz później już nikt o nią nie zadbał.

Rozbolała go głowa, zapewne z powodu nadmiaru kurzu. Potarł grzbiet nosa, skronie i wrócił do lektury akt.

Coś go w tym wszystkim uderzyło, nie potrafił jednak sobie uzmysłwić co konkretnie. Przez dziesięć minut na zmianę oglądał zdjęcia i czytał raport z sekcji zwłok. Wreszcie wszystko stało się jasne.

Chantal była wyższa niż Annabelle - miała metr siedemdziesiąt trzy wzrostu. Wysokie obcasy dodawały jej kilku następnych centymetrów. Czteroletnie dziecko jest niskie. Zakładając, że z jakiegoś powodu broń leżała na pufie naładowana, zakładając również, że Annabelle była w domu, a nie u babki, zakładając wreszcie, że zeszła na dół, zobaczyła broń, wzięła ją do ręki, wycelowała w stronę matki i pociągnęła za spust, to kula powinna wejść w ciało pod kątem ostrym.

Tymczasem weszła pod kątem niemal prostym, przez mostek, przebiła serce i oparła się na jednym z żeber. Takie małe dziecko nie może być aż takie

wysokie. Miał w rękach dowód. To Raymond Langley zastrzelił żonę, podczas gdy jego córka spała w domu babki trzydzieści metrów dalej.

Musi natychmiast zadzwonić do Annabelle i powiedzieć jej o tym. Nie, jeszcze nie. Ławy przysięgłych miały kłopoty z interpretowaniem ekspertyz balistycznych, Annabelle też tak łatwo się z tym nie upora. Od ponad dwudziestu lat żyje dręczona głębokim poczuciem winy. A jeśli mu nie uwierzy, nie zrozumie, że to jest naprawdę dowód? Trudno, skoro już wkroczył na tę ścieżkę, musi kroczyć nią dalej.

W tej chwili najważniejsze było to, że zyskał pewność, iż kobieta, którą kocha, nigdy nikogo nie zabiła.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Zadzwoił do Annabelle z samochodu, lecz jej telefon milczał. W spisie informacji telefonicznej nie posiadano numeru pani Langley. Myślał chwilę, bezskutecznie usiłując przypomnieć sobie numer, który staruszka mu kiedyś podała, po czym wystukał go palcami, nie patrząc na klawiaturę. Czasami, gdy w takich przypadkach umysł go zawodził, często ratowały go palce, jakby „pamiętające” sekwencję cyfr.

- Rezydencja Victorii Langley.
- Annabelle? Tu Ben. Będę za pięć minut.
- Ben? Ale dlaczego?
- O nic nie pytaj. Wszystko ci opowiem. Powiedz pani Langley, że chcę z nią porozmawiać.
- Teraz śpi.
- Więc poczekam, aż się obudzi.

Gdy kilka minut później Annabelle wpuściła go drzwiami od strony basenu, powiedziała:

- Niedawno się obudziła i na zmianę albo zachwyca się, że odwiedzi ją atrakcyjny mężczyzna, albo wścieka, że w ogóle zadzwoniłeś. Ben, o co chodzi?

Wyciągnął do niej rękę, lecz się cofnęła.

- Jak poważnie jest chora? - zapytał, opuszczając ramiona wzdłuż ciała. Pomyślał, że Annabelle na pewno nadal jest obrażona o to śniadanie. I słusznie.

- Ma dobre i złe dni.

- A dziś?

- Dziś jest całkiem dobry dzień. Ben, jej organizm powoli przestaje funkcjonować. Serce, nerki... Ona bierze całe tony leków, ale one przecież nie leczą, tylko pomagają jej jakoś przetrwać. Lekarz jej daje od czterech do sześciu miesięcy życia.

- Ale bezpośredniego zagrożenia nie ma?

- Nie. Ben, przerażasz mnie.

- Może lepiej zawiadom jej lekarza, bo to nie będzie przyjemne.

Ruszył na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz. Annabelle dotrzymywała mu kroku. Przed drzwiami sypialni przystanął i dodał:

- Miałem dla niej wiele sympatii, ale mi przeszło.

- Wszedł do środka. - Dzień dobry pani - powiedział.

- Wynajęłam pana, młody człowieku, do wypełnienia konkretnej misji. Nie daje to panu prawa do naruszania mojej prywatności. - Victoria Langley spojrzała na niego spod przymrużonych powiek. - I to w stroju, który zmuszona jestem nazwać nieporządny.

W jej głosie wyczuł siłę. Również wyglądała na silną. Żałował, że nie może sprawdzić, jaki kolor mają jej wargi pod tą karminową szminką albo też paznokcie pod wściekle czerwonym lakierem. Nie chciał przyspieszać jej śmierci, lecz musiał powiedzieć jej wszystko, bo być może jest to jedyna okazja, by z nią porozmawiać.

- Myślę, że powinniśmy zostać sami.

Podniosła do góry brwi.

- Nie sądzę. Annabelle, zostań.

- Tak, babciu.

- Dobrze. - Ben usiadł przy łóżku i głęboko odetchnął. Od chłopców z wydziału zabójstw dowiedział się, że udawana sympatia bywa skuteczna, konfrontacja zaś nigdy. Przybrał więc spokojny, jak mu się wydawało, ton. - Kto rozpuścił plotki, że Annabelle zastrzeliła matkę?

- Co? - Przymknęła oczy i zaraz je otworzyła.

- A skąd ja mam to wiedzieć?

- Oboje wiemy, że nie mogła tego zrobić. Nie było jej w domu, kiedy matka zginęła. Była tutaj, i spała.

Usłyszał syk Annabelle, lecz nie odwrócił głowy.

- Kto panu to powiedział? - zapytała staruszka ostro.

- Policja.

- Czytał pan akta? - Głos Victorii Langley podniósł się niepokojąco. - Śmiał pan grzebać w rzeczach, które najlepiej zostawić w spokoju?

- Ostrzegałem panią, że przede wszystkim jestem prokuratorem. Sprawdzam wszystko, co mam ochotę sprawdzić. Kto rozpuścił te plotki?

Victoria Langley oparta się o poduszki i na jej twarzy pojawił się uśmiech leniwego kota, taki sam jak na portrecie.

- Harold Jackson, pana ojciec.

Ben miał wrażenie, jakby otrzymał cios prosto w pierś. Oczywiście, Hal gotów był ogłosić, że Kuba Rozpruwacz urodził się ponownie, gdyby to miało uratować jego klienta.

- Annabelle nie mogła jednak zastrzelić matki, prawda? - W jego głosie brzmiał teraz chłód.

- Bo była tutaj? - Babka zerknęła na swą wnuczkę.

Ben miał wielką ochotę odwrócić się, by zobaczyć minę Annabelle, wołał jednak nie spuszczać oczu z twarzy staruszki.

- No cóż, kiedy policja przyszła zawiadomić mnie o śmierci Chantal, Annabelle rzeczywiście spała na górze, ubrana w piżamkę w zajączki.

- Babciu? - Annabelle podeszła do łóżka.

Victoria Langley gestem nakazała jej milczenie, nie zdejmując oczu z Bena.

- A czy ten pański raport policyjny wspomniał, ile razy Annabelle nocowała w tym domu przed aresztowaniem jej ojca?

Nagle zrozumiał, do czego to wszystko zmierza.

Zadał pytanie, na które, jak mu się wydawało, zna odpowiedź, i przekonał się, że nie było to dobre pytanie.

- Przypuszczam, że często. Domek Langleyów stoi niedaleko.

- Chantal i ja nie byliśmy blisko.

- To bardzo łagodnie powiedziane - szepnęła Annabelle.

- Ja uważałam, że nawet bardzo małe dzieci powinny być karmione regularnie, a Chantal pozwalała dziecku robić, co chce. Ja uważałam, że kobieta powinna dbać o coś takiego jak moralność, odpowiednio się ubierać, zachowywać, a dla Chantal wszystkie te rzeczy nie istniały. Proszę przeczytać dokładnie ten raport policyjny, panie zastępczo prokuratora. Policja znalazła Annabelle śpiącą w pokoju gościnnym, a do obu stron łóżka przysunięte były fotele, żeby nie wypadła. Od tego czasu Annabelle spała już w tym łóżku, ale tamta noc była pierwszą, jaką spędziła w tym domu.

- Langley ją tu przyniósł, żeby ułatwić sobie zastrzelenie żony.

- Mój syn przyniósł ją tutaj śpiącą, owiniętą w koc, a zaraz potem zadzwonił na policję. Był w stanie hysterii. Dopiero wiele godzin później dowiedziałam się, że Chantal nie żyła już od pewnego czasu.

- Nie chciał, żeby policjanci obudzili Annabelle.

- Annabelle była czyściutka, kiedy mój syn przyniósł ją do mnie o północy. Jej włosy przy szyi były jeszcze wilgotne. Annabelle jako dziecko okropnie się brudziła i zawsze przed pójściem do łóżka trzeba było ją kapać. A do łóżka kładziono ją pięć godzin wcześniej. - Victoria Langley pociągnęła nosem. - Mój syn był głupcem. Wydawało mu się, że przekona policję, że usłyszał włamywacza i strzelił, nie zdając sobie sprawy, że celuje do Chantal. - Odchrząknęła. - Absurdalne. Uraczył policję tą historyjką przed przyjazdem Hala Jacksona. Ale po Hala zadzwoniłam ja. Nie wiedział pan o tym, prawda, mój chłopcze?

- A więc to mój ojciec rozpowszechnił tę plotkę.

- Dopiero później, kiedy Raymond powiedział mu prawdę. Policja nie tylko nie kupiła tej historyjki, ale także uznała ją za żalosną próbę przerzucenia odpowiedzialności za zbrodnię na czteroletnią córkę.

- W świetle prawa czteroletnie dziecko nie może popełnić zbrodni.

- Nikt nigdy nie twierdził, że zabiła matkę specjalnie. Hal jednak obawiał się, że gdyby próbował przekonać ławę przysięgłych o prawdomówności Raymonda, zostałyby wyśmiany, a Raymond by skończył na krześle elektrycznym.

- No cóż, nie miał okazji się przekonać.

- Nie. Raymond demonstrował rycerską głupotę do samego końca i nie zgodził się na proces. Pro-

kurator zgodził się na ugodę przy założeniu, że Chantal została zastrzelona w afekcie.

- A co Raymond powiedział pani? - zapytał Ben.

- Czy kiedykolwiek wyznał prawdę?

- Jeden jedyny raz poszłam do więzienia go odwiedzić i wtedy mi przysiągł, że naprawdę widział, jak Annabelle pociągała za cyngiel. - Pani Langley zaczęła się śmiać.

Ben poczuł, że robi mu się gorąco. Annabelle stała przy łożu babki, zaciskając ręce na słupku baldachimu. Oczy miała szeroko otwarte, twarz przerażoną. Chwilę później odwróciła się i wybiegła z sypialni.

Ben ruszył biegiem za nią, a triumfalny śmiech Victorii Langley ścigał ich oboje.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Nie zamykaj się przede mną - mówił Ben, stojąc przed drzwiami dawnej sypialni Annabelle. - Proszę.

Otworzyła drzwi tak gwałtownie, że omal nie wpadł do środka. Gdy odzyskał równowagę, Annabelle stała już przy oknie i patrzyła na ogród i basen.

- Czy mam ci podziękować? - spytała zwrócona do niego plecami.

Ujął ją za ramiona i obrócił do siebie twarzą.

- To nieprawda, co mówi twoja babka. Przyśięgam.

- Nieprawda, że to zrobiłam, czy nieprawda, że mój ojciec widział, jak strzelałam? - Jej ciemne oczy płonęły, napięte mięśnie twarzy lekko drgały.

- Nie zrobiłaś tego, a co twój ojciec naprawdę powiedział, tego nie wiemy. Ta stara wiedźma znowu kłamie.

- Znowu? A jakie są te inne kłamstwa? Oświeć mnie.

- Jestem ci winien przeprosiny. Popełniłem kardynalny błąd. Zadałem pytanie, zanim poznałem fa-

ky. Ale to wszystko, co powiedziała twoja babka, nie zmienia faktu, że nie mogłaś zastrzelić swojej matki nawet przez przypadek.

- Czyżby? - Usiadła na brzegu wysokiego łóżka.

- Tak. Twój ojciec był zapewne śmiertelnie przeżony tym, co zrobił. Nie wykluczam, że mój ojciec rozpracował szczegóły tej historii i namówił twojego ojca, żeby przekazał je policji. Mój ojciec zdawał sobie sprawę, że wersja o włamywaczu jest słabiotka.

- Jak on tego dokonał?

- Posłuchaj, Annabelle, ani twój ojciec, ani twoja babka nie mówili, że zabiłaś matkę ze złości. W najgorszym razie był to wypadek.

- Czyżby?

- Jeśli czteroletnie dziecko kogoś zabija, to tylko przez przypadek.

- Doprawdy?

- Czy nie pamiętasz, co się wtedy stało?

- Pamiętam, że obudziłam się w obcym łóżku i zaczęłam płakać, bo nie wiedziałam, gdzie jestem. Przez te wszystkie lata babcia mówiła mi tyle różnych rzeczy, że wszystko mi się pomieszało.

- Próbowowałaś hipnozy?

Spojrzała na swe kurczowo zaciśnięte ręce.

- Wbrew temu, co mówią w telewizji, hipnoza nie zawsze jest kluczem otwierającym zapomniane epizody z życia. Próbowалам skorzystać z hipnozy

na pierwszym roku w college'u. I nic. Biała plama. A to skłania mnie do przekonania, że jestem winna.

Ukląkł i ujął jej dłonie.

- Nie jesteś niczemu winna. Nawet gdybyś strzeliła niechcący, nie byłabyś pierwszym dzieckiem, które zastrzeliło krewnego lub przyjaciela. Jest to straszliwa tragedia, ale z pomocą terapii, miłości i wsparcia te dzieci godzą się w końcu z tym, że były zbyt małe, by ponosić odpowiedzialność za swój czyn taką jak człowiek dorosły, i nie odpowiadają za to przed prawem. Między wypadkiem a zabójstwem jest wielka różnica, Annabelle.

Wyrwała rękę z jego dłoni.

- A więc mam się z tym pogodzić? Dobrze, więc jak to jest, panie mecenasie? Ta broń w jakiś sposób znalazła się na dole. Ojciec trzymał ją w szafce nocnej. Ja miałam o tym nie wiedzieć, ale wiedziałam. Przecież mogłam ją wziąć z szafki, zejść z nią na dół i strzelić do matki, bo nie dała mi na deser lodów!

- Nie.

- Tak. Dzieci ciągle widzą takie rzeczy w telewizji. W soboty oglądałam kreskówki. Kamień naprawdę nie rani kojota, kiedy spada mu na głowę. Dzieci z mojej grupy cały czas bawiły się w policjantów i złodziei, w ludzi i przybyszów z innej planety. Mnie naprawdę mogło się wtedy wydawać, że zrobię takie małe puk-puk, żeby ukarać matkę, no i wtedy ona mi da te lody.

- Nie - powtórzył.
- Dlaczego nie? - Podniosła głos.
- Ponieważ rana znajduje się zbyt wysoko, a kula weszła pod kątem zbliżonym do prostego. Nie mogło tego zrobić czteroletnie dziecko, chyba że po urodzeniu miałaś ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i od tamtej pory nie urosłaś, tylko się skurczyłaś.

- Co?!

- Dziś po południu przeczytałem raport z sekcji zwłok. - Wzdrygnęła się. - Kula weszła prosto w serce. Pistolet był na wysokości wlotu. Ty nie mogłaś tak strzelić, bo byłaś za mała.

- Może mama siedziała.

- Nie. Ciało leżało przed kominkiem, a ekspertyza wykazałaby, że zostało przesunięte.

Annabelle była oszołomiona.

- Naprawdę? Jesteś tego absolutnie pewien?

- Medycyna sądowa nie kłamie. Twoja matka została zastrzelona przez kogoś wysokiego. Ile wzrostu miał twój ojciec?

- Nie mam pojęcia. Chyba był wysoki.

- Masz jakieś zdjęcia?

- Nie. Babcia wyrzuciła wszystkie zdjęcia jego i matki. Mogłabym go minąć na ulicy i nie poznać.

- Czy jesteś pewna, że ona nie ma absolutnie żadnego zdjęcia?

- Jeśli ma, to bardzo dobrze je ukryła.

- Hm, w protokole zatrzymania znajdę jego dane

i zdjęcie. Dziś nie miałem na to czasu. Pójdę do archiwum jutro przed pracą.

- Ben, nie.

-. Dlaczego?

- Proszę, zostaw to. Jeśli ktoś się zorientuje, znowu zrobi się szum. Nie ruszaj tego.

- Nie chcesz wiedzieć?

- Powiedziałeś, że nie mogłam zastrzelić matki, wobec tego zrobił to mój ojciec i winę zrzucił na mnie.

- A może to babka ją zastrzeliła i zrzuciła winę na ciebie? Czy kiedykolwiek o tym pomyślałaś?

- Nie!

- Podejrzewam, że twój ojciec prędzej by skłamał, żeby chronić ją niż siebie. Ona nie cierpiała twojej matki, prawda?

- Owszem, ale nigdy nie robiła z tego tajemnicy.

- A ojciec?

- Zawsze myślałam, że kochał matkę. Przynajmniej wtedy, kiedy brał z nią ślub.

- Nie mam więcej pytań. Ale żeby podreżyc dziecko Chantal, to czy nie najlepiej wmówić mu, że zabiło matkę?

Annabelle zaczęła kręcić głową. Skuliła ramiona, w jej oczach pokazały się łzy.

- Nie uwierzę w to, Ben. Nie jest łatwo z nią wytrzymać, ale wydaje mi się, że ona na swój sposób troszczy się o mnie. Przez tyle lat miałyby próbować

mnie zniszczyć? Nie, nie mogę się aż tak co do niej mylić. - Spojrzała mu w oczy. - Prawda?

Przyciągnął ją do siebie i przytulił.

- Nie wiem. Wiem tylko tyle, że mam zamiar odkryć prawdę, złożyć ją u twoich stóp, a potem się z tobą ożenić.

Zesztywniała.

- Co powiedziałeś?

- Powiedziałem, że...

- Powiedziałeś, że się ze mną ożenisz.

- Złożę u stóp swojej pani dar. To powiedziałem.

Potrząsnęła głową i odsunęła się od niego.

- Nie, Ben. Nigdy. - Podniosła do góry ręce zacisnięte w pięści. - Co mam zrobić, żebyś mnie posłuchał? Nie zostanę twoją żoną. Nie znoszę poznawania nowych ludzi. Nie potrafię udawać, że coś mnie interesuje, jeśli mnie nie interesuje, i nie podoba mi się zainteresowanie tych ludzi mną. Nie lubię całować obcych dzieci, a skoro nie mam zamiaru mieć własnego, kwestia dzieci może stać się problemem.

- To twój wybór, chociaż myślę, że moja matka chciałaby mieć wnuki.

Annabelle wzdrygnęła się.

- Masz chyba jakieś przestarzałe przekonanie, że skoro pozbawiłeś mnie dziewictwa, to musisz zrobić ze mnie uczciwą kobietę. Zapomnij o tym.

Położył ręce na jej ramionach.

- Owszem, twoje dziewictwo to był dla mnie dar, ale gdybyś kogoś miała przede mną, na pewno by mnie to nie obchodziło, pod warunkiem, że nie będzie nikogo po mnie. Czy myślisz, że mógłbym kiedykolwiek spojrzeć na inną kobietę, zapragnąć innej kobiety? Już po pięciu sekundach, kiedy zobaczyłem cię w tej pracowni, wiedziałem, że jesteś jedyną kobietą na świecie, którą chcę mieć. - Westchnął. - Przyznaję, że nie byłem tym zachwycony, ale byłem o tym przekonany. Ty zresztą czujesz to samo.

Skuliła się i znowu się od niego odsunęła.

- Nie! Rzucasz mi tę głupią propozycję tak spokojnie, jak gdybyś mnie zapraszał na krótki spacer. Nigdy nie wyjdę za męża, Ben. Ani za ciebie, ani za nikogo. Zrozumiałeś?

Opuścił ręce, lecz na jego twarzy nie było widać rezygnacji.

- Masz rację. Nie powinienem był użyć takiej formy.

Usiadła na łóżku i zwiesiła ręce między kolanami.

- Wierzysz mi? Poddajesz się?

- Nie, ale też nie mam zamiaru cię do niczego zmuszać. Przynajmniej nie dzisiaj. - Usiadł przy niej, oparł się o poduszki i dłońmi ścisnął głowę. Serce biło mu jak szalone, lecz nie chciał, by Annabelle dostrzegła, że traci pewność siebie. - Najpierw i tak musimy wyjaśnić sprawę tego morderstwa.

Gdy wyciągnął rękę, Annabelle przesunęła się na drugą stronę łóżka.

- Zupełnie mnie nie słuchasz, prawda? - powiedziała. - Po prostu idziesz jak taran w kierunku, który wydaje ci się słuszny. Dlaczego czujesz, że masz wobec mnie jakiegokolwiek zobowiązania? Czy to z powodu twojego ojca?

- Nie - odparł, lecz zabołało go to pytanie.

- Zostaw to wszystko, Ben. Jeśli mnie nie posłuchasz, nigdy się do ciebie nie odezwę.

- To też możemy później omówić.

Wyciągnęła ręce do góry w bezradnym geście.

- Poddaję się. To jest tak jak rzucanie grochem o ścianę.

- Dobrze. - Rozejrzył się wokół. - Jeśli masz być moją żoną, powinienem więcej o tobie wiedzieć. Moi koledzy policjanci twierdzą, że wygląd sypialni dużo mówi o jej właścicielu. - Potrząsnął głową. - Ten pokój jest tak anonimowy, jak w gościńcu wyższej kategorii. Zawsze w nim mieszkałaś?

Skinęła głową.

- Kominek, ale bez drobiazgów na półeczce. Piękne stare meble, lecz brak biblioteki. Ładny dywan, ale na ścianach tylko obrazy wybrane przez babkę. - Wstał i podszedł do drzwi z boku pokoju. - Łazienka. Boże, co za wanna! Słoń mógłby się w niej wykapać.

- Co ty wyprawiasz, Ben?

- Po prostu usiłuję się czegoś o tobie dowiedzieć.

Ale to nie jest dobre miejsce. - Podszedł do następnych drzwi.

- Ben, nie...

Było już jednak za późno. Otworzył drzwi i ujrzał za nimi garderobę wielkości małego pokoiku. Na ścianie pod sufitem było nawet okno.

- Aha - powiedział, zapalił światło i wszedł do środka. - To tu zarabiałaś na życie.

Sięgające do sufitu półki po lewej stronie były zavalone paletami, pudełkami z farbami, blokami rysunkowymi, kubkami wypełnionymi pędzlami. Pośrodku znajdował się wbudowany w regał stół, a na nim stała przykryta serwetką maszyna do szycia, która zapewne ćwierć wieku temu była bardzo nowoczesna. Pod stołem widniało kilka koszyków wiklinowych, a w nich leżały kolorowe materiały.

Przy ścianie naprzeciwko wejścia, pod oknem, stał następny regał, tym razem zavalony książkami. Ben przebiegł wzrokiem po tytułach: literatura dziecięca, książki o sztuce, stare podręczniki, klasyka w wydaniu kieszonkowym, romanse i kryminały.

I lalki. Lalki ubrane w eleganckie stroje i starannie okryte plastikiem.

Po prawej stronie na pewno znajdowała się kiedyś garderoba Annabelle, teraz jednak ściana ta była pusta. Na podłodze w rogu siedział jedynie wielki brązowy niedźwiadek o głupkowatej minie.

- To chłopak, który cię zaprosił na pierwszą za-

bawę szkolną, prawda? - zapytał Ben, odwracając się do Annabelle.

- Tak, do diabła. To Montague. No, śmieję się. Dlatego właśnie nie chciałam, żebyś otwierał te drzwi. Dał mi go Święty Mikołaj na moją drugą czy trzecią gwiazdkę. Wiem, że to głupie, ale nie potrafiłam się z nim rozstać. Zbyt wiele godzin przepłakałam na jego owłosionej piersi.

Ben delikatnie zamknął drzwi.

- Moja pierś też jest owłosiona. Możesz sobie na niej płakać, kiedy tylko chcesz.

- Jesteś niepoprawny.

- Na podstawie twojej garderoby wnoszę, że jesteś nadmiernie zorganizowana. Ambitnie dążysz do celu. Masz obsesję na punkcie panowania nad sytuacją. Jak ja.

- To prawda, jeśli chodzi o pracę. Ale moje życie, odkąd cię poznałam, coraz bardziej wymyka mi się spod kontroli.

- Więc pomyśl o tym jak o swoim nowym celu. Dosyć już mroków, sekretów, półprawd. To, co znajdziemy, znajdziemy razem, i razem stawimy temu czoło. - Wyciągnął do niej rękę. - Umowa stoi?

- Ben, ja nie wiem...

- Umowa stoi?

- Ale później od ciebie odejdę.

- Nie.

- Niczego ci nie obiecuję.

- Na to się zgadzam. Więc jak, umowa stoi?

Wstała i podała mu rękę.

- Stoi - wyszeptwała.

Wzjął ją w ramiona, uniósł lekko jej podbródek i łagodnie pocałował w usta. Po chwili objęła go w pasie i przytuliła się do niego, oddając mu pocałunek. Powiódł dłońmi po jej plecach, przytulił ją mocniej i poczuł, jak gorąco przenika jego ciało.

- Annabelle? - Gderliwy głos przeniknął do wnętrza ich pokoju. - Gdzie jesteś? Co robisz? Chcę wody.

- Już idę, babciu! - zawołała, odrywając się od Bena. W drzwiach odwróciła się do niego i szepnęła: - Nie powinnam była pozwolić ci mnie całować. Idź do domu, Ben. Babka pewnie już zapomniała, że w ogóle tu byłeś.

Zbiegł na dół i opuścił dom tylnymi drzwiami. Mimo wszystko czuł się radośnie podniecony. Annabelle zareagowała na jego pocałunek, temu nie może zaprzeczyć. Ale niczego mu nie obiecała. On jednak całe życie spędził na zamienianiu długoterminowych celów na krótkoterminowe, łatwiej osiągalne. A więc najpierw - ustalić prawdę.

Przyłożyła kryształową szklanekę do ust babki. Tego popołudnia staruszka straciła wiele ze swej żywotności.

- Czy chcesz, żebym wezwała doktora Renfro?

- Ależ skąd. - Dłonią odsunęła szklanekę. - Umieram, ale jeszcze nie teraz. Nie masz aż tyle szczęścia.

- Nie chcę, żebyś umarła, babciu.

- Oczywiście, że chcesz. Będiesz potem mogła wyjechać do tego swojego przedpiekła i zarobić milion dolarów na drapowaniu horrendalnie drogich strojów na modelkach mutantkach.

Annabelle uśmiechnęła się.

- Nigdy nie zarobię miliona, a tu mam całkiem dobrą pracę.

- No i dobrze. Elizabeth przynajmniej tyle jest mi winna.

- Jest ci winna? - Annabelle przysiadła na brzegu łóżka. - Za co Elizabeth jest ci cokolwiek winna?

- Za to, że nie wyszła za męża za Raymonda. A miała.

- Nie rozumiem. - Annabelle zamrugała oczami.

Staruszka machnęła upierścienioną ręką.

- Raymond i Elizabeth chodzili z sobą w pierwszej klasie. Byli idealną parą. Wszyscy wiedzieli, że wezmą ślub, zajmą swoje miejsce w społeczeństwie. A potem ona wyjechała do college'u, poznała tego podstępного Hala Jacksona i wyszła za niego. Raymond w chwili słabości ożenił się z Chantal.

- Babciu, Ben jest cztery lata starszy ode mnie, więc Jacksonowie musieli być małżeństwem co najmniej od czterech lat, kiedy mój ojciec żenił się z moją matką. To musiała być bardzo długa chwila słabości.

- Uważaj, co mówisz, moja panno.

- Zawsze uważałam, że urodziłam się siedem miesięcy po ślubie, a ojciec poślubił matkę, bo było trzeba.

- Urodziłaś się nie po siedmiu, ale po jedenastu miesiącach od dnia, kiedy twój ojciec poślubił tę... tę kobietę. Nie twierdzę, że ona nie miała z nim... kontaktów... przed małżeństwem, tylko że w chwili ślubu nie była w ciąży. Ale mogła mu powiedzieć coś wręcz przeciwnego. Był tak głupi, że wystarczyło mu jej słowo.

- A nie pomyślałaś, że mógł się zakochać?

Babka zaśmiała się krótko.

- Pewnie tak myślał. Może praktykowała na nim to swoje voodoo; to do niej podobne. Ale ty nie jesteś bękartem. Należysz do rodziny Langleyów.

- No, no, czymże jest piętno bękarta w porównaniu z piętnem morderczyni?

- Morderczynią też nie jesteś. Nie w takim sensie, jak myślisz. - Nagle palce staruszki tak mocno wbiły się w nadgarstki Annabelle, że ta syknęła z bólu. - Wiem, że uważasz mnie za potwora.

Annabelle potrząsnęła głową.

- Cicho, mam teraz siłę, żeby mówić. Zawsze utrzymywałam, że najlepsze, co zrobiłaś, to zastrzeżenie tej kobiety. Nigdy nie twierdziłam, że zrobiłaś to celowo.

- To dlaczego przez tyle lat obarczałaś mnie wi-

na? Dlaczego tak mnie pilnowałaś, jakbym była mi-
ną, na którą ktoś może nadebrać?

Babka puściła jej rękę, oparła się o poduszki i za-
patrzyła w przeszłość.

- Raymond był delikatny, ale potrafił być uparty. Nie był słaby jak jego ojciec, ale miał w sobie jakąś dzikość, którą trzymał w ukryciu przede mną aż do dnia, kiedy przyprowadził do nas tę Chantal Aucoin. Nigdy nie opuszczał domu, chyba że jechał do szkoły, aż tu nagle zaczął pracować w rodzinnym banku w Luizjanie. Była wróżką, wiedziałaś o tym? - Babka wymówiła to słowo tak, jakby miała ochotę powiedzieć „dziwką”. - Od chwili, kiedy się urodziłaś, walczyłam o twoją duszę, dziecko. Miałaś takie same oczy i włosy jak ona.

Annabelle cofnęła się lekko, nie mogąc oderwać wzroku od jasnoblękitnych oczu babki.

- Tak, duszę. Wpatrywałam u ciebie oznak świadczących o tym, że jesteś do niej podobna. Była dzika, nieokiełznana. Ta kobieta żyła dla przyjemności - jedzenie, wino, klejnoty, ubrania, pieniądze, a przede wszystkim mężczyźni. Kot podwórzowiec jest wstrzemięźliwy w porównaniu z Chantal Aucoin.

- Nie chcę tego słuchać.

- Musisz. Wyglądasz zupełnie jak ona. Gonisz za wrażeniami i przyjemnościami w taki sam sposób. Ale jesteś z Langleyów. Nie jesteś śmieciem.

Karałam cię po to, żeby zaszczyć ci honor i pozycję Langleyów, żeby poprzez moje wychowanie wyeliminować jej naturę. Walczyłaś ze mną na każdym kroku, ale nie wygrałaś. Więcej w tobie płynie mojej krwi niż jej. Kiedy czujesz, że odzywa się w tobie dzikość, mój głos przywołuje cię do porządku. Żebyś nie wiem jak bardzo deptała konwencje i moje zasady, jesteś panną Langley, a nie jakąś tam bosonogą kajuńską flandrą o moralności piżmoszczura. I któregoś dnia Langleyowie zaczną się tobą szczyć.

Nagle światło w jej oczach zgasło i z głębokim westchnieniem opadła na poduszki.

- Jestem zmęczona - powiedziała. - Usiądź tam i poczytaj mi książkę. Chcę spać.

Annabelle spełniła życzenie babki. Staruszka nigdy dotąd nie użyła w jej obecności słów w rodzaju „przyniesiesz nam zaszczyt”. Miała ochotę płakać, lecz jak zwykle nie mogła. Łzy wzbierały jej pod powiekami, po czym odpływały. Jakim cudem jakkolwiek rodzina miałaby się nią szczyć?

W poniedziałek Dixie zatrzymała Bena na szerokich, marmurowych schodach wiodących do jego gabinetu i powiedziała:

- Masz iść do niego.

- Teraz?

- Natychmiast. Zapewne chodzi o sprawę MacCauleya.

Ben westchnął, wręczył Dixie swą teczkę i resztę schodów przebył biegiem. Gdy otworzył drzwi do poczekalni Phila Mainwaringa, zorientował się, że sekretarki jeszcze nie ma, lecz drzwi do gabinetu szefa są otwarte. Kiedy wchodził do środka, duży zegar stojący na przeciwległej ścianie wybił siódmą trzydzieści. Zapukał we framugę.

Phil podniósł wzrok znad dokumentów rozłożonych na biurku i uśmiechnął się szeroko.

- Dzień dobry, panie radco. Czy złapałeś wczoraj swoją zbłąkaną nimfę? Siadaj.

Ben usiadł w skórzanym bordowym fotelu po drugiej stronie biurka i wygodnie się oparł. Ręce skrzyżował na piersiach.

- Powinienem być pomyśleć, zanim zabrałem ją do tej restauracji. Przed naszym stolikiem przedefilował cały strumień ludzi. Ona ma obsesję na punkcie tego, że pamiętają sprawę Langleya.

- Po tylu latach? Niewielu chyba pamięta. - Phil usiadł prosto i położył ręce na biurku. Uśmiech zniknął z jego twarzy. - To, że ludzie mogą odgrzebać tę historię, jest tylko jedną ze spraw.

- Spraw? - Ben pochylił się do przodu, ręce położył na kolanach. W jego oczach pojawiła się czujność.

- Dobrze. Gdyby Elizabeth wiedziała, że z tobą rozmawiam, zabiłaby mnie. Ben, ja lubię Annabelle. Jest piękna i w przeciwieństwie do większości tych

dam, z którymi pokazujesz się w mieście, nawet o tym nie wie.

- To prawda, choć starałem się jej to powiedzieć.

- Jest także inteligentna, a sądząc po jej zachowaniu na kolacji, a przynajmniej tej części, w której uczestniczyła, jest rozważna i taktowna.

- Mów dalej.

- Wieczorem dzwonił do mnie radny Adler.

- Owszem, przystanął wczoraj przy stoliku.

- Ten pocziwy człowiek zapytał mnie, czy kobieta, z którą siedziałeś, to córka Raya Langleya. Musiałem mu powiedzieć, że tak.

- Musiałeś? Dlaczego musiałeś?

- On właściwie tego nie sugerował, lecz odniosłem wrażenie, że nie zachwyił go widok naszego przyszłego prokuratora jedzącego śniadanie w hotelu Peabody z córką osławionego mordercy.

- Na litość boską, Phil! To stara historia. Czy on uważa, że ja coś knuję?

- Ja tylko przekazuję moje wrażenia. Kto wie, może Adler miał romans z Chantal? Zadawało się z nią wielu wpływowych ludzi. To może sprawiać, że w towarzystwie Annabelle Adler czuje się nie-swojo, a my tego nie chcemy. Za żadną cenę. Wyjaśniłem mu, że to było przypadkowe spotkanie, że jesteście starymi przyjaciółmi i że starasz się być dla niej miły, zanim wyjedzie do Nowego Jorku.

Ben wstał.

- Nie musisz przeproszać za Annabelle, Phil, ani za moje towarzystwo. To nie jego sprawa, z kim się spotykam.

- On ma dużą władzę, Ben. Kiedy mówi szeptem, lepiej by dla nas było, gdybyśmy uznali to za krzyk. Rozmawiamy teraz o twojej karierze.

- A więc oczekujecie, że rzucę Annabelle?

- Nie. Sugerowałbym jednak, żebyś spotykał się z nią dyskretniej do czasu, aż stanowisko będziesz miał zaklepane.

- To co? Mam ją przemycać do siebie po północy, używać sobie do upadłego, a przed świtem chyłkiem wyrzucać ją do taksówki? Czy to zadowoli radnego?

- Nie denerwuj się, Ben.

- Idę teraz do pracy, Phil. Jeśli zostanę tu chwilę dłużej, mogę powiedzieć coś, czego obaj będziemy żałować.

Opuścił gabinet z godnością, taką na jaką mógł się zdobyć, mając zaczerwienioną z gniewu twarz oraz zaciśnięte zęby i pięści. Trawiło go bezbożne pragnienie, by odszukać radnego Adlera i zrobić z niego miazgę.

Annabelle spędziła poranek w małym biurze przy kuchni Elizabeth, porządkując faktury, wystawiając zlecenia przelewu, sprawdzając zamówienia i sporządzając listę aukcji w Europie, na których można nabyć stare koronki dla Elizabeth.

Dziś jednak dwukrotnie zadzwoniła do tej samej firmy w Tuluzie, by potwierdzić to samo zamówienie na guziki, oraz popełniła poważny błąd przy obliczaniu podatków. Gdyby go od razu nie odkryła, firma musiałaby płacić karne odsetki. Gdy potem kawą zalała wydruk i musiała sporządzić nowy, postanowiła zakończyć swą działalność. Ułożyła starannie dokumenty na biurku Elizabeth, schowała okulary do futerału i poszła do pracowni.

- Muszę porozmawiać - zwróciła się do Marian.

Pozostałe cztery szwaczki nawet nie uniosły głowy, pochylone nad maszynami, Marian zaś, która czerowała kawałek osiemnastowiecznej koronki rozciągniętej na aksamitnej poduszce, kiwnęła głową i powiedziała:

- Oczywiście.

- Ale nie tutaj. W kuchni. Kawy?

- Nigdy nie odmawiam wypicia filiżanki kawy.

Odłożyła koronkę delikatnie na stół, tak by mogła zacząć szycie w miejscu, w którym je przerwała, otarła ręce o przód spódnicy, zdjęła okulary, które zawisły na sznurku na szyi, i ruszyła za Annabelle.

- Chodzi o Bena? - spytała, gdy usiadły.

- Oczywiście. Przez niego dostaję szału.

- Nie widziałam go w takim stanie od lat. Wreszcie coś czuje. Jemu na tobie zależy.

- Zależy? Przecież on mnie atakuje! Ruszył na mnie jak taran. I nie słucha, co do niego mówię!

- A czy znałaś mężczyznę, który by słuchał kobiety? Oni mówią, że słuchają, ale tego nie robią.

- On patrzy na mnie i widzi to, co chce widzieć, ale wcale nie mnie.

- Wątpię. Podejrzewam, że widzi cię całkiem dobrze. A może nawet lepiej, niż ty widzisz siebie.

- Nie zaczynaj!

- Ben to zaprzysiężony naprawiacz i dlatego robi to, co robi. Chce naprawić cały świat, tak żeby dobrzy ludzie mogli wieść szczęśliwe, pełne zadowolenia życie, nie nękani przez złych ludzi.

- I wobec tego ustala, kto jest kim? Wszystko jest albo białe, albo czarne?

- On nie przepada za moralną dwuznacznością.

- To jaka ja wobec tego jestem?

Marian zaśmiała się krótko.

- Oczywiście, dobra. Gdybyś nie była dobra, nie zakochałby się w tobie.

- Nie nazywaj tego miłością. On jest może we mnie zadurzony, może zapalał do mnie namiętnością, ale nie może to być miłość.

Marian położyła rękę na dłoni Annabelle.

- Chce natrzeć na Czarnego Rycerza i uratować piękną pannę.

- Marian, nie jestem piękna i nie jestem problemem, jaki on mógłby rozwiązać.

- Czy widziałaś kiedykolwiek jego ojca?

- Na pewno, ale go nie pamiętam.

- Hal był zaprzysięgłym pragmatykiem. Naginał etykę do sytuacji. Wykorzystałby każdy możliwy podstęp, żeby wyciągnąć klienta, nawet jeśli był przekonany o jego winie. Ben przez całe dzieciństwo wysłuchiwał jego przechwałek o tym, jak to znowu przerobił albo ławę przysięgłych, albo sędziego, albo prokuratora. Jak wszyscy mali chłopcy, Ben uwielbiał ojca, choć jednocześnie nie był zachwycony jego światopoglądem. A potem Hal zniknął.

- Niewiele wiem na ten temat.

- Kiedy Elizabeth i chłopcy wyjechali na lato do Destin, Hal cichcem wywiózł swoje rzeczy z domu, ukrył wszystkie pieniądze na zagranicznym koncie i poprzez kuriera sądowego dostarczył jej pozew rozwodowy tuż po powrocie z wakacji.

- Mój Boże!

- Elizabeth była wstrząśnięta. Wiedziała oczywiście o istnieniu innych kobiet, lecz była przekonana, że w głębi duszy Hal kocha ją i rodzinę. Czegoś takiego na pewno się nie spodziewała.

- Biedny Ben i biedny Steven.

- Chłopcy nie zareagowali na to jednakowo. Ben postanowił zostać perfekcjonistą, żeby zadośćuczynić słabościom ojca. Steven natomiast zaczął się popisować. Elizabeth wysłała go w końcu do szkoły wojskowej zamiast do poprawczaka. Polubił tamto życie, wstąpił do wojska. Myślę, że w tej chwili pracuje w jakiejś agencji wynajmującej ochroniarzy.

Nie był w domu od lat. A potem, właśnie wtedy, kiedy Ben przestał boleć po stracie ojca, zginęła Judy, a Ben został postawiony przed faktem, że to jego własny ojciec przyczynił się do wyciągnięcia jej z rąk zbrojcy z za kratki. Co gorsza, Elmer Bazemore skoncentrował się na Judy, ponieważ wiedział, że jest ona powiązana z rodziną Hala.

- Ale dlaczego miałyby krzywdzić kogoś związanego z rodziną prawnika, który go uwolnił? To nie ma sensu. Powinien być mu wdzięczny.

- Jemu wcale nie zależało na tym, żeby Hal go wyciągał. Być może jeszcze bardziej go to podnieciło. Kto to wie, jak funkcjonuje mózg psychopaty. Latem po skończeniu studiów Ben pracował jako goniec jednego z sędziów i kilkakrotnie był w sądzie podczas rozprawy Bazemore'a. Widocznie ten któregoś dnia zobaczył, jak Judy przyjechała po Bena. Kiedy go wypuścili, wytropił ją i zabił.

- To straszne, ale nie rozumiem, jaka jest w tym wszystkim moja rola.

- Mnie się wydaje, że Ben czuje się winny, ponieważ gdyby nie on, Bazemore nigdy by nie zwrócił uwagi na Judy. Czuje się w jakiś sposób odpowiedzialny za tę śmierć, choć oczywiście nie powinien. Wiem, że od chwili jej śmierci unikał zaangażowania emocjonalnego. Owszem, umawiał się na randki, wysyłał kobietom kwiaty i pewnie z nimi sypiał, ale żadna się nie liczyła. Aż poznał ciebie.

- Czy to znaczy, że poprzez mnie chciałby za coś odpokutować?

- Czuł się bezradny, kiedy Judy umarła. Jeśli zdoła ci pomóc, wyrówna być może w ten sposób rachunki z ojcem, o czym często mówi.

- On ma jakiś obłąkany pomysł, żeby dobrać się do sprawy mojej matki i udowodnić, że nie miałam nic wspólnego z jej śmiercią. Twierdzi, że kiedy będę wiedziała, że na pewno nie pociągnęłam za spust, zostanę uleczona. Ale ja przecież wcale nie jestem, do cholery, chora.

- Ale cierpisz, Annabelle.

- To nie jest jego wina.

- Według Bena całe zło, które spadło na świat, jest jego winą.

- Wczoraj oskarżył babcię.

Marian spojrzała na swe dłonie obejmujące filiżankę z kawą, po czym łagodnie odrzekła:

- Może ma rację.

- No wiesz! Przecież to słaba stara kobieta.

- Dwadzieścia pięć Jat temu nie była słaba. Mogła pociągnąć za cyngiel równie dobrze jak ty.

- Podobno mój ojciec jej wyznał, że widział, jak to zrobiłam.

- Jeśli to nie on zabił twoją matkę, a poszedł do więzienia, to znaczy, że kogoś chronił. Prędzej by chronił matkę niż ciebie. Gdyby naprawdę widział,

jak strzelałaś, wystarczyło powiedzieć policji, że był to tragiczny wypadek.

Annabelle odstawiła filiżankę.

- Ona nie jest zła, Marian. Jest uparta i wyniosła, jest najgorszą snobką na świecie, ale nie byłaby w stanie wychować mnie w przekonaniu, że jestem zabójczynią, tylko po to, żeby uchronić siebie.

Marian uniosła brwi do góry i zamilkła. Annabelle chwyciła filiżanki, podeszła z nimi do zlewu i zaczęła je gwałtownie myć.

- Ben chyba ma rację. Może już czas, żebym poznała prawdę, zamiast przyjmować do wiadomości to, co usłyszę.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nie mógł znaleźć najmniejszego podobieństwa między Annabelle a Raymondem Langleyem, którego oczy patrzyły na niego z wyblakłych fotografii. Geny Chantal były silniejsze niż jej męża. A może jednak nie był człowiekiem aż tak nieciekawym, skoro aresztowano go za morderstwo.

Wyglądał blado, nieefektownie, nieinteligentnie. Taki sobie przeciętny mężczyzna o słabo zarysowanej szczęce i ostrym zakrzywionym nosie. Oczy miał wodnistoszare, ramiona wąskie. Liczył sobie metr osiemdziesiąt osiem wzrostu, lecz wyglądał na człowieka, który się nieustannie pochyla, by sprawiać wrażenie niższego. Prototyp pantoflarza, zdominowany najpierw przez matkę, a potem ognistą żonę, którą sam sobie wybrał.

Dlaczego ożenił się z Chantal? Czy to małżeństwo stanowiło jego jeden jedyny bunt? Czy też w chwili, gdy wyrwał się ze szponów swej rodzicielki, musiał wypełnić miejsce matki równie dominującą żoną?

W drodze powrotnej do domu Ben zadzwonił z samochodu do mieszkania Annabelle. Nikt nie odebrał telefonu. Będzie musiał zapytać matkę, czy wypada, by konkurent podarował swej przyszłej żonie automatyczną sekretarkę. Potem zadzwonił do rezydencji Langleyów, spodziewając się usłyszeć głos Beulah Mayhew. Tymczasem słuchawkę podniósł mężczyzna mówiący głębokim barytonem. Ben zawahał się, po czym się przedstawił i zapytał, czy może mówić z Annabelle.

- Przykro mi, proszę pana, lecz panna Langley już wyszła - odparł mężczyzna.

- Gdyby dzwoniła, czy mógłby pan jej przekazać, że pragnę się z nią skontaktować?

- Oczywiście, proszę pana. - W słuchawce zapadła cisza, zanim Ben zdążył mężczyźnie podziękować i się pożegnać.

Mógł nim być tylko Jonas, chyba że pani Langley niespodziewanie zatrudniła kamerdynera - co należy wykluczyć. Przypomniał sobie, że chciał z Jonasem porozmawiać. Może nawet teraz, jeśli zdoła wymyślić dobry pretekst...

Pierwsze krople wiosennego deszczu uderzyły o przednią szybę, po czym lunęło jak z cebra. Włączył światła i uruchomił wycieraczki, a w lusterku wstecznym ujrzał kilka błyskawic przecinających niebo. Piorun, który uderzył sześć sekund później, zabrzmiał jak artyleryjska kanonada.

Odszukał stację nadającą prognozy pogody i usłyszał ostrzeżenia przed burzą w rejonie rzeki Crittenden w Arkansas, a ponadto okazało się, że w całym zachodnim Tennessee ogłoszono stan pogotowia z powodu zagrożenia burzowego i huraganów.

Annabelle nie powinna prowadzić w takich okolicznościach. Poza tym jej mieszkanie nie było podpiwniczone, w przeciwieństwie do domu matki. Chciał, by Annabelle znalazła się wystarczająco blisko niego, by kiedy zawyją syreny, zdążyła się schronić.

Wjechał na parking pod domem matki, zobaczył, że miejsce, w którym zwykle parkowała Annabelle, było puste, i wrócił na ulicę. Wiatr się nasilił, gałązki i młode wiosenne listki opadały z trzaskiem na przednią szybę. Wielkie stare drzewa chyliły się i gięły ponad drogą. Przettrzymały już burze śnieżne, powodzie i liczne wichury. Jedynie bezpośrednie uderzenie trąby powietrznej byłoby w stanie je obalić, niemniej wielkie gałęzie mogły oderwać się od pni i wylądować na samochodach.

Ben okrążył rezydencję Victorii Langley, dostrzegł światło jedynie w dwóch pokojach na piętrze, i skręcił w boczną uliczkę. Nie miał pojęcia, gdzie szukać Annabelle, a wątpił, by w taką pogodę Jonas był w nastroju do pogawędki. Zajrzał na podwórko na tyłach domu, stwierdził, że jest puste, toteż pojechał dalej.

Mało brakowało, a by nie zauważył jej małego samochodu. Stał w uliczce odchodzącej od alei biegnącej na tyłach posesji Langleyów. Zahamował ostro, dziękując Bogu, że ulice są o tej porze niemal wymarłe, i zawrócił. Dlaczego nie zaparkowała na terenie rezydencji, skoro wróciła?

A jeśli Jonas wiedział o jej powrocie, to dlaczego kłamał?

A niech to szlag! Ten piorun chyba się przetacza tuż przed drzwiami domku. Błyskawica rozświetliła mały przedpokój i rozległ się grzmot.

W ciągu tych wszystkich lat Annabelle przeciwsta-
wiła się wielu poleceniom babki, jednak aż do tej pory nie zdobyła się na odwagę, by wkraść się do domku na tyłach ogrodu, gdzie spędziła pierwsze cztery lata swego życia z matką i ojcem. Wielekroć nakazywała sobie zapomnieć, że w ogóle tu mieszkała, toteż nie rozumiała, dlaczego właśnie dziś wzięła do ręki klucz, który wisiał w szafce przy tylnych drzwiach głównej rezydencji.

Na pewno by tu nie przyszła, gdyby pogoda się wcześniej zmieniła. Ten front burzowy zapowiadany był w prognozach dopiero po północy.

Nie znosiła grzmotów. Jej terapeuta sugerował, że strach, który ją wtedy ogarnia, może stanowić reakcję na echo wystrzału, który zabił matkę.

Przekręciła kontakt, lecz nie była zdziwiona, gdy

światło się nie zapaliło. Babka nie płaciłaby rachunków za opustoszały dom. Mimo że stał daleko od głównej rezydencji, ukryty za szpalerem magnolii, nigdy się nie zdobyła na to, by go wynająć obcemu - zakładając, że ktoś w ogóle zechciałby zamieszkać w domu, w którym popełniono morderstwo. Od tamtej pory dom stał pusty, a przed wandalami chroniła go jedynie czujność Jonasa.

Kiedy Raymond zamieszkał tu z Chantal, wydawał im się pewnie doskonały. Teraz białe płachty okrywały nawet obrazy na ścianach, a sam dom sprawiał wrażenie obcego i przerażającego. Annabelle zapaliła latarkę i ostrożnie dotarła do salonu. Na pewno tu przypomni sobie tę noc, w której zginęła matka.

Wpatrywała się przez chwilę w popiół na kominie, który zasypał również podłogę.

Nic. Żadnych obrazów, wspomnień, uczuć.

Gdy uderzył następny grzmot, ogarnęła ją panika. Podbiegła do frontowych drzwi i szeroko je otworzyła. Na ganku stał człowiek; w ciemnościach widziała jedynie zarys jego sylwetki. Krzyknęła.

- Annabelle?

- Ben?

Włosy kleiły mu się do czoła, był przemoczony do suchej nitki.

- Czy mnie śledzisz? Wystraszyłeś mnie na śmierć.

- Zobaczyłem na ulicy twój samochód i otwartą furtkę do ogrodu. Co tu robisz?

- Staram się coś sobie przypomnieć, oczywiście.

- I? - Potrząsnęła przecząco głową. - Zamknij ten dom i jedź za mną. Burza się już kończy, a ja chcę coś ci pokazać.

- Nie wątpię.

- Nie bądź taka cyniczna. To interes. Tylko interes.

Spojrzała na niego ze złością, wzruszyła ramionami.

- Lepiej dotrzymaj słowa.

Gdy Annabelle parkowała samochód, Ben sprawdził swe zapasy białego wina i wyjął kieliszki, a dopiero potem przebrał się w sportowe spodnie i bluzę.

Annabelle nie bez kozery była cyniczna. Miał nadzieję, że jeśli już skłoni ją do przyjazdu tutaj, to namówi ją, by z nim została. Pragnął jej aż do bólu i chciał udowodnić, że razem będzie im dobrze, że potrafi sprawić jej przyjemność, nie przysparzając cierpień.

Zadzwoił dzwonek. Poprawił szybko swe mokre włosy i otworzył drzwi. Annabelle stała w progu z rękami złożonymi na piersi.

- No więc co chcesz mi pokazać?

- Wejdz. Masz ochotę na brandy? Wino?

- Piwo bezalkoholowe, jeśli masz.

Gdy już usiedli, powiedziała szybko:

- Może przejdziemy do rzeczy.

Sięgnął po lekko wilgotną brunatną kopertę i podał ją Annabelle.

- Proszę.

- Co to jest? - zapytała, nie wyciągając ręki.

- To nie gryzie. Weź i otwórz.

Wysunęła z koperty śliskie kartki i spojrzała na niego.

- To twój ojciec - wyjaśnił.

Upuściła kopertę na kanapę, jakby parzyła. Ben ujął jej rękę i pogładził wierzch dłoni.

- Wygląda, jakbym ciągle cię czymś denerwował.

Delikatnie uwolniła dłoń i podniosła kopertę.

- Mogę ją wziąć do domu? Popatrzeć w samotności?

- Przykro mi, ale wypisałem na to rewers. Nie mamy w biurze ksero z kolorem, bo bym ci zrobił przyzwoite odbitki i oddał oryginały do archiwum. Słuchaj, jeśli nie chcesz tego oglądać...

- Nie, chcę go zobaczyć, tylko wolałabym zrobić to sama. - Otworzyła kopertę i zerknęła na zdjęcia.

- Powinnam poczuć, że go rozpoznaję, a tymczasem jest to ktoś kompletnie dla mnie obcy. Obcy, który przez cztery lata mojego życia był dla mnie najważniejszą osobą. Co jest ze mną nie tak?

- Sam z trudem przypominam sobie twarz ojca, a miałem trzynaście lat, kiedy nas opuścił. - Wsunął

zdjęcia do koperty. - Jutro w drodze do pracy zrobię ci kopie. Będziesz miała przynajmniej tyle.

- Dziękuję, Ben - wyszeptwała.

Nagle zacisnęła dłonie w pięści, zamknęła oczy i zaczęła dygotać. Ben usiadł przy niej i otoczył ją ramieniem.

- Zimno ci. Powinienem był dać ci suche ubranie.

- Nie jestem przemoczona. Ja się boję.

Przywarła do niego, ukryła twarz w jego ramieniu, po minucie jednak odsunęła się.

- Tam w domku, kiedy otworzyłam drzwi, doznałam czegoś w rodzaju deja vu, tak jakbym już znała ten obraz, obraz człowieka stojącego za progiem. - Spojrzała Benowi w oczy. - Ale jak to się mogło stać? Chyba że byłam na dole, kiedy mój ojciec wrócił. A jeśli byłam na dole, to matka musiała już nie żyć.

- Niekoniecznie. - Położył ręce na jej ramionach. - Przez całe lata wypierałaś to ze świadomości. Być może nie do zniesienia było dla ciebie to, że widziałas, jak ojciec wrócił, jak się kłócili, jak strzelił do matki. Nie pamiętasz jego twarzy być może dlatego, bo nie chcesz pamiętać, jak wyglądała owej nocy.

- Czy to możliwe? Jak to mogłam widzieć? Nie ja do niej strzelałam, ale widziałam, jak on to zrobił?

Ben kiwnął głową.

- Niewykлучzone. I jak wszystkie dzieci na świe-

cie, których rodzicom się nie układa, przerobiłaś to na swoją winę. Ja i Steve zrobiliśmy to samo, kiedy nasz ojciec odszedł. Nie mogłaś znieść myśli, że twój tatuś, człowiek, którego kochałaś, mógł zrobić coś takiego.

Przyłożyła palce do skroni.

- Dlaczego w żaden sposób nie mogę sobie tego przypomnieć?

- Bo nie chcesz. Zachowałem się jak tyran, próbując cię do tego zmusić. Powiedz słowo, a przestanę się tym zajmować.

Wstała, powoli podeszła do okna i spojrzała na miasto.

- Chcę to sobie przypomnieć. Dlatego właśnie poszłam do domku. - Obejrzała się na niego przez ramię. - Ale teraz boję się zrobić to sama.

- Nie będziesz sama - uspokoił ją, stanął za jej plecami i przytulił do siebie. - Będę przy tobie na każdym kroku.

Uwolniła się z jego ramion.

- Nie. To ma być interes, zapomniałeś? A oprócz tego nie masz czasu, nawet gdybyś wiedział, co robić i gdzie szukać. No i jest jeszcze ten twój awans. Będą gadać, jeśli się tym zajmiesz.

- Już gadają. - Ugryzł się w język.

- Ten facet, Adler... Pamiętam jego oczy, kiedy nas sobie przedstawiano. On wie, kim jestem. Ilu jeszcze mnie rozpoznało?

- Tylko Adler. Tylko on jest w odpowiednim wieku. Dzwonił do mojego szefa, który polecił mi zachować dyskrecję.

Podeszła do kanapy i wzięła do ręki torebkę.

- Nie chcę być odpowiedzialna za zniszczenie twojej kariery. Moja sprawa nie jest tego warta.

Chwycił ją za ramię.

- Jest. Ty jesteś tego warta. Niech diabli wezmą tego radnego. Niech diabli wezmą nawet Phila.

- Nie.

Pociągnął ją z powrotem na kanapę.

- Najpierw chcę cię uwolnić od tego całego bałaganu. Jeśli wiele lat temu sprawiedliwości nie stało się zadość, postaram się to naprawić. Niechętnie się do tego przyznaję, ale zaczynam myśleć, że mój ojciec mógł wyciągnąć zza kratki twojego ojca, gdyby rozprawa się odbyła. To jednak nie znaczy, że twój ojciec nie był winny. Ale czy było dość dowodów, żeby przekonać o tym ławę przysięgłych? A jeśli mógł zostać uniewinniony, dlaczego przystał na tę ugodę? W tej sprawie jest wiele pytań.

- Może uważał, że człowiek honoru powinien przyjąć karę.

Ben zaśmiał się krótko.

- Mój ojciec nie cierpiał takiego myślenia. Jeśli pozwolę komuś dyktować sobie, co mam zrobić ze sprawą sprzed dwudziestu pięciu lat, to ile czasu mi-

nie, kiedy zaczną mi mówić, co mam począć z tym, co zdarzyło się dziś lub zdarzy jutro?

Uśmiechnęła się i dotknęła jego twarzy.

- Ładnie powiedziane, panie mecenasie, ale ława przysięgłych ciągle się naradza... Debatują, czy ugniesz się pod naciskiem, czy rzucisz na szalę karierę?

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Ben pojechał za Annabelle do domu i oboje zaparkowali samochody na dziedzińcu rezydencji Elizabeth. Annabelle nie pozwoliła mu pójść ze sobą na górę, toteż pożegnał się i postanowił wpaść do matki. Zadzwonił do tylnych drzwi, po czym swoim kluczem otworzył zamek. Matka spotkała go w holu, ubrana w kwiecisty szlafrok z brokatu.

- Co ty tu robisz? - zapytała.
- Czy muszę mieć powód, żeby cię odwiedzać? Elizabeth dotknęła jego policzka.
- Zawsze przed przyjściem dzwonicz.
- Teraz jest niedobra pora?
- Trochę. Ubieram się. Phil zabiera mnie na kolację.

Chodź na górę. Możesz popatrzeć, jak się wyłaniam ze swojej poczwarki. Napijesz się czegoś?

- Piwa. Wezmę sobie.

Z butelką w dłoni usiadł chwilę później na szezlongu w sypialni matki. Mógł z nią rozmawiać poprzez otwarte drzwi łazienki.

- Phil cię naprawdę adoruje, prawda?
- Mhm.

- Powiedziałem, że...

Matka wysunęła głowę z łazienki.

- Słyszałam cię, ale właśnie wkładałam sukienkę. Chodź i zapnij mi zamek. To jedna z tych niewielu okazji, kiedy cierpię z powodu braku mężczyzny. Zawsze mam za krótkie ręce.

- Ładna suknia - rzekł, podchodząc do niej. - Bez koronek.

- Kochanie, ja się nie ubieram w koronki, ja je sprzedaję - odparła, wskazując mu z powrotem szeszlonek. - A więc czemu zawdzięczam tę przyjemność?

- Mamo, byłaś zaręczona z Raymondem Langleyem?

Elizabeth znieruchomiała w trakcie wkładania lewego pantofla i przez chwilę stała w pozie czapli.

- Ta stara diablica! - warknęła. - Do dziś nie może mi wybaczyć tego, że zakochałam się w twoim ojcu.

- A więc to prawda.

Matka przysiadła na taborecie przy toalecie.

- Prawda. To moja szkolna miłość. Był bardzo dobry i szlachetny, ale najlepiej takich ludzi nie spotykać. Wiesz, on zabił niewłaściwą kobietę. Powinien był unicestwić swoją matkę. Żadna ława przysięgłych na świecie by go za to nie skazała. Byłoby to pod każdym względem usprawiedliwione zabójstwo.

- Ale wyszłaś za mojego ojca?

Odwróciła się do niego plecami i poczęła grzebać w szkatułce z biżuterią.

- Gdybym nie poznała Hala, wpadłabym w sidła kogoś do niego podobnego. W tym wieku większość kobiet nie docenia dobrych mężczyzn. My marzymy o ujarzmieniu szalonych, charyzmatycznych facetów.

- Gwałtownym ruchem włożyła kolczyk w przebite ucho i syknęła. - Dopiero później uświadamiamy sobie, że była to iluzja. Egocentryk zawsze pozostanie egocentrykiem.

- Czy Raymond bardzo cierpiał, kiedy go rzuciłaś?

Wzruszyła ramionami.

- Nie tak bardzo, jak chciałaby jego matka. Przecież w końcu ożenił się z Chantal.

- Kilka lat później.

- Od razu, kiedy tylko wyrwał się od mamusi. Wiesz, Chantal wcale nie była piękna, ale miała w sobie coś takiego, że mężczyźni topnieli przy niej jak воск. Właściwie była bardzo podobna do Victorii Langley. Nie zewnętrznie, oczywiście, ale była tak samo egoistyczna, ekstrawagancka, twarda jak kamień i ograniczona. Zależało jej na pieniądzach i pozycji towarzyskiej.

- Czy miała romans z tatą?

Perły znajdujące się w rękach Elizabeth uderzyły z głuchym łoskotem o podłogę. Schyliła się, by je podnieść.

- Nie wiem, czy mam ci powiedzieć, żebyś nie wtykał nosa w nie swoje sprawy, czy też powiedzieć ci prawdę. Taką, jaką znam.

- Mamo, nie pytałbym, gdyby nie było to ważne.

- Chodzi ci o Annabelle - westchnęła. -

W owym czasie ja i twój ojciec spędzaliśmy tyle czasu z Raymondem i Chantal, że dziwiłabym się, gdyby nie wziął jej do łóżka. Żadnej kobiecie nie przepuścił.

Ben podszedł do matki i położył rękę na jej ramieniu. Ucisnęła ją lekko.

- Po mistrzowsku ukryłam to przed tobą i Steve'em - dodała drżącym głosem.

- Nie mieliśmy o niczym pojęcia aż do dnia...

- Kiedy kurier wręczył mi pozew o rozwód. Hal starał się romansować dyskretnie, ale to trochę tak, jakby los starał się zachowywać cicho w kuchni.

- Byłaś z nim przez wzgląd na nas?

- Częściowo. Wiesz, kochałam go, a on naprawdę był niezwykły. Jakoś zdołał mnie przekonać, że mężczyźni takich jak on zasady nie obowiązują, a gdzieś w głębi duszy najbardziej kocha mnie. Może i tak było, o ile w ogóle potrafił pokochać kogoś oprócz siebie. - Uniosła włosy nad szyją, pochyliła głowę i poprosiła: - Włóż mi te cholerne perły, dobrze, synu? Ręce trochę mi się trzęsą.

Spełnił jej prośbę, po czym zaczął masować jej ramiona. Po chwili w lustrze napotkał jej wzrok.

- No dobrze, mamó, a teraz najważniejsze. Czy ojciec mógł zastrzelić Chantal?

Matka skuliła się i zgarbiła.

- Nie! - Wysunęła się z rąk Bena i weszła do garderoby. - Jestem pewna, że dawno już z sobą skończyli, kiedy została zastrzelona.

- Gdzie on był tej nocy?

Elizabeth machnęła ręką.

- Nie mam pojęcia. Tyle czasu już minęło...

- A gdzie ty byłaś? - zapytał łagodnie.

- Ben, jeśli nie przestaniesz atakować mnie niczym prokurator, zażadam adwokata, a Phil zjawi się tu lada moment, żeby mnie ochronić.

- Przepraszam, mamó, ale to już taki nawyk. No więc gdzie byłaś?

Roześmiała się, podeszła do niego i klepnęła go lekko w policzek.

- A niech to, Ben. Miałam dwóch synów, zapomniałeś? Byłam w domu, wyprawiłam was do łóżek, potem oglądałam chwilę telewizję, a potem sama poszłam spać.

- Czy spałaś, kiedy pani Langley zadzwoniła?

- Hal musiał już być w domu, bo odebrał telefon na dole. Ja podniosłam słuchawkę, zorientowałam się, kto dzwoni, i rozłączyłam się. Nie mam zwyczaju podsłuchiwać. Hal przyszedł na górę powiedzieć mi, że jedzie do Raya.

- A więc do późna nie było go w domu?

- Ben, o twoim ojcu mogę powiedzieć wiele rzeczy, nawet nieprzyjemnych, ale nie to, że jest zabójcą. Ręczę za to głową.

- Raymond Langley zrobił coś podobnego. I popatrz, do czego go to doprowadziło.

- Oszalałeś? - Dixie wskazała cztery zakurzone pudła z aktami stojące w kącie gabinetu Bena. - Ściągnąłeś tu wszelkie możliwe akta na temat sprawy, która już dawno się skończyła. Jeśli masz za mało roboty, pan Mainwaring chętnie dołoży ci obowiązków.

- Nie czytam tego w godzinach pracy - odparł Ben.

- Też mi wyjaśnienie! - parsknęła Dixie, odwróciła się na pięcie i wymaszerowała z gabinetu.

Ben uśmiechnął się pod nosem i potarł kark. Musiał istotnie oszaleć, skoro zażądał sprowadzenia wszystkich akt sprawy Langleya - z prokuratury, z policji, z sądu. Jego mały gabinet wyglądał teraz jak magazyn. Pochylił właśnie głowę nad kodeksem karnym, gdy drzwi się otworzyły i do środka zajrzał Phil.

- Masz minutkę?

- Oczywiście. - Ben usiadł wygodniej w fotelu.

- Co to wszystko ma znaczyć?

- Dobra, dobra. Zabiorę to dziś do domu. Chcę po prostu sprawdzić parę rzeczy.

Phil opadł na krzesło stojące naprzeciwko biurka. Wyglądał na bardziej zmęczonego niż zazwyczaj.

- To pewnie ta sprawa Langleya? Elizabeth coś mi mówiła, ale nie miałem pojęcia, że zabrnąłeś tak daleko. W ostatecznym rozrachunku, Ben, to wszystko nie ma znaczenia. Sprawa jest zamknięta, Langley odsiedział wyrok.

- Sprawiedliwie?

- On tak uważał.

- Mój ojciec jest innego zdania.

Phil prychnął.

- Hal Jackson nie uznałby człowieka za winnego, nawet gdyby go ujrzał nad świeżo poćwiartowanymi zwłokami z zakrwawioną piłą w dłoni.

- Ależ uznałby, uznałby. Nie przyznałby tego tylko przed ławą przysięgłych.

- Masz rację - zarechotał Phil.

- Ale nie uważa, żeby Langley był winny.

- Rozmawiałeś z nim? - Phil wyprostował się, w jego oczach błysnęła czujność.

- Nie martw się. Nie ma zamiaru robić najazdu na rodzinną posiadłość.

- To dobrze. Jeżeli chodzi o Elizabeth, wolałbym pozostać jedynym byczkiem na pastwisku.

- Muszę powiedzieć mamie, jak bardzo jesteś romantyczny, kiedy jej nie ma.

- Zrób to, a pożegnasz się ze swoją nową pracą.

- Phil wstał i uśmiechnął się. - Czy mógłbyś wie-

czorem przyjąć na spotkanie w Klubie Myśliwskim? Kilku starych kamratów chciałoby cię lepiej poznać.

- Mój Boże, Phil, jeśli mnie dotąd nie poznali...

- Po prostu przyjdź, dobrze? Jesteś młody, odważny i niezależny.

- I chciałbym pozostać niezależny.

- Wszyscy tu chcemy tego samego: spadku przestępczości, skuteczniejszego zapobiegania, umieszczenia socjopatów tam, gdzie nie zmarnują życia dobrych ludzi. Przyjdź im to powiedzieć.

- Dobrze.

- Maxine poda Dixie szczegóły. - Phil przystanął z ręką na kłamce. - Uważaj z tą sprawą Langleya, Ben. Mamy zbyt wiele palących problemów, żeby się przejmować starymi.

- Pani Langley też nie sądzi, że Ray był winny.

- I to cię dziwi? Przecież jest jego matką.

- Ona sugeruje, jakoby coś wiedziała na temat tej nocy. Oczywiście, próbuje także wmówić Annabelle, że to ona zabiła matkę, ale według mnie to nieprawda.

- Skąd wiesz?

Ben już miał mu powiedzieć o kącie, pod jakim weszła kula, lecz się powstrzymał. Musi zdobyć więcej faktów.

- Mam takie przeczucie.

- W naszej pracy opieramy się na dowodach, a nie na przeczuciach. Annabelle to miła dziewczyna-

na, ale nie ryzykuj jej powodu kariery. Do zobaczenia wieczorem.

- Panna Brittany przychodzi za dwadzieścia minut do pierwszej przymiarki - oznajmiła Marian, odkładając słuchawkę. - Ledwo miałyśmy czas sfastrygować spód sukni. Ma zamiar ją włożyć na bal. Naprawdę bardzo bym chciała, żeby Elizabeth przestała faworyzować przyjaciółki Bena.

Annabelle zaczerwieniła się. Ben właściwie jej nie powiedział, że przestał się widywać z Brittany. Dlaczego jednak ona czuje się tak nieswojo, kiedy słyszy cokolwiek o przyjaciółkach Bena?

- Jest już prawie gotowa. - Annabelle skończyła ostatni szew i powiesiła spód na manekinie. Aż trudno uwierzyć, że ten beżowy muślin stanowi podszewkę balowej sukni. - Ty zrób przymiarkę, dobrze? Ja mogłabym ją niechcący pokłuć.

- A ja nie? - Marian roześmiała się. - Wiesz, Annabelle, wydaje mi się, że poza tobą wszystkie kobiety, które choć trochę zainteresowały Bena, nosiły mały rozmiar, miały jasne włosy i niebieskie oczy?

- A ja chyba nie nosiłam małego rozmiaru nawet wtedy, kiedy byłam mała.

Prawdę powiedziawszy, nie pamiętała czasów, kiedy była mała. Dom rodzinny został jakby za mgłą, a potem przeniosła się do rezydencji babki.

- Jeżeli zostajesz, podaj mi ten kawałek czerwonej koronki na rękawy i stanik. Zobaczymy, czy panna Brittany to zaakceptuje. A potem możesz iść do domu. Już po piątej.

- Wyjdę razem z tobą.

- Nikogo już tutaj nie ma. Ja tu siedzę, bo nie mam życia prywatnego. A ty masz.

- Co racja, to racja. Kolacje przy telewizorze i odwiedziny u babki. Szalenie zajmujące. - Annabelle otworzyła magazyn i zapaliła światło.

Na trzech ścianach tego pomieszczenia widniały kołki, na których wisały różnego rodzaju koronki - brukselskie, walansjenki, brabantkie, hiszpańskie, gipiura - a także sztuki jedwabiu, brokatu, satyny i batystu.

Na czwartej ścianie stał stelaż, a na grubych wieśszakach wisały stare wieczorowe i balowe suknie,, peleryny, spodnie, peniuary i szale. Były to stroje, które Elizabeth zakupiła na aukcjach i wyprzedażach lub po prostu zostały znalezione na strychach. Koronki z tych strojów były wykorzystywane we współczesnych sukniach.

W dalekim kącie pod sufitem Annabelle wypatrzyła belę szkarłatnej koronki brukselskiej. Gdy podeszła do tego miejsca i sięgnęła po belę, drzwi za jej plecami zamknęły się ze skrzypieniem. Podskoczyła, odwróciła głowę do tyłu i ponownie wyciągnęła rękę w stronę delikatnej materii.

Odniosła wrażenie, że koronka jest wilgotna. Poczwała, że ręce ma mokre, a palce kleją się do materiału. Czyżby dach przeciekał? Gdy obejrzała dokładnie swe dłonie, stwierdziła, że od wewnątrz przybrały barwę purpury.

- Marian! - zawołała przerażona. - Marian!

Po chwili otworzyły się drzwi i światło z pracowni rozjaśniło wnętrze magazynu.

- Naprawdę, te stare domy! Okna i drzwi same się zamykają - powiedziała Marian. - Nie możesz znaleźć?

Weszła do środka i zablokowała drzwi pustą belą, by się nie zamknęły. Annabelle odwróciła się w jej stronę, wyciągając przed siebie rozczapierzone dłonie. Próbowwała się odezwać, lecz z jej gardła wydobył się jedynie skrzek.

- Annabelle? - Oczy Marian zrobiły się okrągłe. Wyprowadziła Annabelle z magazynu, po czym sięgnęła po belę i wróciła do pracowni.

Annabelle usiadła na najbliższym krześle.

- O mój Boże! Farba w tym miejscu puściła. Będziemy musiały odciąć ten kawałek. - Rzuciła belę na stół krawiecki. - Lepiej zmyj te czerwone plamy, zanim zostaniesz złapana na gorącym uczynku. - Zaśmiała się krótko. - Annabelle, co ci jest?

Annabelle popatrzyła na swe dłonie, po czym gwałtownie zaczęła nimi trzeć o przód bluzki. Z jej gardła wydobył się jakiś dziwny dźwięk.

- O Boże, Annabelle! - Marian opadła przed nią na kolana i chwyciła jej nadgarstki. - Przepraszam. Trochę głupio to powiedziałam. To farba. To tylko farba!

- Hej-hej! Mogę wejść? Przymiarka gotowa? Po prostu umieram z ciekawości...

Ben wręczył portierowi słony napiwek i kopnięciem zamknął za nim drzwi, po czym zaniósł ostatnie pudło na miejsce. Często przynosił pracę do domu, a gabinet urządził sobie w drugiej sypialni. Jego śledztwo w sprawie Langleya zaczynało przynosić rezultaty.

Zerknął na zegarek. No, może zdąży wziąć prysznic i się przebrać przed tym spotkaniem w klubie. Najgorszą rzeczą w polityce jest to, że trzeba grać w różne gry. Tę prawdę wyjawiał mu ojciec - i była to jedna z niewielu rzeczy wygłaszanych przez niego, z którą Ben się zgadzał. Mężczyźni i kobiety, którzy przyjdą na to spotkanie, żywią na pewno przekonanie, że pieniądze i władza dają im przywileje, o jakich nie może marzyć zwykły człowiek.

Teraz stanął przed odwiecznym dylematem. Aby pomóc zwykłemu człowiekowi, musi wygrać wybory, a żeby wygrać wybory, musi zadowolić decydentów - nie narażając na szwank swej uczciwości.

Mimo braku czasu zadzwonił najpierw do Annabelle.

- Cześć. Mam dla ciebie te kolorowe odbitki.
- Co?
- No wiesz, zdjęcia ojca.
- Tak.
- Annabelle, czy coś się stało?

Wyczuł, jak się najeża.

- Ależ skąd. Dlaczego miałoby się coś stać?
- Słuchaj, mam niedługo spotkanie, ale zaraz potem wpadnę do ciebie z odbitkami. Około dziewiątej. Nie za późno?

- Nie przychodź tu, Ben. Pani Mayhew ma jakiś rodzinny problem. Muszę ją zastąpić.

- Ale wrócisz przed dziewiątą? A może wpadnę do domu pani Langley?

- Chcę spać. Może jutro.

Odłożyła słuchawkę, nie czekając na odpowiedź.

Ilekoć go odtrącała, rosło w nim napięcie. Wczoraj koniecznie chciała zobaczyć zdjęcia ojca w samotności, dziś zupełnie jej to nie interesowało.

Może to nawrót grypy? Postanowił wpaść do niej w drodze powrotnej, zobaczyć, jak się miewa. Jeśli zobaczy w jej oknach światło, zadzwoni z samochodu, a jeśli ona nie zechce go widzieć, zostawi odbitki na przednim siedzeniu jej auta. A jutro zaprosi ją na kolację.

O szóstej czterdzieści pięć Annabelle odkryła, że w tylnej prawej oponie nie ma powietrza. Zadzwono-

niła do rezydencji babki, mając nadzieję, że zostanie tam jeszcze panią Mayhew.

Tymczasem telefon odebrała babka.

- Babciu, zawołaj panią Mayhew. Złapałam gumę i trochę się spóźnię.

- Ta kobieta wyszła piętnaście minut temu. Zastanawiałam się już, czy zamierzasz zostawić mnie samą na cały wieczór.

- Jonas jest z tobą.

- Dziś poszedł na jakieś spotkanie dotyczące planowania krajobrazu. Miną godziny, zanim ktoś zmieni ci to koło.

- Umiem sama zmienić koło, babciu. Będę u ciebie najdalej za pół godziny. Zostań w łóżku i nie zrób niczego głupiego przed moim przyjazdem.

- Nie lubię być sama, wiesz o tym.

- Uspokój się. A teraz im szybciej odłożę słuchawkę, tym prędzej zmienię to koło.

Pół godziny później Annabelle wjechała na parking pod domem babki na trzech normalnych kołach i jednym mniejszym, zapasowym. Wyciągnęła z opony wielki gwóźdź i wrzuciła go do torebki. Przynajmniej będzie ją łatwo naprawić. Nie miała ochoty wydawać pieniędzy na nową oponę.

Gdy zapukała do drzwi pokoju babki, odpowiedziała jej cisza. Świetnie. Jednak jest obrażona.

- Przyjechałam najszybciej, jak mogłam - oznajmiła, otwierając drzwi.

Babka leżała na łożku w takiej pozycji jak zazwyczaj - ręce miała złożone na brzuchu, włosy rozpostarte na poduszce, oczy zamknięte. A więc śpi.

Annabelle przeszła na paluszkach przez pokój i stanęła przy łożku. Odniosła wrażenie, że w ciągu dwudziestu czterech godzin staruszka bardzo się skurczyła. Jej skóra była woskowa, wokół ust widniało lekkie zasinienie.

- Babciu? - odezwała się łagodnie.

Raczej wyczuła niż stwierdziła, że klatka piersiowa się nie porusza.

- Babciu! - krzyknęła. Automatycznym ruchem przechyliła głowę staruszki do tyłu, zatkała jej nos i rozpoczęła reanimację. - Żeby tylko nie połamać jej kości - szepnęła między jednym wdechem a następnym.

Nic. Po pełnej minucie, która dla niej trwała wieczność, chwyciła słuchawkę i wykręciła 911. Podała telefonistce adres i natychmiast zadzwoniła do doktora Renfro. Odniosła wrażenie, że mijają wieki, zanim wreszcie ktoś podniósł słuchawkę.

- Mówi Annabelle Langley. - Zdumiał ją spokój brzmiący w jej głosie. - Babcia miała następny atak. Chyba nie oddycha. Wezwałam karetkę, ale byłabym wdzięczna, gdyby pan doktor zaraz przyjechał.

Odłożyła słuchawkę i podjęła reanimację, choć
skan i przerobienie anula43

teraz była już pewna, że jej wysiłki na nic się nie zdadzą. Gdy usłyszała kroki na schodach i poczuła w pokoju obecność ludzi, odetchnęła z ulgą.

- W porządku, proszę pani, zajmiemy się nią. - Silna dłoń dotknęła jej ramienia i Annabelle się wyprostowała. Ciemnoskóra kobieta odprowadziła ją na bok. - Wspaniale się pani spisała.

Nagle w sypialni pojawił się tłum ludzi, światła, sprzęt, ktoś wydawał głośno polecenia. Z odgłosów dobiegających ze schodów domyśliła się, że na górę wnoszona jest jakaś maszyna, i poczuła się nagle niepotrzebna.

Niespodziewanie dla siebie samej zapragnęła obecności Bena. Ben ze wszystkim sobie poradzi.

- Czy mogę zadzwonić? - zapytała sanitariusza z karetki pogotowia.

- Oczywiście. Ma pani drugi aparat w innym pokoju?

Kiwnęła głową i opuściła sypialnię. Na górę wchodzili właśnie dwaj policjanci.

- Dzień dobry pani - powiedział jeden z nich, wchodząc do sypialni babki.

Zadzwoniła do Bena, zostawiła wiadomość na automatycznej sekretarce, po czym wykręciła numer jego telefonu komórkowego, by usłyszeć, że Ben nie może go odebrać. W końcu zadzwoniła do Elizabeth, by spytać, czy nie wie, gdzie można znaleźć Bena.

- Przykro mi, nie wiem - odrzekła Elizabeth. -
A czy coś się stało?

- Babcia chyba nie żyje.

- O mój Boże! Zaraz tam będę.

- Nie, proszę. Zajmuje się nią teraz cała ekipa,
a w drodze jest jeszcze jej lekarz.

- Zadzwoń do mnie, gdybym mogła się na coś
przydać. Zaraz poszukam Bena i przyślę go do cie-
bie.

Gdy odłożyła słuchawkę na widełki, poczuła,
że jej ciało opuszcza energia. Usiadła na krzesel-
ko bok stolika z telefonem i wbiła wzrok w po-
dłogę.

W przeciągu pół godziny, która minęła, odkąd
ostatni raz rozmawiała ze swą irytującą babką, a mo-
mentem, kiedy przybyła do jej domu, z ciała babki
uleciało to coś, co stanowiło o jej człowieczeństwie,
i pozostała mała, pusta skorupa. Czy tak właśnie wy-
glądała jej matka? Czy mała Annabelle zorientowała
się, że jest ona pozbawiona życia? Na pewno nie.
Lecz jeśli to ona się do tego przyczyniła, to co z tego
wynika?

Drzwi sypialni otworzyły się i wyszedł z niej wy-
soki mężczyzna, który gestem przywołał jednego
z policjantów.

- Dobra, Bill, rób swoje.

- Przepraszam - rzekła do policjanta. - Co się
dzieje?

- No, nie udało im się jej uratować.

Annabelle nakryła ręką usta. Wiedziała o tym, lecz słowa policjanta nadały temu wymiar rzeczywisty, ostateczny.

Policjant dotknął jej ramienia.

- Proszę mi wierzyć, że nie chciałyby pani, żeby żyła, bo jej mózg był za długo pozbawiony dopływu tlenu. Tak jest lepiej. Bardzo mi przykro - dodał.

- Przepraszam panią - rzekł pierwszy policjant, podchodząc do niej. - Obawiam się, że umarła, zanim tu przyjechaliśmy. Pani podobno ją reanimowała?

- Próbowałam.

- Czy miała swojego lekarza?

- Tak, dzwoniłam do niego. Powinien niedługo tu być.

- To dobrze, bo trzeba wystawić świadectwo zgonu. Inaczej musielibyśmy zrobić sekcję zwłok. - Obejrzał się przez ramię. - A jeśli będzie pani miała świadectwo zgonu, może pani od razu zająć się pogrzebem.

- Dziękuję.

- Poczekamy z panią.

- Dobrze, dziękuję. Czy mogę ją zobaczyć?

Mężczyźni spojrzeli po sobie, po czym ten pierwszy powiedział:

- Oczywiście. Pójdziemy z panią.

Ludzie wraz ze sprzętem wycofywali się już na schody. Wszyscy po kolei uśmiechali się do niej smutno i dodawali, że jest im przykro. Dziękowała im z nieobecną miną.

Jedyne oświetlenie pokoju stanowiła teraz lampka stojąca na nocnym stoliku i lampa nad portretem. Annabelle podeszła powoli do łóżka i ujęła kruchą dłoń o ptasich szponach. Była już zimna i twarda. Poczwała, że ma ochotę płakać, lecz jej oczy jak zwykle pozostały suche. Gdy w końcu pochyliła się i pocałowała woskowy policzek, owionął ją zapach drogiego pudru.

- Wiem, staruszek, że bardzo się starałaś - szepnęła. - Szkoda, że nie byliśmy szczęśliwsze.

- Annabelle?

Podskoczyła i odwróciła się, a wtedy ujrzała doktora Renfro. Był to tęgawy mężczyzna o zaczerwienionej i niespokojnej twarzy. Na nogach miał kapcie.

- O Boże - dodał. - Wydawało mi się, że pożyje jeszcze kilka miesięcy.

- Panie doktorze... - odezwał się policjant.

Lekarz otarł ręką twarz.

- Była w ostatnim stadium choroby wieńcowej, ale myślałem, że zostało jej jeszcze trochę czasu. Nigdy tego nie wiadomo, oczywiście, nigdy nie można mieć pewności. Wypiszę wam akt zgonu. Czy ma pan formularz?

- Tak, panie doktorze. - Policjant wyjął złożony żółty arkusz z kieszeni koszuli i zawstydzony spojrzał na Annabelle. - Takie są wymogi, proszę pani...

Kiwnęła głową.

- Zawał. Nagle układ przestaje działać. - Doktor Renfro zwrócił się do Annabelle. - Czy była pani z nią, kiedy odchodziła?

Annabelle potrząsnęła głową.

- Rozmawiałam z nią wcześniej. Była w dobrej formie. Spóźniłam się, bo musiałam zmienić koło, a kiedy tu dotarłam po mniej więcej pół godzinie, znalazłam ją...

- Po prostu zasnęła. To dobra śmierć, naprawdę. - Poklepał Annabelle po ramieniu. - Nie chciałaby umierać w szpitalu. Te wszystkie rurki i druciki - powiedział, imitując głos zmarłej, po czym potrząsnął głową. - Teraz, Annabelle, wyjdźmy stąd. Na dole zrobię pani coś do picia.

. - My też pójdziemy, jeśli można - wtrącił policjant. - Bardzo nam przykro, naprawdę - dodał, skinął głową i ruszył w stronę schodów.

- Annabelle? - rozległ się na dole głos Bena.

- Ben! - Uczucie ulgi było tak przemożne, że zdumiało ją i zarazem przestraszyło. Gdy jednak spotkali się u szczytu schodów i na powitanie mocno ją przytulił, ukryła twarz w jego ramieniu.

- Mama znalazła mnie w Klubie Myśliwskim -

wyszeptał. - Przyszedłem najszybciej jak mogłem. Bardzo mi przykro.

- To naprawdę błogosławieństwo - wtrącił doktor Renfro. - Zabieram tę młodą damę do kuchni, żeby zobaczyć, czy nie znajdę tam dla niej trochę brandy.

- Zejdę do was za minutę - dodał Ben, znowu przytulając ją do siebie. - Winien jestem pani Langley pożegnanie.

Patrzył, jak Annabelle schodzi na dół niepewnym krokiem, po czym wszedł do pokoju pani Langley. Nad jej portretem nadal paliło się światło. Kontrast pomiędzy pełną werwy młodą kobietą na obrazie a drobną łupiną, która leżała na łóżku, stanowił tak przejmującą kwintesencję powiedzenia *memento mori*, jakiej jeszcze nie widział.

Stanął przy łóżku i pochylił głowę. Staruszka wyglądała jakoś inaczej, i to nie tylko dlatego, że uszło z niej życie. Dopiero po dłuższej chwili uświadomił sobie, że na jej ustach zabrakło szminki. Pewnie się starła podczas prób reanimacji.

Od kącika ust w górę policzka biegła pojedyncza, cyklamienowa smuga.

Poczuł, że ogarnia go niepokój. Nigdy jeszcze nie widział, by ktoś umarł w sposób tak porządny, tak idealnie zorganizowany. Uniósł jedną z delikatnych dłoni starej kobiety. Paznokieć na palcu wskazującym był pęknięty, lakier na końcach starty. Musiała

walczyć, kiedy dopadł ją ten atak. Ben obejrzał pościel dokładniej, szukając odprysków lakieru, lecz niczego nie znalazł. Dziwne.

Doktor Renfro niczego nie podejrzewał, policja także nie podejrzewała, toteż on także powinien odejść. Na pewno dla Annabelle tak byłoby najlepiej. Tymczasem odezwał się w nim prokurator, nakazując mu pozostanie na miejscu - do czasu, aż będzie wszystkiego pewien.

Przesunął lampkę na nocnym stoliku tak, by jej światło skierować na twarz zmarłej, a potem się pochylił i delikatnie uniósł do góry jedną z powiek. I poczuł, że robi mu się niedobrze. Podniósł drugą powiekę, a potem zamknął obie i w zamyśleniu patrzył na łóżko. Nawet w słabym świetle lampy dostrzegł w białkach oczu zmarłej mikroskopijne wylewy.

Po namyśle sięgnął po jedną z poduszek leżących obok pani Langley. Na świeżej lnianej poszewce widniały jeszcze fałdy zaprasowane żelazkiem, lecz na pewno staruszka nie zdążyła położyć na niej głowy. Wstrzymując oddech, Ben obejrzał poduszkę od spodu. Czerwone ślady miały odcień szminki zmarłej.

Odłożył poduszkę na miejsce, tak jak ją znalazł, odnosząc nagle wrażenie, że pani Langley obserwuje go z sardonicznym uśmiechem, oskarża. Poczuł się trochę nieswojo.

Jeśli zleci teraz zrobienie sekcji zwłok, Annabelle może mu nigdy tego nie wybaczyć. Pani Langley jednak wyznaczyła go na swego adwokata, a ten adwokat podejrzewa, że ktoś jego klientkę udusił.

Czy Annabelle zostanie obarczona winą i za tę śmierć?

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Znalazł ją w kuchni. Stała pod jedyną w tym pomieszczeniu żarówką, trzymając w obu dłoniach kryształowy kieliszek brandy. Doktor Renfro opierał się o piec.

Ben podszedł do niej od tyłu i przytulił ją do siebie.

- Bardzo mi przykro z powodu twojej babci.

Gdy się w niego wtuliła, ogarnęła go radość, że mu ufa. Trudniej mu jednak w takiej sytuacji czynić swą powinność...

- Młody człowieku, cieszę się, że ma się kto zająć Annabelle. - Doktor Renfro wyprostował się i energicznie potarł dłonie. - Pani Langley była moją pacjentką od bardzo dawna. - Uśmiechnął się do Annabelle łagodnie. - Wiesz, moja droga, skłamałbym, gdybym powiedział, że się z nią zaprzyjaźniłem. Ale zawsze jest mi ciężko, kiedy ktoś umiera, nawet jeśli niewiele można już zrobić. Bo zawsze myślimy, że jeszcze zdążymy się pożegnać. - Spojrzał na Bena. - Z samochodu zadzwonię do domu pogrzebowego.

- Przeniósł wzrok na Annabelle. - Ktoś powinien z panią zostać, dopóki babcia nie zostanie zabrana. Lepiej żeby nie była pani sama.

- Nie będzie. Odprowadzę pana. - Ben ujął lekarza pod ramię. - Zaraz wracam, Annabelle.

Kiwnęła głową, wpatrując się w wirujący w kieliszku płyn, jakby mogła coś wyczytać w jego głębiach. Ben bardzo jej współczuł. A jeden tylko Bóg wie, ile bólu jeszcze będzie musiała znieść.

Gdy znaleźli się poza zasięgiem słuchu, Ben zapytał lekarza od niechcenia:

- A więc satysfakcjonuje pana atak serca jako przyczyna zgonu?

- A co by mogło być innego?

- Badał pan ciało?

Doktor Renfro uniósł do góry głowę.

- Byłem lekarzem pani Langley przez niemal czterdzieści lat. A swoich pacjentów znam na wylot.

- A więc nie jest pan zaskoczony?

- Bóg po prostu postanowił zabrać ją dzisiaj, a nie za pół roku. Dla wszystkich jest to błogosławieństwo. A lekarze nie są wróżbitami. Jestem w stanie określić tylko z grubsza, jak długo pacjent pożyje.

Ben kiwnął głową.

- Chciałbym coś panu pokazać, jeśli ma pan chwilę czasu. - Zerknął w otwarte drzwi kuchni. An-

nabelle nie ruszyła się ze swego miejsca. Chybaby nie zauważyła, gdyby wyszedł.

Jeszcze jest czas, by się wycofać. Renfro może odrzucić jego podejrzenia. Co wtedy? Zostawić sprawę jej biegowi?

Dwie minuty później stali przy łóżku zmarłej.

- Czy zechce pan zbadać jej oczy, doktorze?

Lekarz oświetlił twarz pani Langley, uniósł jej powieki i mocno wciągnął powietrze.

- A czy zechciałby pan spojrzeć teraz na to? - Ben sięgnął po poduszkę i odwrócił ją na drugą stronę.

Lekarz patrzył na nią przez chwilę zdumiony, a potem szeroko otworzył oczy.

- Cholera - szepnął. - Chyba musiała się we śnie przewrócić na brzuch, a potem nie mogła się odwrócić.

- Annabelle mówiła, że znalazła ją leżącą na plecach, z rękami złożonymi na kołdrze. Nie było żadnych śladów walki.

- Ale to nie mogło być nic innego. Stara kobieta, która powoli umiera, zamknięty dom. Chyba że... - Jego oczy powędrowały w stronę otwartych drzwi.

- To wykluczone - odrzekł Ben.

- Bardzo ją lubię, ale już kiedyś to zrobiła.

- Nie, do cholery, nie zrobiła. To plotki, i to na dodatek wredne.

- Niewiele wiemy na temat predyspozycji genetycznych, mój chłopcze.

- Wiedziałem, że powinienem być zostawić to w spokoju.

- Nic straconego. Pani Langley umierała i może Annabelle nie mogła znieść jej cierpienia.

- Jeśli ktoś panią Langley udusił, to na pewno nie Annabelle.

- Więc może Jonas albo pani Mayhew.

- Annabelle powiedziała, że Beulah opuściła dom jeszcze przed telefonem pani Langley.

- Może ta szminka znalazła się na poduszce podczas reanimacji. Niechętnie zgadzam się na autopsję, ale w tej sytuacji chyba jest wskazana. - Doktor Renfro spojrział ze smutkiem na swą byłą pacjentkę.

- Muszę przyznać, że czasami miałem ochotę sam ją udusić.

- Ale nie zrobił pan tego.

- Nie.

- Annabelle też nie.

- Skoro pan tak twierdzi. - Doktor Renfro westchnął. - Zadzwońię do zakładu medycyny sądowej, a potem przyprowadzę tu Annabelle i razem poczekamy na lekarza sądowego. Chyba że pan chce przekazać jej tę wiadomość.

- Powiem jej. A pan niech dzwoni.

Gdy skierował się w stronę drzwi sypialni, usłyszał, jak doktor Renfro podnosi słuchawkę i pyta

o numer zakładu medycyny sądowej. A potem zawołał w stronę Bena:

- Mam nadzieję, że się mylimy. Dla dobra wszystkich.

Już od dziesięciu minut wyjaśniał jej cierpliwie, co wraz z doktorem Renfro odkryli, lecz nadal nie był pewien, czy go rozumiała. Siedzieli przy stole kuchennym, Ben trzymał ją za rękę.

Annabelle uparcie kręciła głową.

- Babcia nie walczyła. Ona po prostu zasnęła.
- Spojrzała Benowi w oczy. - Nikt oprócz mnie nie wiedział, że jest sama. Kiedy z nią rozmawiałam, była w dobrej formie, a dotarłam do niej najwyżej pół godziny później. I wtedy ją znalazłam.

- Jesteś pewna, że już nie żyła?

- Tak, choć reanimowałam ją przed przyjazdem karetki.

- Leżała tak jak teraz, na plecach?

Annabelle skinęła głową.

- Czy dom był zamknięty, kiedy przyjechałaś?

- Tylne drzwi były zamknięte. Frontowych nie sprawdziłam. Nikt z nich zresztą nie korzysta.

- Zostań tu.

Okazało się, że wielkie frontowe drzwi są nie tylko zamknięte na klucz, ale i chroni je łańcuch. Cholera.

Kiedy policja dostanie meldunek o podejrzanej

śmierci, ktoś natychmiast tu przyjdzie zabezpieczyć sypialnię pani Langley. Ben uznał, że ma jeszcze chwilę czasu, zanim zadzwoni na policję.

Przeszedł po kolei wszystkie pokoje na parterze, zapalając do drodze przyćmione światła. Nie dostrzegł żadnych oznak włamania. Klaki kurzu dekorowały kąty, pajęczyny oplatały bogato zdobiony sufit.

Solarium na parterze do złudzenia przypominało solarium Victorii Langley na piętrze: z trzech stron otaczały je okna na całą ścianę, które można było otworzyć w ładne dni. Gruba warstwa kurzu pokrywała parapety - wszystkie z wyjątkiem jednego, w kącie przy ścianie. Ten parapet wyglądał tak, jakby przed chwilą ktoś go wyczyścił. Ben wyjął chusteczkę i lekko pchnął okno. Cichutko otworzyło się na zewnątrz, tworząc szparę na tyle szeroką, że z łatwością mógł się przecisnąć przez nią człowiek.

Kieszonkową latarką oświetlił przestrzeń za oknem, mając nadzieję znaleźć ślady w rabatach kwiatów. Tymczasem dostrzegł wyłożoną kamieniami ścieżkę, wymiecioną z liści. Jonas jest stanowczo zbyt schludny. Ben oświetlił teraz klamkę w oknie i wokół zamka dojrzał słabe zadrapania, które mogły świadczyć o tym, że ktoś użył korkociągu lub gwoźdźcia, by je otworzyć. Proste. Nawet dziecko może to zrobić.

A więc ktoś z zewnątrz mógł tutaj wejść. Czy dostał się tu jakiś przypadkowy włamywacz, gdy pani Langley była sama? Trochę zdumiewający zbieg okoliczności. Ale dlaczego teraz ktoś miałby ją zabijać? Przecież zostało jej niewiele życia.

Może powodem jest to, że Ben poruszył sprawę morderstwa Chantal. Może ktoś się obawiał, że pani Langley ujawni sekrety, które trzymała w ukryciu przez tyle lat, i ten ktoś wziął sprawy w swoje ręce?

Ben opuścił solarium, starannie zamykając za sobą drzwi, by nikt niczego w tym pokoju nie zmienił. Jeśli sekcja zwłok wykaże, że pani Langley została uduszona, Annabelle może potrzebować dowodów wtargnięcia kogoś obcego do domu, by udowodnić swoją niewinność.

Poczuł ciarki na grzbiecie. Już zaczyna myśleć o tej sprawie jak o zabójstwie, w którym podejrzaną o jego dokonanie jest kobieta, którą kocha. Znowu.

I kto się do tego wszystkiego przyczynił? Znowu któryś z Jacksonów. Ta rodzina odgrywa rolę nemezis w przypadku Langleyów. Jakoś będzie musiał wyjaśnić Annabelle, dlaczego nie może po prostu zostawić sprawy śmierci jej babki w spokoju. On właściwie nie ma prawa dokonywać takiego wyboru. Nikt nie ma takiego prawa.

Gdy zbliżał się do kuchni, z kredensu dobiegły go głosy.

Zapłakana Annabelle stała przytulona do mężczyzny o potarganych siwych włosach i długiej brodzie. Gdy mężczyzna odwrócił się i spojrzał na Bena, ten dojrzał w jego wzroku nienawiść.

- To pana sprawka? - spytał mężczyzna.

Annabelle pociągnęła nosem, otarła palcami policzki i potrząsnęła głową.

- To nie jego wina, Jonas. Musiał zrobić to, co uważał za stosowne.

A więc to jest Jonas. Jeden z niewielu ludzi, którzy mają klucze do tego domu. Znacznie jednak lepiej zostawić wskazówkę, że ktoś wszedł do środka przez okno...

Jonas nie wyciągnął ręki, by przywitać Bena, lecz objął Annabelle tak mocno, jakby ją chciał przed nim chronić.

Był wzrostu Bena i trzymał się prosto niczym generał. Jego dłonie były duże i pokryte odciskami, ramiona dobrze umięśnione. Liczył sobie na pewno ponad pięćdziesiąt lat, choć miał opadające ramiona jak ciężarowiec i szczupłą sylwetkę biegacza. Jego twarz była poorana zmarszczkami i ogorzała. Złamany niegdyś nos został źle złożony. Lewą brew przecinała biała szrama, która biegła przez policzek i niknęła w brodzie.

Ben zerknął na dłonie i nadgarstki Jonasa. Żadnych zadrapań. Nie miał jednak podstaw, by uważać, że złamany paznokciec pani Langley świadczył o tym,

że walczyła z napastnikiem. A poza tym Ben pewnie ma doskonałe alibi.

- Co teraz? - zapytał Jonas.

- Wezwę policję, a Renfro poczeka na górze, aż zabezpieczą pokój. Jeśli lekarz sądowy stwierdzi coś podejrzanego, wtedy jutro inspektorzy z wydziału zabójstw przepytają osoby z jej najbliższego otoczenia, co robiły dziś wieczorem.

Jonas uśmiechnął się do Annabelle. Kiedy na nią patrzył, jego twarz wyraźnie się rozjaśniała.

- Będzie dobrze, skarbie. Na razie nie ma się czym martwić. Idź do mojego mieszkania i poczekaj tam na mnie. Ja chciałbym jeszcze porozmawiać z panem Jacksonem.

On ją kocha, pomyślał Ben, a mnie nie znosi.

- Annabelle? - W głosie Bena zabrzmiał ból.

- Nic mi nie będzie. Muszę... na parę minut zostać sama. - Wyszła, nie patrząc na niego. Ramiona miała wyprostowane, głowę uniesioną.

- Wie pan, przez co będzie musiała przejść? - Twarz Jonasa wykrzywiła złość. - Niech no tylko prasa się do tego dorwie.

- Przykro mi, ale reprezentuję prawo.

- Pieprzyć prawo. Ludzie są ważni, a nie prawo.

- Owszem, ludzie są ważni. Mają prawo do tego, żeby nikt ich w łóżku nie mordował. Istnieje coś takiego jak sprawiedliwość.

- Och, to rzadkość. Sprawiedliwość! - prychnął.

- Pan pochodzi z rodziny, która bardzo dba o sprawiedliwość, prawda?

Ben odetchnął głęboko. Jeszcze trochę, a rzuci się na tego faceta. A ten pewnie w sekundę zetrze go na proch.

- Gdzie byłeś wieczorem, Jonas?

- Oho, winny jest kamerdyner - rzekł Jonas z pogardliwym uśmiechem. - Nic z tego. Po pierwsze, kamerdynerem jestem tylko od czasu do czasu, a po drugie wszyscy obecni na zebraniu architektki przysięgną, że przyszedłem tam o szóstej czterdzieści pięć i wyszedłem dopiero dwadzieścia minut temu.

- Formalność nakazuje nam to sprawdzić. Ale cieszę się, że zostałeś wyłączony. - Wcale się nie ucieszył. Im więcej podejrzanych, tym lepiej. - Czy wiesz, jak się skontaktować z panią Mayhew?

- Powinna wrócić za jakieś pół godziny. Ale ją też proszę wyłączyć. Widziałem, jak biegła do samochodu, kiedy wychodziłem na zebranie.

- Sprawdzimy.

- Te typki z zabójstw sprawdzają, chce pan powiedzieć. Nie wiecie na pewno, że ktoś ją zabił.

- Nie, ale istnieją powody, żeby nakazać sekcję zwłok.

- Jeśli komuś mogło zależeć na jej śmierci, to tylko temu, komu ona wcześniej w życiu bardzo nabruździła. Teraz Annabelle może jechać do Nowego Jorku, gdzie

jest jej miejsce, i ułożyć sobie życie z dala od Memphis.

- Właśnie powiedziałaś, jaki motyw miała Annabelle.

- Annabelle była gotowa mieszkać tu pół roku albo i dłużej - odparł Jonas. - Aż do śmierci babki.

- Chyba że miała powód, żeby wyjechać teraz. Nie chcę myśleć, że ja mogłem się stać tym powodem.

- No cóż, otworzył pan starą sprawę Langleya.

- Co o tym wiesz?

- To, co ludzie mówili. - Jonas przeciągnął ręką po zmierzwionych włosach. - Rany boskie, pan to ma prawdziwy talent do otwierania puszek z robakami. Czy ma pan za mało roboty?

- Nie tylko tobie się tak wydaje. Ja jednak sędzę, że w końcu pomogę Annabelle. Tajemnice sprawiają ból.

- Bzdury. Chce pan oczyścić jej nazwisko, żeby stała się dla pana politycznym atutem, a nie obciążeniem. - Jonas chytrze się uśmiechnął. - Ona mi dużo mówi. Teraz, kiedy babka nie żyje, mogłaby zapewne sfinansować całą pana kampanię. Annabelle będzie bogata. A może to jest dobry motyw? Gdzie pan był dziś wieczorem, panie radco?

- Jadłem kolację w dużym towarzystwie. Wy rządź mi przysługę, Jonas, i nie wspominaj jutro in-

spektorom o tej starej sprawie. A teraz poczekam na policję i później odwiozę Annabelle do domu.

Wyjął wizytówkę i na jej odwrocie zanotował nazwisko i numer telefonu.

- To jest adwokat, który mnie nie znosi. Zadzwoń jutro do niego w jej imieniu. Jeśli zechcą przesłuchać Annabelle, każ jej powiedzieć: „Nie odpowiem na żadne pytanie bez obecności adwokata”. Zrozumiałeś mnie?

- Adwokata? Znakomicie. Niech pan sam jej to powie.

- Mam taki zamiar, ale widzę, że ona słucha ciebie.

- Nie piśnie ani słowa glinom, dopóki nie przyjdzie ten prawnik, nawet gdybym miał na niej siedzieć. A czy pan mógłby ją reprezentować?

- Niestety, nie.

- Może to i dobrze. Pana ojciec się nie popisał, prawda? - Jonas wziął wizytówkę i spojrzał na nazwisko, potem jego rysy jakby złagodniały. - Dziękuję.

- Zawiozę ją domu, kiedy przyjdzie policja.

- Będzie pan miał z tego powodu kłopoty?

- Na razie nic mnie to nie obchodzi.

- Ja też już nie chcę słyszeć ani słowa więcej o dzisiejszym wieczorze - powiedział do Annabelle w drodze do domu. - Jeśli policja zechce cię prze-

słuchać, bez adwokata nie podawaj im nawet swojego nazwiska. Oni będą ci bardzo współczuli i powiedzą, że nie potrzebujesz prawnika, jeśli jesteś niewinna. Nie wierz im nawet przez sekundę.

- Ale...

- To, co mówiliśmy do tej pory, możemy uważać za nieoficjalne, ale ja też mogę zostać poproszony o złożenie zeznań. Na pewno nie będę tej sprawy prowadził. Jestem zbyt blisko. Wszystko, co powiesz mi od tej pory, będę musiał wyjawiać.

- Ujawnij wszystko, co chcesz, Ben. Zabiłam ją.

- Annabelle!

- Gdybym nie musiała zmienić tej cholernej opony, babcia nie zostałaby sama. Mogłam ją uratować, gdybym przyjechała wcześniej.

- Jakiej opony?

- Złapałam gwóźdź. Zupełnie nie wiem gdzie. - Wyjęła go z torebki. - Dowód rzeczowy numer jeden. To cud, że opona się nie rozerwała. Uszło z niej powietrze na podwórku twojej matki.

- Dzwoniłaś do warsztatu?

- Sama zmieniłam koło. Jeżdżę teraz na takim małym zapasowym.

- A gdzie jest opona?

- W bagażniku. A gdzie miałabym ją trzymać?

- No tak.

- Biedna pani Mayhew. Była taka zdenerwowana.

- Aha - mruknął Ben zdawkowo.

- Musiała być przerażona, kiedy zadzwonili do niej z pogotowia. Uwielbia swoje wnuki.

- Mówi, że była zbyt zdenerwowana, żeby zapamiętać głos. - Wskazał na jej torebkę. - Ten gwóźdź w twoim kole to nie musiał być przypadek. Może ktoś chciał cię zatrzymać poza domem babki. Nie znam zbyt wielu kobiet, które potrafią same zmienić koło.

- To obłąd. Nie wierzę, żeby ktoś zrobił mi coś takiego.

Dobrze, niech tak myśli, uznał w duchu Ben.

- Nie winię pani Mayhew za to, że została na kolacji, kiedy się dowiedziała, że jej wnuk nie pojechał w końcu na pogotowie ze złamaną nogą - ciągnęła Annabelle. - Ja na jej miejscu zrobiłabym to samo. Ona pomyślała, że jestem z babcią. - Spojrzała w ciemność za oknem. - I powinnam była z nią być. Nigdy sobie tego nie wybaczę.

- Być może to nie ty potrzebujesz wybaczenia.

- Co?

Położył rękę na jej kolanie.

- Przepraszam, wiem, że jesteś wyczerpana. Ja i Jonas doszliśmy do wniosku, że nie powinnaś być dziś sama. Prześpię się u ciebie na kanapie.

- Do Elizabeth mam dwadzieścia kroków.

- To nie to samo. Nie kłóć się ze mną, zostaję. Jutro rano zawiozę cię po twój samochód. - Wjechał

na podwórko na tyłach domu matki i zgasił silnik.

- Chodź, pora spać.

Nad kuchennymi drzwiami zapaliła się lampa i Ben jęknął, gdy matka podeszła do samochodu.

- Tak strasznie mi przykro, Annabelle. Może napiłabyś się gorącej czekolady? Albo brandy?

- Jestem taka zmęczona... - odrzekła Annabelle drżącym głosem.

- Oczywiście. Ben, zaprowadź to dziecko na górę, połóż do łóżka i nawet nie śmiej jej zostawiać.

- Tak, mam.

- To znaczy, zostaw ją w łóżku, nie... Och, wiesz, co chciałam powiedzieć. - Odwróciła się na pięcie i zniknęła w domu.

- Uśmiechnęłam się po raz pierwszy od nie wiem jak dawna - rzekła Annabelle.

- Mam cię zanieść na rękach?

Uniosła brwi i szybko ruszyła w stronę schodów.

- Nie ma jeszcze dwunastej - oznajmiła Annabelle, rzucając pościel na kanapę w saloniku. - Powinnam zadzwonić do Nowego Jorku do Vickie, i do zakładu pogrzebowego, i...

- Przestań. - Ben ujął jej rękę i pociągnął ją na kanapę. - Jest mi bardzo przykro.

- Musiałeś...

- Nie. Przykro mi, że pani Langley nie żyje. Wiem, że ją kochałaś.

Rozpłakała się i przytuliła do niego.

- Naprawdę ją kochałam - wyszeptwała przez łzy.

- Nienawidziłam, ale też kochałam. Miałam tylko ją. A teraz jestem sama.

- Masz jeszcze Jonasa. - Pogładził ją po włosach.

- Nie wiem, czy on zechce tu zostać. A poza tym dom pewnie trzeba będzie sprzedać. I ogród.

- Nie przesądzaj niczego z góry.

Nagle się wyprostował. List! List zawierający instrukcje pani Langley! I pudełko! Czy będzie mógł teraz je otworzyć?

- Co się stało?

Czując, że serce wali mu jak oszalałe, odchylił się na oparcie kanapy. Pragnął zostać u Annabelle i jednocześnie chciał zajrzeć do tego cholernego pudła. Pudło jednak musi poczekać. Dzisiejszy wieczór należy do Annabelle. Ona go potrzebuje, i z tą myślą było mu dobrze.

Kilka minut później poczuł, jak ciało Annabelle się odpręży. Jej oddech stał się wolny i regularny, powieki się zamknęły. Długie rzęsy rzucały cienie na jej policzki. Westchnęła i mocniej się w niego wtuliła. Dotknął lekko ustami jej wilgotnego czoła. Pragnął trwać z nią w tym uścisku już zawsze, chronić ją przed wszystkim, co mogłoby ją zranić.

Po raz pierwszy od śmierci Judy miał ochotę się kimś opiekować. Kobiety, które dotychczas wy-

bierał, nie potrzebowały opieki, bo wybierał tylko te samowystarczalne. Nigdy niczego od niego nie żądały, nigdy nie potrzebowały emocjonalnego wsparcia. Mógł od nich odejść w każdej chwili, nie dręczony poczuciem winy.

Delikatnie wsunął pod ciało Annabelle ręce i jakoś zdołał się podnieść, nie budząc jej. Na filmach zawsze wygląda to bardzo prosto. Potem zaniósł ją do sypialni i ukląkł, by położyć ją na łóżku. Nagle otworzyła oczy i wstrzymała oddech.

- Wszystko w porządku, śpij - szepnął.
- Nie idź - poprosiła, chwytając go za rękę.
- Będę w drugim pokoju.
- Nie, tutaj. Zostań tutaj.
- Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł.

Podparła się na łokciach.

- Nie sugeruję powtórzenia tamtej nocy. Proszę cię, żebyś został, bo nie chcę być sama. Ty położysz się po tej stronie, a ja po tej. Poczekaj przynajmniej, aż zasnę. Potem możesz jechać do domu albo iść na kanapę.

Nie miała pojęcia, o co go prosi. Przymknął oczy.

- Dobrze - powiedział.
- Dziękuję.

Przetoczyła się na drugą stronę łóżka. Ben przykrył ją, potem zdjął buty i krawat, odpiął guzik koszuli i rozpiął pasek u spodni. W końcu ułożył się na brzegu łóżka i skrzyżował ręce na brzuchu.

No cóż, nie tak sobie wyobrażał następną noc spędzoną z Annabelle...

- Ben?

- Słucham.

- Czy aresztują mnie za zabójstwo?

Wstrzymał oddech, obrócił się na bok i przyciągnął ją do siebie. Poczuł, że drży.

- Nie, jeśli zdołam coś zrobić.

- Bo to jest logiczne - ciągnęła. - Mają tylko moje słowo, że kiedy przyszedłam, ona... nie żyła. Jak długo trwa duszenie człowieka?

Podparł się na łokciu.

- Nie wiemy, czy została uduszona.

Położyła się na plecach i spojrzała mu w oczy.

- Ty uważasz, że tak, prawda?

- Nie wiem.

- Dlaczego ktoś miałby to zrobić?

- Tego też nie wiem. - Przymknął powieki i odchylił głowę do tyłu. - Wszystko, co robię, obraca się przeciwko czemuś. Żałuję, że w ogóle wchodziłem do jej pokoju. Trzeba było po prostu pozwolić doktorowi Renfro podpisać akt zgonu.

Usiadła i otoczyła go ramieniem.

- Nie! Wiem, że tego nie potrafiłbyś zrobić. A poza tym, jeżeli ktoś naprawdę ją... zabił, powinien za to zapłacić, prawda?

Położył się i pociągnął ją za sobą.

- Nie, gdyby to miało cię zranić.

Westchnęła głęboko.

- Nie dopuścisz do tego. - Ostatnie słowo wypowiedziała niewyraźnie, zapadając w sen.

Czy będzie w stanie ją ochronić? Ufała mu, potrzebowała go. Nie był pewien, czy jest w stanie sprostać jej oczekiwaniom.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Była pewna, że tej nocy nawiedzi ją ten sen - sen, w którym szaleje pożar, ale jeśli nawet tak się stało, rano nic nie pamiętała. A obudziła się dlatego, że było jej gorąco. Wygrzebała się jakoś z otchłani snu i ze zdumieniem uświadomiła sobie, że leży przytulona do Bena, z ręką przerzuconą przez jego biodro. Nic dziwnego, że było jej gorąco. Ciało Bena było rozpalone...

Zamarzyła sobie nagle, że jest nieprzytomny. Wtedy mogłaby go dotknąć, poznać zapach jego skóry. Zorientowała się, że jej oddech staje się przyspieszony, że nabrzmiwiają jej piersi. Skąd to się bierze? Po prostu na samą myśl o nim? Czy kobiety tak właśnie reagują na mężczyzn? Czy czują takie przyjemne pulsowanie w dole brzucha i pragną wtedy mężczyzny aż do bólu?

Mama taka była, przynajmniej wnosząc z opowieści babki. Annabelle zazwyczaj nie dotykała mężczyzn; czasami tylko poprawiała kołnierzyk lub jakiś szew na ramieniu któregoś z tych wspaniałych modeli, z którymi pracowała. Nigdy jednak nie było w tym nic zmysłowego.

Tym razem jednak było inaczej. Poczwała nagłe pobudzenie. Zapałka i płomień, jak mawiała Vickie. W umyśle Annabelle ożyły wszelkie komunały, jakie Vickie jej prawiała w długie wieczory, kiedy to próbowała namówić ją, by częściej wychodziła, spotykała mężczyzn, stała się kobietą światową.

Tego ostatniego pragnęła najmniej. Miło byłoby być żoną, zakładając, że wolno jej będzie pracować w swoim zawodzie, lecz jeśli geny mogą stanowić jakiegokolwiek kryterium, pewnie będzie taka jak mama. Na pewno nie jest damą, sądząc po reakcji na bliskość Bena.

On zasługuje na kogoś lepszego.

Ben poruszył się przez sen, chwycił jej rękę i pociągnął ją sobie na pierś. Świetnie. I co ona ma teraz począć? Leżeć tak całą noc i dosłownie przetrwać swoje własne soki?

Powoli, wstrzymując oddech, usiłowała wyzwolić rękę z jego uścisku. I udałoby się jej, gdyby się nagle nie obudził, nie obrócił na bok i nie objął jej obiema rękami. Aż podskoczyła ze zdumienia.

- Która godzina?
- Chyba już jest rano.
- Pięknie jest się tak obudzić. - Nosem potarł jej szyję.
- Ben...

Nie dokończyła, bo poczuła na wargach jego usta. Nie była przekonana, czy on wie, gdzie jest i z kim,

lecz w chwili, gdy poczuła jego biodra tulące się do jej łona, pojęła, że powinna zapomnieć o swych marzeniach dotyczących poznawania jego skóry. Ben miał zupełnie inne potrzeby.

Po chwili i ona je w sobie odnalazła. Wszelkie zamiary zostania damą roztopiły się w gorączce palącej tęsknoty. Jej ostatnią świadomą myślą było to, że jeśli Benowi przeszkadza jej żądza, na pewno nie dał jej tego odczuć.

A potem dała się ponieść zmysłom.

Tym razem nie czuła bólu, a jedynie rozkosz napływającą takimi falami, że w pewnej chwili odniosła wrażenie, że jej ciało i Bena przenikają się wzajemnie. Gdy znacznie później trzymał ją w ramionach moką i zdyszana, szepnęła:

- Ben, przepraszam. Nie chciałam...

- Przepraszasz? - Ucałował jej włosy, a potem otarł swoje czoło. - Kochanie, ty się bardzo szybko uczysz.

Co takiego chciał przez to powiedzieć? Zesztywniała i wysunęła się z łóżka.

- Muszę się ubrać, Ben. Mam dziś milion rzeczy do zrobienia.

- Przecież jest dopiero wpół do szóstej. Wracaj do łóżka.

- Lepiej ty wracaj do domu.

- Mama wie, że spędziłem tu noc.

- Nie musisz być dzisiaj w sądzie?

- Cholera, tak! - Posiedział chwilę i wstał.

Jak on jej się podobał! No tak, to wszystko wyjaśnia. Od tej pory będzie się trzymać wobec niego na dystans.

On zapewne myślał zupełnie o czym innym, bo ten dystans właśnie zmniejszył, przytulając ją do siebie.

- Nie martw się sprawą babci. Wszystko będzie dobrze.

Odsunęła się od niego. Jej tęsknota za nim jest po prostu tęsknotą za obecnością drugiego człowieka, jego ciepłem, i oznacza afirmację życia w obliczu śmierci. To tylko to, nic więcej.

- Muszę się przygotować do pracy, Ben. Do widzenia. I dziękuję, że zostałeś. - Wpadła jak burza do łazienki i zatrzęsnęła drzwiami.

- Moglibyśmy wziąć razem prysznic! - zawołał.

- Odejdź, Ben. - Oparła czoło o lustro.

- Zadzwoń do ciebie.

- Dziękuję.

Weszła pod prysznic. Czy jej odbita w lustrze twarz zdradzała, że spędziła szaleńczą noc? Na czole nie dojrzała wypalonego piętna rozpusty, lecz oczy jej płonęły, mimo że wczoraj wieczorem płakała.

Wstrzymała na chwilę oddech. Płakała, wczoraj wieczorem z jej oczu leciały prawdziwe łzy! Nie pamiętała, by kiedykolwiek wcześniej uroniła choćby jedną łzę - lecz po śmierci babci naprawdę się rozpłakała.

A może raczej płakała ze strachu, że popadnie w tarapaty? Czy policja uzna, że to ona zabiła babcię? I jak mogła o niej zapomnieć? Czy seks wypłukał z niej każdą inną emocję, każdą świadomą myśl?

Najwyraźniej tak. Zapewne znacznie bardziej przypomina matkę, niż jest gotowa przyznać.

- Czy my mamy za mało roboty? - W głosie Phila brzmiała irytacja. - Każesz robić sekcję z powodu złamanego paznokcia?

- Nie tylko.

- Lekarz sądowy przefaksował wyniki sekcji tuż po lunchu. Będziesz rwał sobie włosy z głowy, kiedy je przeczytasz. - Phil rzucił na biurko dwie zadrukowane kartki. Ben wolałby właściwie nie wiedzieć, jaką burzę rozpętał, lecz nie miał wyjścia.

- Niejednoznaczne? Co to właściwie znaczy?

- To znaczy niejednoznaczne - odrzekł Phil tonem, jakim się wyjaśnia dziecku oczywiste rzeczy. - Staruszka mogła zostać uduszona - pewne oznaki na to wskazują - ale czy to ją zabiło, czy zmarła w wyniku ataku serca, który wystąpił jednocześnie, tego nie można stwierdzić. - Phil wyprostował się i złożył palce w daszek. - Co więcej, czy ktoś ją udusił, czy też udusiła się przypadkiem, ponieważ właśnie przechodziła atak serca?

- Lekarza sądowego nie stać na większą precyzję?

- Najwyraźniej nie. Co więc teraz mamy, według ciebie, zrobić? Wysłać chłopców z wydziału za-

bójstw na polowanie? Marnować pieniądze podatników?

Ben oparł łokcie na kolanach, kartki przytrzymał lekko palcami.

- Jeśli ktoś ją udusił, to jest to morderstwo, nawet jeśli była stara i chorowała na serce.

- Zgadzam się. Czy sam poprosisz o nakaz aresztowania swojej przyjaciółki, czy ja mam to zrobić?

- Co?

- Ona jest pierwszą podejrzaną. Cholera, ona jest jedyną podejrzaną.

- Są dowody, że ktoś dostał się do środka od zewnątrz.

- Otwarte okno? Wytarty z kurzu parapet? Takie rzeczy łatwo upozorować od wewnątrz.

- Annabelle znalazła ją nieżywą.

- Tak mówi.

- Ona nie jest zabójczynią.

- Tak mówi.

- Do cholery, Phil... - Ben wstał.

Phil uniósł ręce do góry i zamachał dłońmi.

- Uspokój się, Ben. Nie sędzę, żeby to zrobiła. Moim zdaniem, nikt tego nie zrobił.

- Ale...

" - A jeśli tak, to jakie według ciebie są szanse, że tego kogoś znajdziemy? A jeśli jakimś cudem się nam uda, jakie mamy szanse, żeby przygotować solidny akt oskarżenia?

- Chyba mizerne...

- No, wreszcie mówisz rozsądnie, chłopcze. -

Phil pokiwał głową.

- A co ty byś z tym zrobił?

Phil wzruszył ramionami.

- Wrzuciłbym to na półkę nie rozstrzygniętych spraw. Kto wie, może za jakieś pięć lat jakiś notoryczny zbrojeniec przyzna się także do zamordowania Victorii Langley.

- I to wszystko?

- Zawiadomiłbym rodzinę, że może zabrać ciało i przygotować pogrzeb. - Uśmiechnął się do Bena.

- Nie bądź taki przygnębiony. Zajmujemy się sprawami, które możemy wygrać. Czyż nie jest to moja podstawowa zasada?

- Taak. Masz rację.

Phil wstał, okrążył biurko i położył rękę na ramieniu Bena.

- Żyjemy w świecie, który nie jest doskonały. Robimy, co w naszej mocy.

Ben kiwnął głową.

- Pociesz się tym, że przyspiłiłeś dzisiaj tego łotrzyka MacCauleya. Nie wyjdzie z więzienia przez tysiąc lat, jeśli tylko znajdę sędziego, który go skaże. Widzisz, jak to jest, kiedy prowadzisz sprawy, które można wygrać?

- Jonas, poprosiłam Beulah, żeby została i po-

mogła przygotować dom na pogrzeb babci - powiedziała Annabelle.

- To dobry pomysł, ale sama pani Mayhew ci nie wystarczy, mimo że to silna kobieta. Mogę sam odwalić trochę ciężkiej roboty, ale sprzątać nie potrafię.

- O to bym cię nie prosiła. Zamówiłam ludzi do sprząkania, przyjdą jutro rano. Beulah będzie ich dozorować, kiedy ja pojedę załatwić formalności.

- Kiedy pogrzeb?

- Jak najszybciej, nie uważasz? Może jutro po południu? Zamówię jedzenie.

- Ludzie sami przyślą jedzenie.

- Nie ma tu aż tylu ludzi w jej wieku, żeby przyśleli jedzenie. Nie wystarczy.

- Na co?

- Na później, oczywiście. Jonas, przecież wiesz, jak to jest. Po pogrzebie wiele osób będzie chciało przyjść do domu. Zważywszy na pozycję babki, możemy mieć tu tłumy ciekawskich. Musimy mieć kawę i poczęstunek dla każdego.

- Tutaj?

- A gdzie? Nie masz nic przeciwko temu, żeby podawać?

- Właściwie mam - odparł szorstko.

- Proszę, Jonas. Wiem, że to dla ciebie duży wysiłek, ale na nikogo innego nie mogę liczyć.

- A ludzie od dostawcy?

- Oni po prostu zostawią tu wszystko i odjadą. Właściwie nie musisz nic robić, tylko sprawdzić, czy w barze są czyste szklanki, w kredensie filiżanki, no i kawa w dzbanku. Proszę, Jonas, nie opuszczaj mnie. Chyba więcej już nie zniosę.

- Przepraszam. - Jego twarz złagodniała. - Zaskoczyłaś mnie.

Uśmiechnęła się lekko i objęła go w pasie.

- Bardzo ci dziękuję. Oczywiście, będziesz niósł trumnę.

- Nie.

- Jonas, byłeś jej jedynym przyjacielem, byłeś więcej niż rodziną. Musisz nieść trumnę. Nie wiem, jak zdobędę sześciu mężczyzn, żeby wynieśli jej trumnę po mszy do karawanu, a potem do grobu.

- Dobrze, panno Langley - skapitulował.

- Jonas, nie mów tak do mnie, proszę.

- Dobrze, a ten wścibski palant, w którym się zadurzyłaś? Będzie niósł trumnę?

- To nie jest palant. On tylko wykonywał swoją pracę. I będzie niósł trumnę, choć jeszcze go o to nie prosiłam.

- Palant, mówię ci. - Poklepał ją po głowie. - A nazwę go jeszcze gorzej, jeśli tą autopsją narobi nam smrodu.

- Nie narobi.

- Nekrolog ukaze się jutro rano. Wtedy zobaczymy.

Zadzwoił telefon i Annabelle podskoczyła. Jonas zerknął na nią ze zmarszczonym czołem i pierwszy ujął słuchawkę.

- Rezydencja Langleyów. Kogo mam zaanonsować? - Podał telefon Annabelle i szepnął: - Mówi, że jest jej adwokatem.

Annabelle kiwnęła głową i ujęła słuchawkę.

- Słucham? - Popatrzyła na Jonasa z paniką w oczach. - Piętnaście minut? Oczywiście, będę tutaj. Lepiej mieć to jak najszybciej za sobą.

Odłożyła słuchawkę.

- Łap się za ścierkę od kurzu i daj mi drugą. Ten adwokat już tu jedzie. Nie chcę, żeby myślał, że zapuściliśmy dom. - Urwała kilka arkuszy z rolki wiszącej nad zlewem. - Jeśli zmieciesz pajęczyny z kandelabra w holu, ja przetrę stoły w salonie. Do innych pomieszczeń nie musimy go wpuszczać.

Pięć minut później Jonas wetknął rączkę miotełki z piór do tylnej kieszeni spodni.

- Czy kandelabr spełnia pani oczekiwania, jaśnie pani?

Potarła ręką nos i zostawiła czarną smugę na jego czubku.

- Musi. Jeśli nie zapalimy wszystkich świateł, może ten facet nic nie zauważy.

- Chodź no tu. - Przyciągnął ją do siebie, wyjął papierowy ręcznik z kieszeni spodni i otarł jej nos. - Zawsze się okropnie brudziłaś.

- Dzięki. - Uśmiechnęła się do niego. - Czy wiesz może, dlaczego przyjeżdża tu młodszy wspólnik? Co się stało z Fosterem Grayem starszym?

Jonas wzruszył ramionami.

- Chyba umarł. Pewnie miałby już ze sto lat.

Rozległ się dźwięk dzwonka u drzwi.

- O Boże! Ani na chwilę nie zostawiaj mnie z tym facetem samej, jasne?

Uprzejmie skłonił głowę.

- Jak jaśnie pani sobie życzy.

Klepnęła go po ramieniu, gdy ruszał otworzyć drzwi.

Dziesięć minut później Foster Gray III po raz enty wygładził załamania na swym idealnie skrojonym granatowym garniturze i odchrząknął. Potem pochylił głowę nad dokumentami, które położył sobie na kolanach, tak że widać było jedynie jego kasztanowe, znakomicie przystrzyżone i lekko spryskane lakierem włosy.

- Czy moglibyśmy opuścić wszystkie wstępy? - zapytała Annabelle.

Młody Foster uśmiechnął się do niej uwodzicielsko, błyskając zębami, których uroda zapewne kosztowała jego ojca wiele wizyt w gabinecie ortodonty.

- Właśnie to robię.

Annabelle spojrzała na Jonasa, który stał w sklepionym przejściu niczym członek gwardii pretoriańskiej.

- Jest pani wykonawczynią testamentu, a więc zgadza się pani spełnić jego warunki?

- Tak.

- Dobrze. Po pierwsze, pani, Annabelle Langley, ma otrzymać jeden milion dolarów w funduszu powierniczym zarządzanym przez... Tu są informacje, które zapewne wcale pani nie interesują...

Okazuje się, że i prawnik może być ludzki.

- Otrzyma pani kapitał dopiero, gdy wyjdzie pani za mąż lub skończy czterdzieści lat.

Annabelle uśmiechnęła się.

- No cóż, babcia chciała, żebym sobie poczekała. Czy miała aż tyle pieniędzy?

- Oczywiście.

- A Jonas?

- Dostaje dziesięć tysięcy dolarów, dzierżawę mieszkania bez opłacania czynszu oraz swobodę działania w ogrodach tak długo, jak będzie sobie życzył.

- To wszystko? - Annabelle aż wstała. - Nie martw się, Jonas. Od kapitału na pewno będzie dość odsetek, żebyś założył firmę. Jakoś sobie z tym poradzimy.

Jonas kiwnął głową i pchnął ją delikatnie w stronę krzesła.

- Porozmawiamy później.

- Ale...

- Annabelle. - W jego głosie zabrzmiało ostrzeżenie.

- No dobrze.

Gdy usiadła, młody Foster znowu odchrząknął i ciągnął:

- A jeśli chodzi o resztę majątku, to wszystko, dom, ziemię i wszelkie dobra osobiste otrzymuje Raymond Horatio Langley, jej syn. - Prawnik wykrzywił usta. - Jeśli go znajdziemy.

- Mój ojciec?

- Obawiam się.

- Jonas, na litość boską, powiedz mu.

- Pan Raymond Langley być może nie żyje - oznajmił Jonas, nie ruszając się z miejsca.

- To może być poważny problem.

- Ja też tak sądzę - jęknęła Annabelle.

- Są dodatkowe postanowienia. - Prawnik przez chwilę w milczeniu studiował tekst. - Aha. Otóż jeśli Raymond Horatio Langley nie odnajdzie się w ciągu siedmiu lat lub jeśli zostanie udowodnione, że zmarł przed swą matką, wtedy należna mu część majątku ma zostać sprzedana i zyski podzielone równo między jej wnuczkę, to znaczy panią, i jej lojalnego ogrodnika, Jonasa Arkwrighta.

- Siedem lat?! - zawołała Annabelle.

- Spokojnie - rzekł do niej Jonas.

- To wstrętne, Jonas. Podłe. Ja jestem w tym wszystkim nieważna, ale ty...

- Nie teraz - powiedział Jonas z naciskiem.

Młody Foster z zainteresowaniem obserwował ich wymianę zdań.

- Proszę się nie martwić - podjął Foster. - W testamentie jest napisane, że podczas gdy poszukiwania będą trwały, wszystko ma się toczyć swoim dawnym trybem - Jonas ma otrzymywać swoją pensję, zwiększaną co roku o dziesięć procent, tak długo, jak długo będzie zajmował mieszkanie i wykonywał pracę jak dotychczas. - Uśmiechnął się promiennie do starego ogrodnika. - Nie miała zamiaru wyrzucić pana na ulicę, panie Arkwright.

Annabelle otworzyła usta, by coś powiedzieć, lecz Jonas zgromił ją spojrzeniem. Foster znowu odchrząknął.

- Jest jeszcze kodycył dodany w zeszłym tygodniu - oświadczył. - Raczej dziwny. Muszę przyznać, że nie bardzo rozumiem, dlaczego kazała go dopisać. W takich sprawach zawsze my reprezentowaliśmy Langleyów.

- O czym ten kodycył mówi? - zapytała Annabelle.

- Wyznacza drugiego wykonawcę oprócz pani. - Spojrzał na Annabelle ze zdumioną miną. - Nie ma w tym nic złego. To wspaniały człowiek, ale nie wiem, dlaczego go wybrała.

Annabelle odniosła wrażenie, że jej serce wstrzymuje bieg.

- Jak on... się... nazywa?
- To mój dawny kolega ze studiów, Ben Jackson.

- Zakwestionuję ten testament - oświadczyła Annabelle. - Jaki jest sens, żeby czekać siedem lat, aby nie znaleźć mojego ojca?

Jonas siedział w fotelu, oparłszy nogi na stojącym przed nim stoliku. Annabelle krążyła po pokoju.

- Nie zrobisz tego. - Pociągnął spory haust piwa prosto z butelki. - Jeśli zakwestionujesz ten testament i przegrasz, stracisz wszystkie prawa do swojego spadku.

- Nie obchodzi mnie mój spadek! Zarabiam dużo w Nowym Jorku, i zarobię jeszcze więcej. Chodzi mi o ciebie. Ona nie może ci tego zrobić!

- To mój problem, a nie twój. Zabraniam ci podważania testamentu.

- Jonas, jak możesz siedzieć tak spokojnie? Zrobiła z ciebie służącego na siedmioletnim kontrakcie, a w tym czasie będziemy polować na ojca.

- Może wreszcie ustalimy, że nie żyje.

- Och, wspaniale. Wtedy będziesz miał dosyć pieniędzy, żeby zająć się architekturą krajobrazu, ale stracisz ogrody. Całe życie im poświęciłeś.

- Nie całe. Wszystko rośnie, dojrzewa, a w końcu umiera. Wielkie rzeczy.

- Dobrze. Mam inny plan. Jutro rano sprawdzi-

my, ile dochodu rocznie przeniesie mi ten fundusz powierniczy, i na tej podstawie weźmiemy kredyt inwestycyjny. Zrób ze mnie swoją współniczkę, jeśli chcesz. Będziesz mógł otworzyć firmę.

- Zobaczymy.

Tupnęła nogą.

- Jak możesz być tak spokojny?

- Nauczyłem się cierpliwości.

- No cóż, ja nie. I nie mogę uwierzyć, że Ben został współwykonawcą testamentu! - Odgarnęła włosy z czoła. - Nie będzie musiał szukać wymówki, żeby mnie nękać.

- Kupimy faks i będziecie się porozumiewać tą drogą. - Zerknęła na niego spod oka. - No, jeśli rzeczywiście nie chcesz go widywać... - Uniósł butelkę w geście toastu.

Annabelle zachichotała, Jonas wzruszył ramionami i wyszczerzył zęby. Po chwili oboje zanieśli się głośnym śmiechem. Annabelle usłyszała w swym głosie oznaki zbliżającej się hysterii.

- Co was tak rozbawiło?

Odwrócili głowy. W progu stał Ben Jackson.

- Drzwi były otwarte. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Annabelle wskazała Bena, spojrzała na Jonasa, po czym znowu wybuchnęła śmiechem.

- Mam rozpięty rozporek?

Zaśmiali się jeszcze głośniej.

- Czy... czegoś mi brakuje? - Ben tracił kontenance.

Annabelle wskazała na niego, usiłowała się uspokoić, po czym padła ofiarą następnego ataku. Wreszcie, gdy zdyszana łapała powietrze, Jonas oznajmił uroczyście:

- Pani Langley niechcący przekazała nam dar śmiechu. Pana kosztem, obawiam się. Pan jest chyba tym lukrem na przysłowiowym ciastku Annabelle.

Powietrze w salonie aż zadrzało od następnego wybuchu radości. Chcąc dać im czas na ochłonięcie, Ben wyszedł do kuchni po piwo.

- Jestem pewien, że pani Langley jest szczęśliwa, bez względu na to, gdzie teraz przebywa - oznajmił po powrocie.

Annabelle zachichotała i przykryła ręką usta.

- A teraz, jeśli już skończyliście wasze harce, przekażę wam wiadomość.

Oboje natychmiast otrzeźwieli. Jonas z hałasem postawił stopy na podłodze, Annabelle zaś wyprostowała się i kurczowo ścisnęła go za rękę.

- Uspokójcie się, to nic groźnego.

- Nie została uduszona? - spytał Jonas.

- Nie jesteśmy pewni. A ponieważ nie jesteśmy pewni, nie będziemy tego ścigać.

- A gazety?

- Nikt nie musi nic wiedzieć oprócz tego, że zmarła we śnie.

- Dzięki Bogu.

Z oczu Annabelle popłynęły łzy.

- Co się ze mną dzieje? - zapytała. - Nigdy nie potrafiłam płakać.

- Nie żałuj sobie - powiedział Ben, siadając na kanapie i kładąc jej rękę na ramieniu. - Bądź wdzięczna, że możesz dać upust uczuciom.

- Ma pan rację, proszę pana - rzekł Jonas, puszczając dłoń Annabelle. - Teraz was zostawię, jeśli wolno. Chcę przed kolacją zajrzeć do moich azalii.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Ben wyjął teczkę z szafki zawierającej akta osób zwolnionych warunkowo.

Pani Langley wyznaczyła go na współwykonawcę testamentu zapewne tylko dlatego, że jej zdaniem był on w stanie odnaleźć zaginionego od dawna Raymonda Langleya. Miał nadzieję, że jej nie zawiedzie.

Z doświadczenia wiedział, że ludzie przebywający na zwolnieniu warunkowym znikali codziennie. Po prostu ślad po nich ginął do czasu, gdy popełniali następne przestępstwo. Dopiero po sprawdzeniu ich odcisków palców w bazie danych FBI wszystko stało się jasne. Ray Langley, jeśli wierzyć jego matce, zniknął w dniu, w którym opuścił więzienie.

Akta jego sprawy znajdowały się teraz przed Benem. Wynikało z nich, że Raymond Langley co tydzień meldował się u odpowiednich władz aż do ostatniego dnia zwolnienia warunkowego. Nie wiadomo było, żeby popełnił później jakąkolwiek inną zbrodnię. A gdy odsłużył wyrok, zniknął. Właściwie miał do tego prawo.

Jeśli teraz mieszka sobie spokojnie w innym stanie, inaczej się nazywa, ma nowe prawo jazdy - nie sposób będzie go wytropić. A jeśli nie żyje... Ben wolał nie myśleć, jakie problemy należy w takim przypadku pokonać. Odsunął akta i po raz dwudziesty przeczytał instrukcje zawarte w liście pani Langley.

„Nikt nie może się dowiedzieć o istnieniu tego pudełka przed moim pogrzebem”. Dobrze, tyle czasu jeszcze wytrzyma. Lecz następne żądania doprowadzały go do szału. Popatrzył na pudełko. A może by tak jednak je otworzyć? Nikt się o tym nigdy nie dowie. Jeśli spyta go o nie Beulah, po prostu skłamię. Ona jednak na pewno o nic nie zapyta. Pewnie nawet nie przyjdzie na pogrzeb.

Dotychczas z całych sił starał się pomóc Annabelle, lecz cokolwiek zrobił, jedynie pogarszał sytuację. Powinien spalić to cholerne pudło lub wyrzucić je do kontenera na śmieci.

Wiedział jednak, że tego nie zrobi. Zaryzykuje jeszcze raz i postara się spełnić życzenie pani Langley. Częściowo już ją zawiódł. W głębi serca był przekonany, że ktoś ją zabił. Jego koledzy z wydziału zabójstw zawsze mówili, że kto jak kto, ale on potrafi wyczuć morderstwo na kilometr. Kiedyś był z tego dumny, a teraz żałował, że nie ma nosa raczej do perfum.

Schował pudło na miejsce, zasłonił je kocami,

włożył list do kieszeni marynarki i po raz ostatni poprawił włosy. Nie cierpiał noszenia trumien i modlił się teraz, by na schodach z kościoła trumna nie wysliznęła im się z dłoni.

Kościół tonał w kwiatkach. Było w nim więcej ludzi, niż Ben się spodziewał, a wśród obecnych dostrzegł wielu inwalidów. Ben usiadł za Annabelle i wysoką, bardzo chudą młodą kobietą w okularach przeciwsłonecznych, która miała na sobie szykowną suknię futerał z czarnego jedwabiu. Domyślił się, że jest to Vickie, nowojorska przyjaciółka Annabelle.

Doktor Renfro oraz pozostali mężczyźni, którzy mieli nieść trumnę, siedzieli obok Bena. Jonas wśliznął się do środka już po rozpoczęciu mszy i do końca ceremonii przesiedział w kącie, nie podnosząc głowy. Może naprawdę czuł żal z powodu śmierci tej starej kobiety? Ben kilka razy na niego spojrzał i za każdym razem Jonas sprawiał wrażenie bardzo poruszonego.

Ben usiłował porozmawiać z Annabelle na cmentarzu, lecz stała przy grobie w otoczeniu żałobników, toteż w końcu zrezygnował i poszedł za Jonasem do limuzyny, którą tu przyjechali.

- Ta dziewczyna zostaje? - zapytał.

- Panna Vickie nie zostaje - odparł Jonas. - Chyba popołudniowym samolotem wraca do Nowego Jorku.

- Aha. - Ben odetchnął. Jedno popołudnie pewnie by wystarczyło, by Vickie namówiła Annabelle do powrotu na Manhattan. A więc jest szansa, by Annabelle pozostała w Memphis, przynajmniej do dnia, w którym testament zostanie zatwierdzony. A w tym czasie może wreszcie się podda i zgodzi chociaż na zaręczyny.

W domu Jonas natychmiast udał się do kuchni.

- Czy byłby pan łaskaw otwierać drzwi? - zapytał Bena. - Ja muszę się zająć przygotowaniem jedzenia i picia.

- Oczywiście.

Liczba osób, które stawily się w rezydencji, ponownie go zdumiała. Nazwisko Langleyów musi widocznie nadal sporo znaczyć, mimo że pani Langley tyle lat spędziła w izolacji. I jak to zwykle bywa przy takich okazjach, zwykła stypa zmieniała się w prawdziwe przyjęcie - starzy przyjaciele, którzy się lubili, lecz rzadko widywali, żywo dzielili się informacjami na temat swojego życia. Victoria Langley nie była już głównym tematem ich dyskusji.

Phil Mainwaring przyprowadził matkę Bena, która miała na sobie prostą czarną suknię i perły - niemal takie same, jakie ujrzał na szyi Annabelle. I Vickie. To zdumiewające, jak różnie to samo ubranie wygląda na różnych kobietach.

Annabelle podwinęła włosy, tworząc gruby wałek

z tyłu głowy, lecz wyglądała tak, jakby za chwilę miała zrzucić buty i pobiec między róże. Boże, jak jej pragnął. Ostatnimi czasy prawie tylko o niej myślał.

- Ben, przestań się podniecać - szepnęła matka. Automatycznym ruchem potarł brodę.

- Nie podniecam się.

- W sensie przenośnym. Twoja mina wiele daje do myślenia. Uważaj.

Dzwonek u drzwi zadzwonił po raz dwudziesty. Ben był zbyt daleko, by je otworzyć, lecz w ich pobliżu przechodził właśnie Jonas. Odstawił tacę na bok i otworzył drzwi.

- Dzień dobry, doktorze Renfro - powiedział i zajął się zbieraniem pustych kieliszków.

Oczy Elizabeth rozszerzyły się ze zdumienia.

- Co się stało? - zapytał Ben. - Ubrudziłem się?

Elizabeth odwróciła się i patrzyła, jak Jonas znika w kuchni.

- Kto to jest, Ben? Ktoś od dostawcy?

- To, mamó, jest ów słynny Jonas, niezwykły ogrodnik pani Langley.

- Aha. Przyszedł do pracy znacznie później. Chyba nigdy go nie widziałam. - Zwróciła się do swego towarzysza, który rozmawiał właśnie z radnym Adlerem. - Phil, kochanie, czy mógłbyś mi przynieść kieliszek wina, kiedy pójdziesz do barku?

- Oczywiście.

- Elizabeth, jesteś jak zwykle najpiękniejszą kłaczą w stajni - oznajmił Adler i ucałował ją w policzek. - A twój syn też jest niezgorszy, co? - Klepnął Bena po ramieniu. - Będzie najlepszym prokuratorem okręgowym, jakiego mieliśmy.

- Protestuję! - rzekł Phil.

- Ty będziesz przecież najlepszym sędzią.

- Wybaczcie mi, za chwilę wracam - rzekła Elizabeth i zostawiła mężczyzn samych.

Annabelle zauważyła, jak Elizabeth znika w drzwiach prowadzących do kredensu. Pewnie szuka łazienki, pomyślała i ruszyła za nią. Miała nadzieję, że nikt jej nie zatrzyma. Musiała odebrać się od tych ludzi choćby na minutę. Zaczynała ją boleć głowa.

- Cześć, Ray.

Gdy dobiegający z kredensu głos Elizabeth dotarł do Annabelle, ta zamarła z ręką na klamce po drugiej stronie pomieszczenia.

- Słucham panią? - Głos Jonasa był spokojny, lekko zdumiony.

- Przestań, Ray. Możesz oszukać wszystkich, ale nie mnie. Poznałam cię w chwili, kiedy usłyszałam twój głos, choć wcale cię wtedy nie widziałam. Te brązowe soczewki kontaktowe to dobry pomysł. Nie męczą ci oczu?

- Nazywam się Jonas Arkwright, proszę pani. Obawiam się, że pomyliła mnie pani z kimś innym.

- Na tej srebrnej tacy jest mnóstwo twoich odcisków palców. W twoim mieszkaniu też. I w tym domu. Mogę poprosić Bena, żeby porównał je z odciskami Raya Langleya, ale po co mamy zawracać sobie głowę? Mam sporo twoich zdjęć ze szkoły, Ray. Twarz i ciało się zmieniają, ale głos - nie.

Annabelle oparła się o drzwi. Ogarnęły ją mdłości, robiło jej się gorąco i zimno na przemian.

- Unikałem cię cały dzień, Liz. Wiedziałem, że popełniłem błąd, kiedy przywitałem tego doktora. - Głos mężczyzny był łagodny, choć brzmiało w nim znużenie.

- Dlaczego, Ray? Po co ta maskarada?

Annabelle pchnęła drzwi.

- Właśnie, dlaczego, Ray? - Jej głos zadrżał, gdy wymawiała to imię. - Nie możesz być Rayem. Widziałam twoje zdjęcia. Znam cię od lat. - Jej głos podniósł się niebezpiecznie.

Elizabeth chwyciła ją za ramię.

- Ciszej. - Zwróciła się do mężczyzny, którego Annabelle знаła jako Jonasa: - Pozbądźmy się wszystkich jak najszybciej. Chodź, Annabelle. A ty - ponownie spojrzała na niego - nawet nie próbuj zniknąć. Nie teraz. - Pogroziła mu palcem. - Obiecuj!

Kiwnął głową.

- Annabelle... - Wyciągnął do niej rękę.

Powstrzymała łzy, odwróciła się na pięcie i bez słowa wybiegła z kredensu.

Nie miała pojęcia, jak przetrwała następne dwadzieścia minut. Nie pamiętała też, co mówiła. Ludzie zachowywali się uprzejmie, toteż na pewno była wobec nich miła i żegnała się z nimi serdecznie. A tak naprawdę to miała ochotę stanąć na środku salonu babki i kazać im wynosić się do diabła.

- No! - Elizabeth zamknęła drzwi za doktorostwem Renfro. - To już wszyscy. Wracaj do domu, Phil. Ben mnie potem odprowadzi.

- Co tu się dzieje? - zapytał Phil.

Elizabeth potrząsnęła głową.

- Później, kochanie. Sprawy spadkowe. Zaufaj mi. - Pocałowała go w policzek i lekko pchnęła w stronę wyjścia, mimo że się trochę opierała.

- Zadzwońisz do mnie?

- Oczywiście, Phil.

- O co chodzi, mamó? - zapytał Ben, gdy za Philem zamknęły się drzwi. - Co się znowu stało?

- Siadaj na kanapie i nie odzywaj się. Zajmij się Annabelle.

- Ja nie mogę siedzieć - odparła Annabelle. - I nikt nie musi się mną zajmować.

- Dobrze.

- Mamó, co ty knujesz?

- Poczekaj. - Elizabeth otworzyła drzwi do krendu. - Chodź tu - rzekła do „Jonasa”.

Powłócząc nogami, wszedł do salonu. W ciągu dwudziestu minut postarzał się o dziesięć lat. Jego opalona twarz zbladła, oczy straciły blask.

- Benjamin, chciałabym ci przedstawić Raymonda Langleya.

- Co?! - Ben zerwał się z kanapy. - To nie może być Ray Langley. Wykluczone.

- Więzienie zmienia ludzi - oznajmił Ray ze smutkiem.

- Coś podobnego! - Ben uważnie spojrzał na „Jonasa”. - Myślę, że powinien pan zacząć od początku.

Raymond Langley złożył ręce w błagalnym geście i spojrzał na Annabelle.

- Nie mogłem ci powiedzieć, rozumiesz? Musiałem cię chronić, stworzyć barierę między wami.

- Barierę? Chronić mnie? Przed babcią? - Odwróciła się od niego oburzona.

- Ta blizna bardzo cię zmienia - wtrąciła Elizabeth neutralnym tonem. - Skąd się wzięła? Masz szczęście, że nic ci się nie stało w oko.

Zmianę tematu przyjął z widoczną wdzięcznością.

- Jeden z więźniów rzucił się na mnie z nożem.

- A co się stało z twoim nosem? Zawsze bardzo mi się podobał, był taki arystokratyczny. Teraz

wyglądasz jak bokser, który przegrał zbyt wiele walk.

Raymond roześmiał się krótko.

- Był trzy razy złamany. Najpierw przez strażnika, a dwa razy przez więźniów, którym nie podobobała się moja przyjaźń z innym strażnikiem. Lekarze więzienni nie zwracają uwagi na takie drobiazgi jak złamane nosy.

- Mężczyzna, którego widziałem na starych fotografiach, miał wąskie ramiona - oświadczył Ben.

- Był chudy i przygarbiony.

- Nigdy by pan nie zgadł, młody człowieku, że jednym z przywilejów zagwarantowanych więźniom jest siłownia. Często z niej korzystałem. Musiałem być silny, żeby przetrwać. - Uśmiechnął się smutno.

- Wyszedłem stamtąd opalony, wysportowany i silny duchem. Nie złamali mnie, ale byli blisko, i wtedy ten strażnik mnie uratował. Z tego powodu zażyłem się architekturą krajobrazu. Zmieniłem wygląd całego terenu więzienia. Człowiek nabiera przy tym krzepy. - Spojrzał na swe dłonie. - To już nie są ręce bankiera.

- Jakim cudem nikt cię tu nie rozpoznał? - zapytał Ben. - Przecież tu się wychowywałeś, ludzie cię znali.

- Unikałem spotykania się z tymi kilkoma osobami, które, tak jak Elizabeth, mogłyby mnie rozpoznać. Nie jest to takie trudne. Na ogrodnika nikt

nie zwraca uwagi. Zapuściłem brodę, nosiłem kape-lusz i okulary przeciwsłoneczne, i rzadko się odzy-wałem. Dopiero dzisiaj popełniłem błąd. Chciałem się wymigać od niesienia trumny i pomagania w tym przyjęciu, ale gdybym to zrobił, zraniłbym Anna-belle.

- Zraniłbyś Annabelle? A nie chciałeś zranić An-nabelle? Dlaczego? - zapytała. - Dlaczego w ogóle musiałeś kłamać?

Odsunęła się, gdy wyciągnął do niej rękę.

- Zawarłem układ z matką. Musiałem tu zostać, żeby cię pilnować, ale nie chciałem się ujawniać, żeby nie traktowano cię jako dziecka mordercy, który wyszedł z więzienia warunkowo.

- A ona zgodziła się na ten diabelski pakt? - za-pytał Ben. - Na to, żeby jej własny syn żył jak słu-żący? Jak ogrodnik?

Ray podszedł do kominka i spojrzał na bukiet kwiatów leżący na palenisku.

- Nie zostawiłem jej wyboru. Najpierw zażądała, żebym wrócił do banku, ale odmówiłem. Matka wie-działa, że jeszcze zanim poszedłem siedzieć, chcia-łem się zająć architekturą krajobrazu. Dlatego Chan-tal... - Zerknął na Annabelle i opuścił ramiona. - O to właśnie najczęściej się z twoją matką kłóciłem. Nie chciała być żoną zwykłego robotnika.

- Ale nie założyłeś firmy - rzekła ze smutkiem Elizabeth.

- A mogłem, Liz? Musiałem unikać ludzi, którzy mnie znali. A to byli właśnie ci, których byłoby stać na zaprojektowanie sobie krajobrazu. No więc matka dała mi te ogrody i pozwoliła w nich robić, co chcę, i przysięgła mi nie wydać. - Wzruszył *ramionami*.

- Nie było to znowu takie trudne. Nie chciała rozgłaszać, że jej syn jest ogrodnikiem.

- Dlaczego mnie po prostu od niej nie zabrałeś? - Annabelle odwróciła ojca twarzą do siebie.

- Mogłeś mi powiedzieć prawdę, mogliśmy wyjechać gdzieś, gdzie nikt nas nie znał, i zacząć wszystko od nowa. Miałabym wtedy chociaż ojca!

- Przez pierwsze siedem lat byłem na zwolnieniu warunkowym i musiałem się co jakiś czas meldować. Nie mogłem wyjechać legalnie, nawet gdybym chciał. Nie mogłem też ot tak sobie zniknąć, bo rozesłaliby za mną listy gończe. Gdyby mnie złapali, co jest wielce prawdopodobne, poszedłbym znowu siedzieć. Co stałoby się wtedy z tobą? Oprócz tego nie miałem pieniędzy, nie miałem perspektyw, żadnego fałszywego dowodu tożsamości. Przy dużej dozie szczęścia dostałbym pracę najwyżej przy smażeniu hamburgerów.

- Myślisz, że zależałoby mi na pieniądzach?

- Mnie zależało na pieniądzach. Dla ciebie. - Opuścił głowę i spojrzał na nią. - Dobre szkoły, przyzwoite warunki mieszkaniowe...

- Przyzwoite? - Annabelle podniosła głos.
 - Wiedziała, że śledzę jej poczynania.
 - Woziliś mnie na zajęcia plastyczne. Kupiliś mi pierwszy rower, pierwsze wrotki i pierwszą maszynę do szycia. Nauczyliś mnie prowadzić samochód. Kochałam cię!

Zamrugął powiekami, usłyszawszy czas przeszły.

- Ja kocham cię teraz, kochałem cię wtedy i będę cię kochał zawsze, bez względu na to, jak ocenisz moje postępowanie. Z twojego powodu starałem się zawsze tu być, kiedy dzieci dokuczały ci w szkole, kiedy ona zachodziła ci za skórę...

- Ale nie było cię tu w każdej minucie. Nie było cię, kiedy siedziałam sama z babką i słuchałam, jak wlewa mi do uszu witriol. Przychodziłam do ciebie, ale jak do przyjaciela, a nie ojca! Niech cię szlag! Czy wiesz, ile razy zasypiałam, tęskniąc za ojcem? Czy wiesz, jak bardzo chciałam wiedzieć, czy żyje, a może jest chory?

- Nie mogłem ci powiedzieć. Musiałem cię chronić.

- Chronić czy obserwować? Pilnować, żebym nie stała się taka, jak babka przepowiadała?

- Nigdy.

- Powiedziała mi. Na tydzień przed śmiercią, kiedy Ben tu był, wreszcie wyznała, że widziałaś, jak strzelałam do matki.

- Co? - Chwycił ją mocno za ramiona i przy-

kucnął, żeby patrzeć jej prosto w oczy. - Nigdy tego nie powiedziałem, Annabelle.

- Dlaczego więc miałyby mi to mówić?

Potarł ręką czoło.

- Może sama zaczęła w to wierzyć...

- A co pan widział? - zapytał spokojnie Ben.

Ray i Annabelle oboje drgnęli, słysząc jego głos. Ray rzucił Benowi krótkie spojrzenie, a potem podszedł do okna i patrzył na ogród.

- Wróciłem do domu około północy i znalazłam Chantal leżącą koło kominka w kałuży krwi. Annabelle skulona spała na pufie. - Przymknął oczy. - Do piersi tuliła pistolet. - Poszukał nogą fotel i opadł na jego miękkie siedzenie. - Przepraszam.

Z twarzy Annabelle odpłynęła krew.

- A więc to prawda. To jednak ja.

- Nie - rzekł Ben, zbliżając się do niej. - Mówiłem ci, że nie mogłaś jej zabić. Byłaś za niska.

- Chyba że stanęłam na pufie...

- To wszystko należy do przeszłości - wtrąciła Elizabeth. Pozostali jakby zapomnieli o jej obecności. - Ray, zrobiłeś dla Annabelle to, co uważałeś za słuszne. A czy to było dobre, czy złe, nie mam pojęcia. Tak było i już. Annabelle, kochasz tego człowieka, a on cię uwielbia. Fakt, że jest twoim ojcem, tego nie zmienia.

- Czyżby?

- Oczywiście. Poszedł do więzienia, żeby cię chronić, i zrezygnował z kariery, aby tu zostać i mieć cię na oku.

- To wszystko kłamstwo.

- Miłość nie jest kłamstwem. Ani troska. - Elizabeth podeszła do Raya, wsunęła rękę pod jego łokieć i uśmiechnęła się do niego. - Nigdy nie wierzyłam w to, że ją zabiłeś. Nigdy też nie przestałam się zastanawiać, gdzie się podziewasz. Bardzo się cieszę, że wreszcie cię odnalazłam. - Nie zdejmując wzroku z twarzy Raya, dodała: - Bez względu na to, co o nim myślisz, Annabelle, to jest dobry człowiek.

- I miał świetny motyw, żeby zabić matkę - oświadczył Ben.

- Mam alibi.

- Mógł pan kogoś wynająć.

- Dlaczego właśnie teraz?

- Sam mi pan mówił, że chciał pan uwolnić Annabelle, żeby mogła pojechać do Nowego Jorku, znaleźć się daleko ode mnie i mojego grzebania w sprawie Chantal.

- Nie jestem winny. Ani Annabelle. A tym razem nie dam się tak przerobić jak wtedy. Nie pójdę znowu do więzienia za coś, czego nie zrobiłem.

- Ona to zrobiła - oznajmiła Elizabeth.

- Co? - Oczy wszystkich zwróciły się na nią.

- Pani Langley. Zawsze uważałam, że to ona za-

biła Chantal. Z nienawiści. I patrzcie, co się stało. Nagle Chantal zostaje wyeliminowana, Ray siedzi w więzieniu, sprawa zostaje zamknięta, a mała Annabelle dostaje się w ręce babki, która zaczyna ją kształtować według swego widzimisieju.

- Ale ja jej tak łatwo nie ulegałam.

- I dzięki Bogu - odparł Ben. - Czy to możliwe, że wymazałaś to wszystko z pamięci, bo widziałas, jak babcia strzela do twojej matki?

- Nie mam pojęcia.

- Być może wiem, jak to sprawdzić. Siadajcie wszyscy - rozkazał Ben. - Opowiem wam pewną historię.

Nikt mu nie przerywał, kiedy relacjonował im ostatnie zlecenie Victorii Langley. Gdy skończył, na moment zapadła cisza, a potem Ray powiedział:

- Niech pan to spali bez otwierania.

- Co? - Annabelle spojrzała na ojca zdumiona.

- Naprawdę. Niech pan spali to cholerne pudełko. Najwyższa pora, żeby moja matka przestała manipulować naszym życiem, tym razem z za grobu. Jeśli ona chce, żeby je otworzyć, musi to oznaczać dla kogoś cierpienie i kłopoty. Niech pan to spali.

- Nie słuchaj go, Ben - zaprotestowała Annabelle. - Otwórz to pudełko. Musimy się dowiedzieć, co jest w środku.

- Jest tylko jeden mały problem. Pani Langley zażądała, żeby otworzyć to pudełko w obecności kil-

ku osób. Twojej, Annabelle, mojej matki, Raya Langleya... myślałem, że trudno będzie go znaleźć... i jeszcze jednej osoby. Mojego ojca.

- O Boże! - westchnęła Elizabeth. - Ha! nigdy tu nie przyleci z takiego powodu.

- Czy jest pan zobligowany i zdecydowany to zrobić?

- Właśnie mówiłem. Mój ojciec...

- Stał przy drzwiach kościoła podczas pogrzebu mojej matki - oznajmił Ray. - Przyszedł późno i wyszedł przed końcem mszy, ale tam był. Nigdy nie zapomnę jego twarzy, bez względu na wiek.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Jesteś pewien? - spytała Elizabeth.

- Absolutnie. Szczerze powiedziawszy, wyglądał okropnie. Ubranie wisiało na nim jak na strachu na wróble.

Elizabeth sięgnęła po telefon stojący na stoliku z boku, zdjęła kolczyk z perłą i wykręciła numer.

- Mógł zadzwonić do mnie i zostawić wiadomość - wyjaśniła, po czym odczekała chwilę i wbiła swój kod. Po upływie minuty odetchnęła i odłożyła słuchawkę. - Zatrzymał się w Hampton Inn i prosi, żebym do niego zadzwoniła.

- A niech to! - mruknął Ben. - Od kiedy tam jest?

- Kochanie, nie jestem jasnovidzem. Może go sam o to zapytasz? - Elizabeth ponownie wykręciła numer i poprosiła o połączenie z pokojem byłego męża. - Ha! - Jej głos zabrzmiał chłodno. - Przyjadę po ciebie za jakieś dwadzieścia minut. Jestem pewna, że Ben też się ucieszy.

Ben mruknął coś pod nosem, gdy matka odkładała słuchawkę.

- No co, nie cieszysz się? Nie musisz go wyciągać z tej łodzi i taszczyć do samolotu.

- Przywieź go do mnie.

- Po kolacji.

- Mamo...

- Byłam jego żoną i niczego się już z jego strony nie obawiam. - Wstała i poprawiła suknię. - A oprócz tego, jeśli rzeczywiście wygląda strasznie, będę miała choć odrobinę satysfakcji.

- Jesteś pewna...?

- Tak. - Zwróciła się do Raya. - O dziewiątej w mieszkaniu Bena? I będziesz się zachowywał spokojnie?

Kiwnął głową.

- Postaram się.

Elizabeth pożegnała ich i opuściła salon.

- Czy ja mam też wyjść? - spytał Ben Annabelle.

- Nie chcę być z nim sama. - Wskazała na ojca.

- Annabelle, znasz go od urodzenia.

- Nie. Znałam Jonasa, a ten człowiek jest dla mnie kimś obcym. - Zwróciła się w stronę Raya, który patrzył na nią takim wzrokiem, jakby się obawiał, że go uderzy. - Przepraszam, ale nie wiem nawet, jak się do ciebie zwracać!

- Mów do mnie Jonas.

- Dobrze. Czy zechciałbyś pójść ze mną i Benem na kolację?

Uśmiechnął się smutno, słysząc jej oficjalny ton.

- Nie, dziękuję, Ben. Zobaczymy się o dziewiętej.
- Nie uciekniesz?
- Skoro dotąd tego nie zrobiłem, jaki miałbym powód teraz?

- Może kupimy coś po drodze i pojedziemy do mnie? - zapytał Ben. - Musisz odreagować. Ja też.

- Ben, chciałabym, żebyś wiedział, że jestem ci ogromnie wdzięczna za to, co dotąd zrobiłeś.

- Za wtrącanie się, chcesz powiedzieć?
- Cały czas miałeś dobre intencje.
- Mój Boże, to znajdę się w piekle.
- Wiedz, że zawsze będę cię uważała za przyjaciela.

Nacisnął na hamulec i zwrócił się do niej.

- Nie chcę być twoim przyjacielem. Chcę być twoim kochankiem, a w końcu mężem.
- To niemożliwe. Wiesz o tym od początku.
- Wiele rzeczy się zmieniło.
- Nie dla mnie.
- Wiesz, że nie zabiłaś matki.
- Tego nie wiem, ale nawet gdybym wiedziała, to na tym problem się nie kończy.
- Niech szlag trafi moją karierę, jeśli o to chodzi.
- Nigdy tego nie zrozumiesz.

- Potrafię zrozumieć tylko to, że mnie nie chcesz. Nie będzie ci łatwo przekonać mnie o tym.

- Mogę ci to dziś wytłumaczyć.

- A więc zjedzmy, a potem porozmawiamy. Na co miałabyś ochotę?

- Chcę zjeść olbrzymi stek w restauracji, a na deser największe ciastko czekoladowe, jakie znajdziesz.

- Naprawdę? Czy mam cię zabrać do klubu?

- Za nic w świecie. Mieliśmy za swoje w Peabody.

Ben nie naciskał. Być może zaczął się czegoś uczyć. Pojechali do zwykłej knajpy, gdzie Annabelle zjadła swój stek tak szybko, jak gdyby od wielu dni głodowała. Nie podnosiła wzroku znad talerza i prawie się nie odzywała, Ben zaś patrzył na nią z niemym podziwem i lekkim strachem, gdy pochłonięła całe danie, a potem czekoladowe ciastko, lody i w końcu krem z kiwi. Gdy wręczał kartę kredytową kelnerowi, zaprotestowała:

- Pozwól, ja zapłacę. Zapomniałeś, że jestem bogata?

- Nie pozwolę. To ja cię zaprosiłem. - Zadzwoił jego telefon komórkowy. - Do diabła! Phil? Mama przeżyła mały kryzys. Powinna była do ciebie zadzwonić. Nie, nie ma czym się martwić. Powiem jej, że się niepokoisz... Co ty mówisz? - Otworzył szerzej oczy i uśmiechnął się. - Przyjmij moje gratulacje!

- Dobrze wieści?
 - Phil dostał telefon zaraz po pogrzebie. Jest już prawie sędzią.
 - A to znaczy, że ty zostaniesz niedługo prokuratorem generalnym?
 - Chyba tak.
- Potrząsnęła głową.
- Cieszę się, Ben. Dużo na tym stanowisku zdziałasz.
 - Nie bez ciebie.
 - Ha ha. Podpisz ten rachunek, bo się spóźnimy.

„Jonas” czekał na nich pod drzwiami mieszkania Bena. Kiedy weszli do środka, bez słowa zajęli miejsce na chromowanym krześle stojącym w kącie pod oknem.

- Napije się pan czegoś? - zapytał Ben.

„Jonas” pokręcił przecząco głową.

Po chwili Annabelle wyszła z łazienki, położyła torebkę na małym bocznym stoliku i usiadła na innym chromowanym krześle.

- Jonas? - powiedziała łagodnie. - Tatusiu?
- Nie musisz się tak do mnie zwracać.
- Dużo o tym myślałam podczas kolacji i potem, w samochodzie. Nie wiem, co czuję po tym wszystkim. Wiem tylko, że nie chcę cię stracić.
- A ja nie chciałbym stracić ciebie - powiedział, ujmując jej rękę.

- No to się nie spieszmy, dobrze? Jakoś się ułoży. Kiwnął głową, oczy nabrzmiały mu łzami.

Ben patrzył na nich w milczeniu z kuchni. Zniechęcony, gdy zadzwonił dzwonek.

- Nie jestem pewien, czy mogę im otworzyć. Annabelle podeszła do niego i powiedziała:

- Na pewno możesz. Pomożemy ci.

Popatrzył na nią, czując, że tym razem to on potrzebuje wsparcia i że Annabelle mu go udziela. Kiwnął głową i ruszył w stronę drzwi.

- Ben, przyprowadziłam twojego ojca - oznajmiła Elizabeth, całując syna w policzek i kierując się do Raya.

Ben patrzył na swego gościa. Pamiętał ojca jako wysokiego mężczyznę o ogorzalej twarzy, a tymczasem człowiek stojący w progu wyglądał, jakby się skurczył od środka. Na podbródku wisiała zwiotczała skóra, policzki i nos miał opalone, aczkolwiek lekko zaczerwienione. Jego spojrzenie było nadal przenikliwe, lecz białka oczu szpeciły czerwone żyłki.

- Cześć, synu! - zahuczał Hal i wyciągnął rękę, przywołując na twarz nonszalancki uśmiech.

Ben zignorował wyciągniętą dłoń.

- Proszę, wejdź i usiądź, i zaraz zaczniemy. Wiesz, z jakiego powodu się tu zebraliśmy?

- Twoja matka wszystko mi powiedziała. Ray, jak się masz? A to jest nasza malutka Annabelle? Wykapana matka.

Annabelle wzdrygnęła się, Elizabeth zaś uznała za stosowne się wtrącić.

- Siadaj, Hal. Jestem wykończona, a oni na pewno czują się jeszcze gorzej.

- Mamo, czy rozmawiałaś z Philem? - zapytał Ben.

Elizabeth potrząsnęła głową.

- Zupełnie o nim zapomniałam. Pewnie się martwi.

- Właściwie jest w siódmym niebie. Dostał nominację.

- Och, Ben, to cudownie! Pozwól mi skorzystać z twojego telefonu. Zaraz do was wrócę.

Gdy Elizabeth wyszła do sypialni, obecni powiedli po sobie wzrokiem.

- Przykro mi z powodu twojej matki, Ray - odezwał się wreszcie Hal. - Lubiłem tę starą piranię.

- I dlatego przyjechał pan na pogrzeb? - spytała Annabelle.

- Wydawało mi się to właściwe. Chciałem też zobaczyć się z rodziną.

- To znaczy z kim? - zapytał Ben.

- Daj spokój, Ben - rzekł Hal. - Czy nie możemy zostawić przeszłości w spokoju?

- Chyba nie, skoro ty jeszcze żyjesz.

- Ben! - Elizabeth wyłoniła się z sypialni. - Teraz rób swoje, a obwiniać się będziecie później.

Ben głęboko odetchnął.

- Jak zwykle masz rację. Zaraz wrócę.

Potyając się, Ben ruszył w stronę sypialni i znajdującej się za nią garderoby. Gniew, jaki nim zawładnął, zaskoczył go i przeraził. No tak, zaletą bycia robotem jest to, że robot nic nie czuje. Oparł czoło o framugę. Chwilę później otoczyły go czyjeś ramiona.

- Już wszystko dobrze - szepnęła Annabelle. - Nie pozwól mu wyprowadzić się z równowagi.

Ukrył twarz w jej włosach i przywarł do niej.

- Dlaczego nie mogę mu wybaczyć? Matka się na to zdobyła.

- Nie. Ona tylko lepiej to ukrywa.

- Ale jeśli ona może, to i ja mogę - powiedział. - Masz, rzuć te koce na łóżko, a ja wyciągnę to przekłete pudło.

Gdy wniósł je do salonu i postawił na stoliku, dostrzegł, że ojciec trzyma w ręce szklanekę. Machnął nią w kierunku syna.

- To tylko lemoniada. Znalazłem u ciebie w barku. Pić mi się chce. - Wskazał palcem wskazującym stolik. - A więc mamy tu nasze Wielkie Pudło. Nie wybuchło, a to już coś. Otwórz to cholerstwo.

- Jeszcze nie. - Ben wyjął z kieszeni kopertę. - Ten list jest skierowany do nas wszystkich. Mam go wam przeczytać przed otwarciem pudła.

- Na litość boską, synu! - Ojciec wyrzucił ręce do góry. - Muszę się napić czegoś prawdziwego.

- Nie, nie musisz - warknęła Elizabeth. - Zamknij się i słuchaj.

Hal mruknął coś pod nosem i opadł na krzesło, a Ben zaczął czytać.

- „Jeśli pan Jackson junior jest takim człowiekiem honoru, za jakiego pragnąłby uchodzić, to wszyscy zgromadziliście się tu niczym sępy, ale ja już nie żyję, toteż nie mogę się cieszyć waszym skrupowaniem”.

- Stara suka - mruknął Hal, a Ben skarcił go wzrokiem.

- „Panie Jackson, kiedy już przeczyta pan ten list, pozwalam panu rozpakować moje prezenty i zrobić z nimi to, co podyktuje panu sumienie. Podkreślam słowo «sumienie», ponieważ podejrzewam, że jako jedyna osoba z tu obecnych posiada pan takowe. Po pierwsze, muszę panu wyjaśnić, dlaczego was tu zebrałam. Najpierw Elizabeth Jackson. Jesteś tutaj, bo cała ta katastrofa to twoja wina”.

- Co?! - zawołała Elizabeth.

- „Gdybyś poślubiła Raymonda, nigdy nie padłby ofiarą tego stworzenia z czarnej laguny”.

Elizabeth roześmiała się.

- „Haroldzie Jackson. Byłeś pijakiem, bawidamiem, całkowicie wyzutym z honoru prawnikiem, ale uważałam cię za wspaniałego obrońcę, jedynego

człowieka mogącego uratować naszą rodzinę. Tymczasem dopuściłeś do tego, że zmieszano nas z błotem i pozbawiłeś mnie syna".

- Sam tego nie zrobiłem. - Hal wyciągnął palec wskazujący w kierunku Raya.

- „Raymondzie, mój synu, ty zdradziłeś mnie najbardziej. Zlekceważyłeś swą podstawową powinność wobec mnie, rodziny i banku. Skoro rzuciła cię Elizabeth, powinieneś być poślubić jakąś równie odpowiednią młodą damę, objąć stosowną posadę w banku, a z czasem przenieść się wraz ze swymi synami do rezydencji i zająć moje miejsce w społeczeństwie. Tymczasem poślubiłeś tę nienasyconą dziwkę, której nawet przy największym wysiłku woli nie można uznać za ani odpowiednią, ani za damę”.

- Co prawda, to prawda - orzekł Hal, a Elizabeth klepnęła go w ramię.

- „Co więcej, kiedy wyszedłeś z więzienia, wymusiłeś na mnie ten skandaliczny układ i zostałeś zwykłym robotnikiem, służącym w domu, gdzie powinieneś być panem. Mogę jedynie mieć nadzieję, że kiedy patrzyłeś na swą nieświadomą niczego dorastającą córkę, poznałeś przedsmak piekła, przez jakie musiałam przez ciebie przejść”.

- Tato - odezwała się Annabelle - jak mi przykro.

. - Prawdziwym piekłem byłoby nie widzieć cię.

- „I wreszcie nasienie tej dziwki, moja wnuczka, która zawsze była dzikim dzieckiem i niesie w sobie załazek dna, z jakiego wywodziła się jej matka. Mimo tego wszystkiego, co dla niej uczyniłam, jest uparta i nieposłuszna, i opuściła mnie w ostatnich dniach, bym umierała w samotności”...

- To nieprawda! - zawołała Annabelle.

- „...toteż będzie nosiła piętno swych narodzin aż do śmierci i, jeśli moje modlitwy zostaną wysłuchane, nie wyjdzie za mąż ani nie będzie miała potomstwa”...

- Niech ją szlag! - skomentował półgłosem Ben, po czym podjął:

- "...doprowadzając w ten sposób świetny ród Langleyów do niegodnego końca. Niechaj zawartość tego pudełka towarzyszy jej w podejmowaniu tej decyzji”.

Ben podniósł głowę.

- List został podpisany przez Annabelle Victorię Langley.

- Nie wiedziałam, że mam po niej imię - rzekła Annabelle.

- I nie miałabyś, gdybym miał coś do powiedzenia - oznajmił Ray, ściskając jej rękę. - Chantal myślała, że to ją może przyjaźniej do nas usposobi. - Uśmiechnął się do córki ze smutkiem. - Ale teraz uważam, że to imię do ciebie pasuje. Może je oczyścisz, moja droga.

Ben rzucił list na stolik.

- Mój ojciec miał rację. Powinniśmy byli od razu to spalić.

- Otwórz wreszcie to cholerne pudło! - zawołał Hal i z hukiem ustawił szklanekę obok swego łokcia.

- Już jest otwarte. Annabelle, chcesz pełnić honory domu?

- Wolałabym, żebyś ty się tym zajął.

Ben wyjął ze środka kilka warstw bibułki i rzucił je na podłogę.

- Co do cholery... - Wyciągnął kawałek flaneli zadrukowanej królikami.

- No nie! - Ray usiłował wyrwać mu materiał, lecz Ben szybko cofnął rękę. - Mój Boże! - westchnął Ray i opadł na kanapę. - Jak ona to znalazła?

- To dziecięca piżamka - rzekła Elizabeth. - Co to jest, tu na przedzie?

- Krew - odparł Ray.

Annabelle zaczęła cicho łkać.

- Odciski palców - rzekła martwym głosem. - Wytarłam ręce o przód piżamy. Były mokre i lepkie.

Ben starannie złożył piżamę.

- Annabelle, czy mam przestać?

- Nie.

Ben pociągnął za róg białego kawałka materiału, który wystawał spod innych przedmiotów, i zaczął wyciągać z pudła białą koronkę, kawałek po kawał-

ku, niczym prestidigitator wyczarowujący szal z cylindra. Gdy Annabelle cicho jęknęła, Ray otoczył ją ramionami.

- Nie patrz, moja droga.

- Muszę. - Odepchnęła go i podeszła do Bena.

- On ma rację - powiedział Ben.

- Muszę, czy nie widzisz? - Dotknęła koronki.

- Na niej też jest krew, prawda? - Spojrzała na Elizabeth. - W zeszłym tygodniu kropla krwi z palca upadła mi na kawałek koronki i kiedy na to patrzyłam, wydawało mi się, że cała koronka nią ocieka.

- Przesunęła palcami po białej materii. - To tę koronkę widziałam, prawda, tato?

Ray ukrył twarz w dłoniach.

- Broń była w to owinięta. Ścisłałaś ją w ramionach.

- Chyba nie powinnam tu dłużej być.

- Ty nie - warknął Hal - ale ja tak.

- Zamknij się, Jackson - rzucił Ray przez zęby.

Jego ręce zacisnęły się w pięści. - Jesteś tutaj co najwyżej tolerowany. Nie kuś losu.

- Tak, siedź cicho - poparła go Elizabeth. - Ben, wyciągaj dalej. Lepiej to mieć za sobą.

- Już tak wiele nie zostało. Jakieś aksamitne pudło.

- Szkatułka Chantal - szepnął Ray.

Ben uniósł wieko i oczom zebranych ukazały się klejnoty. Ben podał szkatułkę Annabelle.

- Niech Elizabeth to przejrzy - powiedziała. - Ja nie chcę tego dotykać.

- Oczywiście, Ben, daj mi to. Na biżuterii na pewno się znam. - Ustawiła szkatułkę na stoliku i zaczęła w niej gmerać. - Większość to błyskotki, ale nie takie tanie. - Wzięła w palce diamentowe klipsy. - Te są prawdziwe.

- Nigdy ich u niej nie widziałem - rzekł Ray. - Nie mogą być prawdziwe. Nie stać mnie było na tak duże diamenty.

- Kogoś innego było stać - szepnęła Annabelle.

- Ooo, jaka piękna bransoleta. Korale i turkusy osadzone w srebrze i złocie. Nie piekielnie drogie, ale i nie tanie. - Odsunęła na bok kilka wisiorków i powiesiła na palcu sznur czarnych barokowych pereł. Potem potarła jedną z pereł o swe przednie zęby.

- Prawdziwe. Strasznie drogie.

Ray stanął przy oknie z rękami w kieszeniach. Elizabeth podniosła na niego wzrok.

- Domyślam się, że to też nie od ciebie.

Potrząsnął głową, nie odwracając się.

- O, a tutaj co mamy? Piękny stary zegarek na łańcuszku. Brylanty są stare, ale bardzo ładne, tak samo jak zegarek. To od ciebie, Ray?

Znowu pokręcił przecząco głową.

- Ciekawe, czy jeszcze chodzi. - Poczęła delikatnie go nakręcać. Gdy zegarek zaczął tykać, odłożyła go do szkatułki. - A to co? Łuska od kuli?

Ray wyciągnął rękę, lecz Ben go powstrzymał.

- Zostaw to na stole - powiedział.

- I wreszcie miedziany pierścionek - oznajmiła Elizabeth. - Ze szmaragdem. No, no! Musiał kosztować fortunę.

Ben usłyszał, jak ojciec szybko wciąga powietrze w płuca. Jego zaczerwieniona twarz poszarzała, oddech stał się płytki. Ben miał nadzieję, że matka nie spojrzy na ojca, bo natychmiast by odgadła, że ten pierścionek był prezentem od niego. Za wyświadczone usługi.

Zegarek wydał pojedynczy dźwięk. Wszyscy podskoczyli, a potem roześmiali się nerwowo. Elizabeth z powrotem wyjęła go ze szkatułki.

- O, znowu stanął. - Ponownie spróbowała go nakręcić. - Zaciął się - powiedziała. - Nie chcę go zepsuć. Pewnie dostał się tu jakiś brud. Masz, Ben, ty spróbuj.

Wziął z jej rąk zegarek i otworzył go. Spod małego wieka spłynął na podłogę kawałeczek papieru. Ben podniósł go i przeczytał:

- „Kiedyś nadejdzie dla nas czas”. Ładne.

- Ale ten tekst nie pochodzi z tego samego okresu co zegarek - rzekła matka. - Te słowa moim zdaniem pochodzą z musicalu z Broadwayu z lat pięćdziesiątych.

Ben wsunął ponownie karteczkę do koperty i zamknął wieczko.

- Na razie zostawimy to tak jak jest. Czy to już wszystko?

- Tak - odparła Elizabeth. - Masz jeszcze coś w pudle?

- Nie.

- Jednego tylko nie rozumiem - odezwał się Ray.
- Jak matka znalazła te rzeczy?

Wrócił na swoje miejsce na krześle.

- Wydawało mi się, że bardzo dobrze je ukryłem
- dodał zamyślony.

- Ty je ukryłeś? - zdziwiła się Annabelle.

Kiwnął głową.

- Kiedy cię już umyłem, musiałem coś zrobić z piżamą i szalem. Nie podejrzewałem, żeby policja miała powód przeszukiwać dom, wolałem jednak nie ryzykować, toteż owinałem to w gazetę i schowałem za belkę na strychu.

- Nie przeszukiwano domu, bo nie dałeś powodu - wtrącił Hal. - Załatwiłeś ugodę z sędzią, zanim ja zdążyłem otworzyć usta. Dlaczego, do cholery, nie powiedziałeś mi o tym szalu i piżamce? Mogłyby nam posłużyć za dowody. Gdybym je miał, ława przysięgłych mogłaby mi uwierzyć. A Annabelle nic by się nie stało, bo była dzieckiem. To był wypadek, zwyczajny wypadek.

- Nie - odparł Ray.

- Zabiłeś Chantal? - zapytał Ben. - A może twoja matka?

- Nie.
- To dlaczego broń była na dole, i to naładowana?
- Bo Chantal miała zamiar rozwalić mi głowę tuż po powrocie do domu!
Zapadła pełna napięcia cisza.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

- Chcecie wiedzieć wszystko? - zapytał Ray. - Annabelle, chcesz posłuchać?

- Tak - odrzekła. - Dostyc tych sekretów.

- Muszę coś wypić - oznajmił Ray. - Mam tak sucho w ustach, że nie mogę mówić.

- Wszyscy się zaraz napijemy - oświadczyła Elizabeth. - Siadaj tutaj. Zaraz coś przyniosę. Nikt nie chce alkoholu, prawda?

Gdy wróciła z butelką wody mineralnej, Ray wypił swoją porcję duszkiem, po czym odetchnął głęboko i zaczął mówić:

- Walczyliśmy z sobą od miesięcy, głównie z tego powodu, że chciałem zwolnić się z banku i założyć firmę zajmującą się projektowaniem krajobrazu. Przez ostatnie kilka tygodni Chantal sprawiała nawet wrażenie szczęśliwej, toteż sądziłem, że może uda się nam utrzymać to małżeństwo dla dobra Annabelle, skoro innego powodu już nie było. - Ujął rękę córki. - Tego dnia wróciłem do domu późno. Chantal była wściekła. Mówiła, że matka znowu była

dla niej okropna, że nie wytrzyma tu ani dnia dłużej. Powiedziała, że ma zamiar wyjechać do Lafayette i zabrać Annabelle, i że już nigdy jej nie zobaczę.

- To by się jej nie udało - wtrącił Hal.

- Matki dostawały wtedy opiekę nad dziećmi, chyba że się do tego nie nadawały.

- To właśnie jej przypadek.

- Ale żeby to udowodnić, musiałbym ubabrać nas w błocie. Wiedziała, że to dla mnie cios. Doszło wtedy do najgorszej w naszym życiu awantury. Kiedy usłyszałem na schodach Annabelle, próbowałem Chantal powstrzymać, ale ona dostała już szału i obrzucała mnie najgorszymi wyzwiskami.

- Czy coś z tego pamiętasz? - spytał Ben, biorąc Annabelle za drugą rękę.

Potrząsnęła głową.

- Nic.

- W końcu posunęła się za daleko - ciągnął Ray.
- Nigdy przedtem ani potem nie uderzyłem kobiety, ale wtedy wymierzyłem jej policzek. Zaczęła się ze mnie śmiać. Wiedziałem, że jeśli zostanę w tym pokoju minutę dłużej, zrobię coś, czego będę jeszcze bardziej żałował, więc wybiegłem z domu. W sklepie na rogu kupiłem butelkę, pojechałem do parku nad rzeką i tam siedziałem w samochodzie i piłem. W tych czasach dużo piłem.

- Ja też - powiedział Hal. - Bardzo szkodzi na wątrobę.

- Nie lubię właściwie alkoholu, ale chciałem się upić. A potem pomyślałem, że specjalnie skłoniła mnie do wyjścia z domu, żeby mieć czas się spakować i wyjechać z Annabelle.

- Jak długo był pan nad rzeką? - spytał Ben.
Ray machnął ręką.

- Nie wiem. Kilka godzin. I wcale się nie upiłem, a na dodatek w drodze powrotnej zacząłem sobie przypominać, co Chan tal mówiła, kiedy wychodziłem. Powiedziała: „Jeśli wrócisz do tego domu, to cię zabiję”.

- Wszyscy czasem mówimy takie rzeczy - zauważyła Elizabeth. - Mnie się kilka razy też zdarzyło. - Spojrzała na Hala, który skurczył się i przymknął oczy, jakby się na coś koncentrował.

- To było mniej więcej wtedy, kiedy ta kobieta z północy zastrzeliła swojego męża. Myślała, że to włamywacz - odezwał się Hal.

- Chantal często na ten temat żartowała - dodał Ray. - „Jakie to proste, mówiła. Wystarczy być dobrą aktorką i przekonać policję, że to przez przypadek”. Wydaje, mi się, że wzięła broń na dół, żeby mnie zastrzelić, kiedy stanę w drzwiach.

- To do niej podobne - orzekł Hal. - Uważała, że takie rzeczy ujdą jej na sucho.

- Kiedy znalazłem ją i Annabelle, potrafiłem wymyślić jedynie historię dziejącą się od końca, a więc że się obudziłem, nie zauważyłem, że Chantal wy-

szła, zszedłem na dół i zastrzeliłem ją przez przypadek.

- Mówiłem ci wtedy, że ta historia się kupy nie trzyma, Ray - przypomniał mu Hal. - Powinieneś być trzymać gębę na kłódkę do mojego powrotu, zamiast wygadywać te głupstwa.

- Teraz to już wiem. W każdym bądź razie wziąłem szal, żeby zetrzeć ślady palców Annabelle z broni...

- Zawsze mówiłem, że to jest głupie - wtrącił Hal.

- Umyłem Annabelle, przebrałem ją, zaniósłem do matki, schowałem szal i piżamę i sprzątnąłem bałagan w łazience, i modliłem się, żeby Annabelle nie pamiętała, co się stało tej nocy. Kiedy ją myłem, zaledwie otworzyła oczy. Zastanawiałem się, co Chantal jej dała, że była taka cicha.

- To może dlatego nic nie pamiętam? - zapytała Annabelle.

- Oczywiście - oznajmiła Elizabeth. - To pewnie brom. Dziś nie można tego tak łatwo dostać, ale wtedy każda matka miała taką buteleczkę w szafce. Dziecko jest niezdolne, więc nafaszeruj go bromem i będzie spało godzinami jak aniołek.

- Więc skoro nie pamiętam, to może nie znaczy, że jestem wariatką?

- Przecież nie jesteś wariatką - powiedział Ben.

- Może nie wiem, co robiłam?

- Nic nie robiłaś, uwierz mi - dodał Ben.

- Mów dalej, do cholery - odezwał się Hal do Raya. - Ja to słyszałem, ale oni nie. Mój powszechnie szanowany syn może stanie się trochę łaskawszy dla swego starego ojca, kiedy usłyszysz, z jakimi idiotami miałem do czynienia.

- Hal! - rzekła Elizabeth.

- On ma rację, Liz - ciągnął Ray. - Wiedziałem, że Chantal nie popełniła samobójstwa, więc nie mogła mieć na rękach śladów prochu, a ręce Annabelle wyszorowałem tak, aż poczerwieniały. Ale gdybym chciał wystąpić z opowieścią o włamywaczu, sam musiałbym mieć ślady prochu na rękach. Wytarłem już broń, więc...

- Wystrzeliłeś drugi raz - wyszeptał Ben.

Ray skinął głową.

- Strzeliłem w dywan pod pufem. Wątpię, czy policja przesuwiała ten puf. W każdym bądź razie, nikt nie zauważył tej drugiej dziury. A ja miałem na rękach proch.

- Powinienem był się domyślić. - Ben uderzył się otwartą dłonią w czoło. - Kiedy przeglądałem akta, zauważyłem, że odciski palców Chantal były na czterech łuskach, łącznie z tą pustą, z której kula rzekomo ją zabiła. Odciski palców Raya były na pocisku, który nie został wystrzelony.

- Bo go włożyłem do magazynku po drugim strzale. - Wskazał opakowane w bibułkę pudełeczko

leżące na stoliku. - Nie miałem odwagi zostawić drugiego pocisku w miejscu, w którym mogłaby go znaleźć policja, toteż schowałem go na górze z innymi rzeczami. Mama musiała przeczesać ten dom bardzo cienkim grzebieniem, kiedy chciała go wynająć. Czy teraz, Hal, rozumiesz, dlaczego nie mogłem ryzykować procesu? Musiałem udaremnić zbieranie dowodów. Przyznałem się do zabójstwa drugiego stopnia, więc nikt niczego nie szukał.

- Więc był jeszcze jakiś mężczyzna - rzekła spokojnie Elizabeth.

- Zawsze byli inni mężczyźni - warknął Hal.

- Łącznie z tobą. - Wzięła do ręki pierścień ze szmaragdem i rzuciła go w jego stronę. Hal chwycił go w powietrzu. - Nigdy nie dawaj kochance tej samej biżuterii, którą dajesz żonie, mój drogi.

Hal zerknął na Raya.

- Elizabeth, przysięgam...

- Nie wysilaj się. Dzięki Bogu, nie jestem już twoją żoną.

- Chwileczkę. - Ben uniósł rękę. - Co miałaś na myśli, mamó, mówiąc o drugim mężczyźnie?

- To proste. Pamiętam suknię, do której pasował ten szal. Była to bardzo elegancka i droga suknia koktajlowa. Nie wkłada się takiej sukni na drogę do Bayou Teche. Taką suknię kobieta wkłada wtedy, kiedy spodziewa się gościa. Dlatego musiała pozbyć się Raya z domu.

- Mamo, jesteś geniuszem. - Ben spojrzał ze złością na ojca.

- Hola, hola! Może i coś tam między nami było, ale skończyło się na długo przed tą nocą.

- Gdzie byłeś? Bo nie w domu. To matka już mi powiedziała.

- Kto to może pamiętać po tylu latach?

- A skoro już poruszamy ten temat, to tym razem kiedy przyjechałeś do miasta?

- Przyjechałem na pogrzeb pani Langley.

- Przed jej śmiercią czy po niej?

- O czym ty gadasz?

- To jest proste pytanie.

- Jestem tu od dwóch dni. Odwiedziłem starych przyjaciół, załatwiłem parę spraw.

A więc ojciec mógł być w domu Victorii Langley i ją zabić. Znał rozkład domu, wiedział, któredy najłatwiej jest wejść. Trzeba się będzie tym zająć, kiedy wszyscy już stąd pójda. On, Ben, wycisnie z ojca prawdę. Prawdę o pani Langley i o tym, dlaczego lata temu opuścił dom. Wydrze z niego całą tę historię.

Następnego dnia rano Ben wetknął głowę do gabinetu Phila.

- Dzień dobry, panie prokuratorze.

- Wejdz, Ben. - Phil nie wyglądał na zadowolonego. W istocie był zły.

- Oczywiście. Przyjmij gratulacje.
- Siadaj. Co to za zwariowaną historię usłyszałem od Elizabeth? Ray Lagley był ogrodnikiem Victorii, a twój ojciec pojawił się w mieście przed jej śmiercią?
- No właśnie.
- Mój Boże! Mówiłem ci, żebyś zostawił tę sprawę w spokoju, Ben. Jeśli wezmą cię na warsztat gazety, możesz się pożegnać ze swoją nominacją.
- Gazety niczego się nie dowiedzą.
- Wyślij Annabelle do Nowego Jorku przynajmniej do czasu zapewnienia sobie tego stanowiska. - Głos Phila zabrzmiał błagalnie. - Radny Adler już u mnie był. Organizuje spotkanie w twojej sprawie i myślę, że dobrze by było, gdyby uzyskał odpowiedzi, których szuka.
- To nie jest interes Adlera.
- Oj Ben, Ben, Ben. - Phil Mainwaring westchnął. - Był wczoraj na pogrzebie, ponieważ interesy Langleyów nadal odgrywają znaczną rolę finansową w tej części kraju, ale nie chce, żeby ciągła obecność twojej nowej panny przypominała mu o dawnych grzeszkach.
- Adler? On chyba ma, zaraz... z siedemdziesiąt lat?
- I dosyć prawników, żeby przesądzić o wyniku wyborów. Ale nie zawsze miał tyle lat, jak się domyślasz.

- Co według ciebie mam zrobić?

Phil położył dłonie na biurku.

- Czy chcesz to stanowisko, czy nie?

- Przecież wiesz, że chcę. Mogę coś zdziałać.

- Ja też chcę, żebyś je dostał. No więc wyślij Annabelle Langley do Nowego Jorku, odeślij ojca tam, skąd przyjechał, i bierz się z powrotem do tego, za co ci do cholery płacą.

- Nie jestem pewien, czy mogę.

- Jezus Maria! Dlaczego nie?

- Czy ty nigdy nie odczuwasz potrzeby, żeby wiedzieć, Phil? Nie interesuje cię poznanie prawdy dla samej prawdy?

- Nie, chyba że ta wiedza pomoże mi wygrać sprawę. A tutaj, przyjacielu, nie ma, powtarzam, nie ma żadnej sprawy.

- Jeśli ktoś inny zabił Chantal Langley, a Raymond za to siedział, mamy do czynienia z wielką pomyłką sądową.

Phil głęboko westchnął i rzekł raczej ze smutkiem niż z gniewem:

- On się do wszystkiego przyznał, Ben. Nikt go do niczego nie zmuszał. A jeśli chciał pójść do więzienia po to, żeby chronić córkę lub matkę, to jego sprawa.

- A jeśli był ktoś trzeci?

- Kto?

- Ktoś, na kogo Chantal czekała.

- Nonsens.

- Phil...

- Pytam cię, Ben, nie - mówię ci po raz ostatni: zostaw tę sprawę. Zajmij się z powrotem pracą. Ja już i tak będę się musiał narobić, żeby załatwić ci ten awans. Nie utrudniaj wszystkiego jeszcze bardziej.

- Brittany dziś przychodzi po suknię - oznajmiła Marian, odkładając słuchawkę i zsuwając okulary na koniec nosa.

Annabelle uniosła głowę znad swojej roboty i zerknęła na Marian. Marian wzruszyła ramionami.

- Myślałam, że może wolałabyś jej nie spotkać. Czy ona idzie na ten bal z Benem?

- Skąd mam wiedzieć? - spytała Annabelle, starannie przycinając nitki na końcu szwu.

- A nie zaprosił cię?

- Nawet gdyby mnie zaprosił, to bym nie poszła. Niedługo i tak jadę do Nowego Jorku.

- Cha cha. Ale dlaczego? Przecież szalejesz za nim.

- Nie!

- Tak.

- Tym bardziej powinnam wyjechać. Ben musi kimś zastąpić Brittany.

- On cię potrzebuje dla zachowania pokory.

- Pokory? Ben?

- Ostatnio jest bardzo pokorny. Zakochał się w tobie.

Na twarzy Annabelle pojawiły się wypieki.

- Czy byłoby tak źle wyjść za męża za Bena? Mogłabyś dalej pracować dla Elizabeth. Nie są to Pola Elizejskie ani Piąta Aleja, ale ta praca ma inne zalety.

- Ja należę do kobiet, z którymi mężczyźni idą do łóżka, ale z którymi się nie żenią.

- Twój ojciec poślubił twoją matkę.

- Właśnie. A nie powinien. Wszyscy mi mówią, jak bardzo jestem do niej podobna. Ciekawe, kto powie pierwszy, że zdradzę Bena tak samo jak ona zdradziła ojca?

- Może i przypominasz ją z wyglądu, ale nie z charakteru. Co to, to nie.

- Ty też ją znałaś?

Marian skinęła głową.

- Odebrała mi Hala.

- Co? - Annabelle nie była pewna, czy stukot maszyn do szycia nie zniekształcił słów Marian.

- Elizabeth wie. To nie trwało długo. Wszyscy byliśmy wtedy znacznie młodszy. Elizabeth wybaczyła mi ten romans, ale ja sobie nie. Halowi kobiety po prostu nie mogły się oprzeć. Ja też.

- Trudno w to uwierzyć, jeśli się go teraz widzi.

- Wolałabym nie ryzykować. - Marian wzięła tamborek i zaczęła starannie naprawiać kwiat na sukience do chrztu.

- Czy wiesz, dlaczego opuścił rodzinę?
- Tak.
- I dlaczego mieszka na barce i wygląda jak wrak?
- Możliwe.
- A Ben wie?
- Nie wszystko. Mnie Elizabeth powiedziała.
- Jeśli jest to tajemnica...
- Nie dla ciebie. - Marian odłożyła tamborek. - Hal zaczął przeżywać kryzys wieku średniego mniej więcej w tym samym czasie, kiedy wybronił jakąś bogatą wdowę przed zarzutem kradzieży w sklepie. Psycholog poświadczył, że cierpiała na jakąś obsesję, a nie że po prostu zapragnęła bransoletki z brylantami, za którą nie chciała zapłacić. Myślę, że romans był nieunikniony.

Tym razem jednak sprawa była poważna. Hal ujrzał siebie za kierownicą ferrari, w najbogatszym środowisku. Myślał, że Elizabeth znowu przymknie oczy i sprawa przyschnie. Ale się pomylił. Kiedy później wdowa przeniosła się na żyźniejsze pastwiska i Hal chciał wrócić, Elizabeth powiedziała „nie”. Zaczął coraz więcej pić, podobno grał na giełdzie towarowej. Pożyczał pieniądze z firmy. Kiedy wszystko wyszło na jaw, sprawa została zatuszowana, a Hala zwolniono pod warunkiem, że nie będzie praktykował w tym stanie. No i wtedy zniknął. Nie wiedziałam, gdzie jest, aż Ben o nim wspomniał.

- Dalej jesteś w nim zakochana?

Marian roześmiała się.

- W Halu? Chyba nie mówisz poważnie. Prędzej bym się zakochała w gorylu. Był to najbardziej skupiony *na* sobie człowiek, jakiego *znam*, *aczkolwiek* prawnikiem był znakomitym. Ben dorównuje mu talentem. Ale zanim pojawiłaś się w jego życiu, Ben był na najlepszej drodze do takiego samego zadufania. Jeśli go opuścisz...

- Muszę zrobić to, co byłoby najlepsze dla nas obojga.

- Tak, tak, oczywiście. Tylko najpierw sprawdź, czy aby na pewno wiesz, co jest dla was najlepsze.

Telefon zadzwonił ponownie.

- To domofon. Brittany czeka na dole na przymiarę. Chcesz iść czy nie?

- Nie.

Marian poklepała ją po ramieniu.

- Dowiem się, czy idzie na ten bal z Benem.

- Musisz tu zostać do czasu zatwierdzenia testamentu - rzekł Ben z desperacją w głosie.

- Nie muszę - odparła. - Ty możesz się tym zająć.

- Ojciec cię potrzebuje. Moja matka cię potrzebuje. Ja cię potrzebuję.

- Samoloty latają w obie strony. - Annabelle złożyła wieczorną gazetę. - Nie ma tego na pier-

wszej stronie, nie ma nawet na pierwszej stronie wiadomości lokalnych, ale jest w relacji o awansie Phila.

- To nic nie znaczy.

- Znaczy. Po prostu dwa niewinne pytania dotyczące związków łączących ewentualnego prokuratora generalnego ze skompromitowaną rodziną Langleyów. Jeśli zostanę, twoja sytuacja się pogorszy.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- A powinno. Powtarzałam ci wiele razy, że nie jestem dla ciebie odpowiednia politycznie. - Nie miała zamiaru mówić Benowi, że nie to jest jej największym zmartwieniem. Siedzieli przy stoliku w restauracji na uboczu i nawet tu miała ochotę rzucić się na niego. Nieodrodna córka swojej matki.

Ben chwycił ją za rękę.

- Zrób mi przysługę. Pójdź ze mną na bal w sobotę.

- Myślałam, że już się umówiłeś.

- Brittany idzie ze swoim nowym facetem, Tren-tem jakimś tam. Ubrana w suknię od mojej matki, za którą zapłaciła śmiesznie niską cenę. Powinienem być zażyczyć sobie prowizji.

Annabelle roześmiała się.

- Nie mam co na siebie włożyć.

- Masz. Po południu rozmawiałem z Marian. Mama ma kilka sukien z lat osiemdziesiątych zeszłego stulecia, które po drobnych przeróbkach by-

łyby dla ciebie dobre. Miałybyś na tym balu najlepszy kostium.

- Prujemy te suknie, żeby wykorzystać materiał. To nie są kostiumy.

- Są, dopóki ich nie poprujecie. Annabelle, przestań. Choć raz w życiu wykorzystaj szansę. Będzie tak jak na kolacji u mamy - wszyscy będą za tobą szaleć.

- Przypomnij sobie, co się stało u matki.

- To się nie powtórzy. Teraz wiesz prawie wszystko o swojej przeszłości. Nie wyrzuciłaś tego z pamięci; byłaś pod działaniem środków odurzających.

- Nie jestem pewna.

- Proszę! Jeśli nie będziesz się dobrze bawiła, wyjdziemy. - Zamilkł na chwilę. - I sam dowiozę cię na samolot do Nowego Jorku.

- Naprawdę?

- Przysięgam. - Nie dodał, że zapewne następnym samolotem polecą za nią. Znajdzie pracę na Wall Street. Nie znosił prawa gospodarczego z całego serca. Mógłby też dostać stanowisko w urzędzie prokuratora. Tam zawsze szukają chętnych. Mógłby starać się o przyjęcie do nowojorskiej palestry...

Wszystko po kolei. Najpierw przyjęcie.

- Dobrze - powiedziała.

- Wspaniale. - Ponownie ujął jej rękę. - A teraz pojedę za tobą do domu. Co za kretynizm, brać dwa samochody.

- Nie, to bardzo sprytne. Jadę do domu sama, Ben. Jeśli choć na chwilę do mnie wejdiesz, wszystko wymknie się nam spod kontroli.

- Na to liczę.

- Wybij to sobie z głowy. Już mnie namówiłeś na ten cholerny bal. Nie igrasz z losem.

Elizabeth wyjęła z ust ostatnią szpilkę i przysiadła na piętach.

- Ta suknia jest jakby na ciebie szyta.

- Nie mogę w niej oddychać - jęknęła Annabelle.

- Nie musisz oddychać. Masz siedzieć i wachać sole trzeźwiące.

- Mam tańczyć. - Wykrzywiła twarz i ujęła się pod boki. - Mówię poważnie.

- Ależ oczywiście. Marian?

Marian siedziała przy swym stole, opierając nogi na krawieckim stołeczku.

- Mogę dodać pod pachą klin. Nie będzie widać.

- Ten rdzawy jedwab jest dla ciebie znakomity - rzekła Elizabeth, siadając na swych nogach u stóp Annabelle. - Mam też dla ciebie świetną biżuterię: aksamitną wstążkę z bursztynową zapinką mojej prababci. Dzięki Bogu, że masz dużo włosów. Nie musimy puszczać ci na głowę szczura.

- Co takiego?

Elizabeth machnęła ręką.

- To taka maszynka do kręcenia włosów.
- Całe szczęście, że nie muszę tego robić.
- Przyjdę tam. Możesz się mnie trzymać. To będzie niezła zabawa - pokazać cię przyjaciołom Bena.
- Przyjaciołom Bena?
- O tak. Ci chłopcy na pewno będą chcieli cię poznać, zanim opuszczą swoje panie i udadzą się na cygara, rum i poklepywanie po plecach.
- Ten bal jest polityczny?
- Wszystko jest polityczne, moja droga. Nie martw się. Ty i Ben będziecie tam najprzystojniejszą parą.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Twój ojciec chce się wprowadzić do domu - oznajmiła Elizabeth. - Do tego domu.

Siedziała na łóżku naprzeciwko Bena, który ułożył się na obitym jedwabiem szezlongu.

- Wcale mnie to nie dziwi.

- Sprzeciwiłam się.

- Całe szczęście.

- Powiedziałam, że jeśli chce sprzedać barcę i wrócić do Memphis, chętnie pomogę mu znaleźć mieszkanie, ale nic więcej.

- Oj, mamoo... - Ben ze smutkiem pokręcił głową. - Zanim się zorientujesz, już dasz mu połowę mebli z tego domu, a w kuchni zaczniesz malować mu szafki.

- Jeśli to zrobię, to będzie moja decyzja. - Oparła się o wezglowie łóżka. - On jest bardzo zmęczony i chyba niezbyt zdrowy. Ben, dla mnie to teraz zupełnie obcy człowiek. Nie czuję do niego nic, tylko mi go żal. Mówi, że może pracować jako prawnik. Jego licencja z Tennessee jest nadal ważna.

- Chcesz powiedzieć, że mógłbym go spotkać

w sądzie? - Ben usiadł tak gwałtownie, że uderzył głową o lampę nad szezlongiem.

- Może, choć on nie ma zamiaru zajmować się sprawami kryminalnymi.

- Boże, chętnie bym mu dokopał przed ławą przysięgłych.

- Stary byk przeciwko młodemu byczkowi? Nie sądzę, żeby w dzisiejszych czasach była to uczciwa walka.

- Raz, chociaż raz chciałbym wysłać jednego z tych jego winnych klientów tak daleko w górę rzeki, żeby on już nigdy tu nie wrócił i nikogo więcej nie zranił.

- W ten sposób nie odzyskasz Judy.

- Nie, ale może w końcu ona zaznałaby spokoju.

- To ty potrzebujesz spokoju. Czy Annabelle mogłaby ci go dać?

- Tak, gdyby tylko przestała się martwić tym, co ludzie powiedzą. Chcę się z nią ożenić, mamó.

- Phil mówi...

- Niech szlag trafi to, co Phil mówi. Powiedziałaś mi kiedyś, że wreszcie powinienem zacząć żyć. A teraz, kiedy mam taką szansę, fundujesz mi jakąś gadaninę Phila.

- Nie powiedziałaś, że się z nim zgadzam. - Elizabeth wstała z łóżka i przysiadła na brzegu szezlongu. - A ty słuchaj swojego serca, skoro je wreszcie odkryłeś. Ja mogę cię tylko w tym poprzeć.

- Przepraszam, że się tak wystraszyłam - rzekła Elizabeth do Annabelle, która stała na podium w jej salonie, podczas gdy Marian zapinała na plecach hafki balowej sukni o barwie rdzy. - Czuję się po prostu okropnie. Chyba ty i Ben zaraziliście mnie tym świństwem.

- Idź prosto do łóżka - poradziła jej Marian. - Przyjdę do ciebie na górę, kiedy tylko wyprawię Kopciuszka na bal. No, Annabelle, idź do lustra w holu. Uważaj na tren. Przytrzymaj go środkowym palcem za tę tasiemkę, nie będzie się włókł po podłodze.

Annabelle spojrzała w wielkie lustro. Kobieta, którą zobaczyła, należała do innej epoki, nawet nie do epoki jej matki, lecz wręcz babki - pod warunkiem, że byłoby ją stać na jedwabną suknię ze wstawką z brukselskiej koronki. Wepchnęła głębiej jedną z długich szpilek, którą upięte były jej włosy.

- Och, chyba przyszyłaś to wszystko do mojej skóry.

- Nie narzekaj - powiedziała Marian. - Będiesz na tym balu najpiękniejszą kobietą. Uwierz mi.

- Zgadza się. - Elizabeth podparła się na rękach. - Wiedziałam, że kupuję tę suknię w nieco ważniejszym celu niż wykorzystanie jej materiału na zwykłą kieckę maturalną. O Boże, robię zeza. - Wyprostowała się. - Phil mnie zabije, ale co mam zro-

bić? - Machnęła ręką w ich kierunku i chwiejnym krokiem wyszła z pokoju.

- Ona i tak nie chciała iść na ten bal - wyjaśniła Marian. - Podejrzewam, że wcale nie jest taka chora, jak by się wydawało.

- Dlaczego nie chciała iść?

- Phil będzie musiał przenieść się do Nashville i pewnie wierci Elizabeth dziurę w brzuchu, żeby go wreszcie poślubiła. Myślę, że Elizabeth robi uniki.

- Nie chce wyjść za niego za mąż?

- Ani za nikogo innego.

- Dalej kocha Hala?

Marian zaśmiała się i usiadła na turkusowej kanapie.

- Wykluczone. Myślę, że w głębi serca kochała tylko jednego człowieka.

Annabelle już otworzyła usta, by zapytać, kogo kochała jej pracodawczyni, gdy zadzwonił dzwonek u drzwi. Marian szybko poszła je otworzyć.

- Pułkownik Jackson, witam - powiedziała i głęboko się skłoniła. - Wspaniale pan wygląda w tym surducie. Proszę wejść.

- Panna Marian, jak przypuszczam.

Słyszając ten głos, Annabelle zacisnęła ręce na brzuchu. Co on o mnie pomyśli? Spojrzała na swój biust, który zdecydowanie zanadto wylewał się poza tę przekłętą masę jedwabiu obciągającego fiszbiny.

- Ja się miewa mama?

- Nic jej nie będzie. Panno Annabelle, pan przybył.

Ben uśmiechnął się, obejrzał Annabelle od stóp do głów i otworzył usta.

- Zamknij buzię, Ben.

- Mam wrażenie, jakbym wpadł w pętlę czasu. Powinnaś spacerować po pokładzie parowca zamiast iść na bal w Klubie Myśliwskim.

- A ty powinieneś być na dole i oszukiwać przy kartach.

- Idziemy? Zmieścisz się jakoś w zwykłym samochodzie?

- Możemy spróbować. - Podrzuciła tren do góry jednym ruchem stopy i chwyciła go palcem. Marian kiwnęła głową z aprobatą.

Mój Boże, w co się tym razem wpakowała?

- Widzisz, wcale nie jest tak źle - powiedział Ben, podczas gdy Annabelle wirowała, tańcząc z nim walca.

- Nie mogę oddychać, a wszyscy na mnie patrzą.

- Bo jesteś piękna.

- Bo biust mi się wylewa z tej sukni.

Ben uniósł brwi i uśmiechnął się do niej.

- To zdecydowanie podnosi twoją wartość.

Poczuła wypieki na policzkach.

- Popatrz, Phil. Nie wygląda na zadowolonego.

- Ben skierował Annabelle w stronę stolika z pon-

czem i w tańcu rzucił do Phila: - Mama naprawdę jest okropnie chora.

- Wiem - odparł głośno Phil. - To niedobrze.

Ben przystanął, ujął Annabelle za rękę i podszedł do niego.

- Wyglądasz, jakbyś właśnie wyszedł z ogrodu na plantacji. Skąd wytrzasnąłeś ten frak?

- Należał do mojego dziadka - wyjaśnił Phil. - Twoja matka uszyła mi do niego kamizelkę. - Pochylił się nad dłonią Annabelle w koronkowej rękawiczce. - Wyglądasz ładniej niż twoja matka.

Annabelle usiłowała się uśmiechnąć w odpowiedzi, lecz na jej twarzy pojawił się grymas.

- Czy mógłbym pożyczyć Bena na parę minut?

- Phil...

- Kilka osób chciałoby z nim porozmawiać. Czekają w sali konferencyjnej. Ben wróci na następnego walca, a jeśli nie, to ja się tobą zajmę - rzekł Phil z uśmiechem i zręcznym ruchem pociągnął Bena za sobą.

Ben jakby z rezygnacją wzruszył ramionami, Annabelle zaś rzuciła mu uśmiech mówiący: „Nic nie szkodzi”. Potem wzięła szklanekę ponczu i stanęła pod najbliższą palmą. Zaledwie upiła kilka łyków, gdy u jej boku pojawił się Phil.

- Ben jest chwilowo zajęty. Czy zatańczysz ze mną?

- Przecież nie musimy tańczyć.

- Ale ja chcę. Obiecałem Benowi, że nie przepuścisz żadnego tańca.

- To wcale nie jest konieczne.

Jednak Phil jedną ręką w rękawiczce już objął ją w talii, a drugą uniósł do góry. Podała mu dłoń.

- Dobrze - powiedział. - Tańczymy.

Zastanawiała się, kiedy orkiestra wreszcie zacznie grać współczesniejszą muzykę. Te walce i polki są strasznie męczące. Gdy orkiestra wreszcie zamilkła, Phil wyciągnął chusteczkę z kieszonki fraka i powiedział:

- Uff! Jestem na to za stary!

- Mężczyzna nigdy nie jest za stary, panie prokuratorze - rzucił młody człowiek, przechodząc obok nich. Klepnął Bena po ramieniu, spojrzął z zaciekawieniem na Annabelle, i poszedł swoją drogą. Annabelle poczuła, że się czerwieni.

- Nie martw się. On nie wie, kim jesteś, a nawet gdyby wiedział, to mnie to nic nie obchodzi.

- Kiedy Ben wróci?

- Nie mam pojęcia. - Phil wyciągnął z kieszonki ciężki złoty zegarek na długim łańcuszku i otworzył wieczko. - Nie ma go dopiero od dwudziestu minut. Teraz jest kwadrans po dziesiątej. - Z zegarka po-, płynął krótki, melodyjny dźwięk. Phil uśmiechnął się i schował go do kieszeni. - Może jeszcze trochę ponczu?

Annabelle starała się zachować nie zmieniony wyraz

twarży. Słyszała już ten dźwięk, tę krótką melodyjkę. Słyszała ją w snach przez wiele nocy z rzędu. Ta melodyjka brzmiała trochę jak dzwonek u drzwi, lecz była słodsza, srebrzysta. Phil ujął jej rękę i zapewne nie wyczuł w niej napięcia, bo zaprowadził ją do stolika z ponczem, podał jej kryształową szklanę z trunkiem i napełnił swoją.

- Piękny zegarek - zauważyła od niechcienia.

- Jeden z najładniejszych, jakie mam - przyznał.

- Zbieram stare zegarki, ale tego często nie noszę. Należał do mojego pradziadka. Pewnie miałem go z sobą zaledwie raz czy dwa, odkąd... - urwał i zaczerpnął powietrza - odkąd mi go zostawił.

Annabelle poczuła nagle, że ma sucho w gardle, i niemal jednym haustem osuszyła szklanę.

- Hej, kochanie - rzekł ktoś, mijając ich. - Ten płyn może być śmiertelny dla nie przyzwyczajonych.

Annabelle z przestрахem spojrzała na szklanę.

- Smakuje jak sok owocowy.

- Poncz artylerzystów istotnie ma taki smak - oznajmił Phil radośnie. - Może przynieść ci kawę?

- Byłoby cudownie. Dziękuję. Pójdę posiedzieć na tarasie.

- Nie radziłbym. Za chwilę zacznie padać. Chodź ze mną.

- Zobaczę, czy Ben nie jest już wolny.

- Nie, nie przerywaj mu. On niedługo skończy.

- Dobrze. Wobec tego poczekam tutaj.

Musi komuś o tym powiedzieć. Patrzyła, jak Phil odchodzi, po czym niemal biegiem ruszyła do łazienki i zadzwoniła do Elizabeth.

- Odbierz, do cholery...

- Halo...

- Elizabeth, to Phil. To jego zegarek słyszałam tej nocy, kiedy moja matka...

- Tu pracownia Elizabeth Lace. Jesteśmy otwarci...

Z trzaskiem odłożyła słuchawkę. Nie miała odwagi spotkać teraz Phila. Zdradziłaby się. Odgadłby, że ona wszystkiego się domyśliła. Chyłkiem wybiegła z toalety i pobiegła do głównego holu, przerzucając tren przez ramię.

- Annabelle! - zawołał Phil. - Mam kawę.

Na jej twarzy pojawił się sztuczny uśmiech.

- Przepraszam, Phil. Obawiam się, że ten poncz mi zaszkodził. Idę po taksówkę i wracam do domu.

- Nie bądź śmieszna. Odwiozę cię.

- Proszę, nie! - Odsunęła się od niego. - Ben cię potrzebuje. Powiedz mu, że czekam na niego w domu, dobrze?

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, odwróciła się i biegiem ruszyła przez hol. Gdy zbiegła ze schodów, zwróciła się do stojącego na podjeździe młodego człowieka:

- Potrzebuję taksówkę.

- W Memphis taksówkę zamawia się przez tele-

fon - odparł. - W tym deszczu trzeba będzie poczekać z pół godziny.

Obejrzała się przez ramię. Poprzez szklane drzwi dostrzegła Phila, który stał w holu i obserwował ją.

- Tak szybko? - zapytała Brittany, wychodząc na schody. W czerwonej koronkowej sukni wyglądała naprawdę pięknie. - Pokłóciliście się z Benem?

- Nie czuję się dobrze.

Na podjazd przed domem wjechał czarny mercedes. Z okna wychylił się Trent Wellfleet.

- Chodź, Brittany. Mam już dość tego udawania starego Południa.

Annabelle chwyciła Brittany za rękę.

- Czy moglibyście podwieźć mnie do domu?

- Ależ...

- Proszę, to naprawdę bardzo ważne. - Dostrzegła, że Phil ruszył w jej stronę.

- Dzięki. To bardzo miłe z waszej strony. - Wsiadła na tylne siedzenie samochodu i zatrzasnęła drzwi.

Brittany zajęła miejsce z przodu.

- Kochanie, chyba będziemy musieli zrobić mały przystanek w drodze do klubu. Dobrze?

Trent spojrział na Annabelle.

- Mój Boże, wyglądasz, jak gdyby ktoś cię gonił. Dobrze, jedźmy. - Samochód ruszył w chwili, gdy Phil zaczął schodzić ze schodów.

- Wypiłam za dużo ponczu - powiedziała Anna-

belle. - Ale obiecuję, że nie dostanę torsji w waszym samochodzie.

- To dobrze - odparł Trent.

- Ben, zależy ci na tym stanowisku czy nie? - zapytał radny Adler, który zajmował miejsce na szczycie stołu.

- Bardzo mi na nim zależy - odparł Ben.

Od dwudziestu minut z trudem nad sobą panował. Spodziewał się oklasków i poklepywania po ramieniu, a tymczasem kilkanaście kobiet i mężczyzn zebranych w gwieździstej sali zasypywało go pytaniami na każdy temat, począwszy od kary śmierci, a skończywszy na prywatnych więzieniach.

Dotąd trzymał się dobrze, choć nie podobało mu się to przesłuchanie. Teraz jednak senator Cissie Margate, prezeska zarządu lokalnego schroniska dla maltretowanych kobiet, poruszyła kwestię sekcji zwłok pani Langley. Ben domyślał się, że uczyniła to pewnie za namową Adlera.

- Nie było to tak bardzo konieczne, prawda? - mówiła. - Lekarz sądowy miał i tak pełne ręce roboty bez tego zlecenia, które wydałeś, opierając się wyłącznie na przeczeniach.

- Nadal uważam, że pani Langley została udużona - odparł Ben - ale zgodziłem się z Philem Mainwaringiem, że nigdy nie będziemy w stanie tego udowodnić.

- Niechętnie to mówię, Ben, ale kiedy media dorwą się do tego bałaganu, zapłacimy za to wszyscy.

- Czy chcesz powiedzieć, że nie powinienem był zlecać tej autopsji?

- Och, nie denerwuj się tak - rzekł Adler, wymachując cygarem. - Wszyscy wiedzą, że Langleyowie mają niefart od ćwierć wieku. Ty powinieneś się zająć wsadzaniem za kratki bandytów, usuwaniem z ulic dealerów i prostytutek, zapewnieniem bezpieczeństwa turystom w centrum miasta. Nie trać czasu na sprawy, które zostały zamknięte ponad dwadzieścia lat temu. To źle służy naszej sprawie, chłopcze.

- Mam zamiar zająć się tymi wszystkimi rzeczami, i bardzo jestem wdzięczny za pański wkład w tę sprawę, jak również wkład wszystkich tu obecnych. Cissie, pytałaś mnie chwilę wcześniej, czy na pewno chcę dostać to stanowisko. Wiesz, nagle przestałem być tego pewny. Nie mam zamiaru uzależniać moich batalii od tego, co jest dobre dla interesów tego miasta, lecz od tego, co sprawi, że przeciętny obywatel będzie się czuł bezpieczny w swoim domu, a jego dziecko w szkole. I jeśli uznam, że nastąpiła pomyłka sądowa, to bez względu na to, czy zdarzyło się to dwadzieścia lat temu czy pięćdziesiąt, to się tym zajmę. Jeśli chcecie, żeby wasz prokurator okręgowy kierował się tymi zasadami, to jestem do waszych usług. Ale jeśli chcecie, żeby ktoś sprawował ten

urząd, mając za nadrzędne kryterium wasze zadowolenie, to poszukajcie sobie kogoś innego.

Skinął im na pożegnanie głową i opuścił salę. Wreszcie ma to za sobą. Rzucił wszystko na jedną szalę. Powinien czuć się podle, a rozpierała go radość. Teraz musi znaleźć Annabelle.

Wypytywał o nią wszystkich, lecz nie mógł znaleźć ani jej, ani Phila. Przecież na pewno stąd nie wyszli. Zmarnował na tym zebraniu najwyżej pół godziny. A może Annabelle miała znowu swój atak? Oby nie - bo pomyśli, że znowu go zawiodła.

Wyszedł na schody. Stojący na podjeździe młody portier kulił się pod dużym parasolem. Wiał silny wiatr i deszcz ostro zacinał. Ben był bez płaszcza i zrobiło mu się zimno.

- Dzień dobry. Czy widział pan może kobietę w czerwonobrazowej sukni z trenem?

- Tak. Odjechała mercedesem pięć minut temu z wysoką blondynką i jej przyjacielem. Nie wyglądała dobrze. A dwie minuty później wyszedł siwy facet i poprosił o swój samochód. Myślał, że od razu mu go przyprowadzę, ale ten samochód stał za innymi, więc poszedł po niego sam. To był chyba prokurator okręgowy.

- Phil? - Annabelle miała pewnie atak i Phil pojechał sprawdzić, czy nic się jej nie stało.

Gdy Ben stał na dole i medytował, Phil wyjechał właśnie z zatłoczonego parkingu i zatrzymał się za

czerwonym autem stojącym u stóp schodów. Obok niego przemknęła szczupła kobieta, której nazwisko powinien znać.

- Nie znoszę tych głupich maskarad - powiedziała i pobiegła do samochodu.

Phil tymczasem energicznie naciskał klakson. Ben postawił kołnierz surduta i podbiegł do niego.

- Phil, otwórz okno.

- Muszę jechać, Ben. Coś pilnego.

- Co? Mogę pomóc? Gdzie jest Annabelle?

- Pojechała do domu. Migrena. Prosiła, żebyś tu został do końca i zadzwonił do niej jutro.

- Wykluczone.

- Tak powiedziała. - Rozległa się melodyjka zegara z pozytywką. Phil zaklął, wyszarpnął zegarek z kieszeni na piersi i rzucił go na siedzenie. - Dobranoc, Ben - rzucił i przejechał milimetry od stóp Bena, ruszając za czerwonym autem.

Co się u diabła dzieje? Phil nigdy, ale to nigdy jeszcze nie potraktował żadnego starego zegarka tak obcesowo. Musiało się stać coś niezwykłego, by rzucił nim o siedzenie. Ben poprosił chłopca o samochód.

- Oczywiście, proszę pana, ale to chwilę potrwa. Przez ten deszcz na trawniku zrobiło się bagienko.

Zadzwoni do Annabelle z samochodu, spyta, jak się czuje, a potem do niej wpadnie. Może zostanie na noc?

Drzwi za jego plecami otworzyły się.

- Ben, wracaj - powiedziała Cissy. - I nie obrażaj się o byle co.

- Cissie, mówiłem ci...

- Ben, znam cię przez całe życie i dobrze wiesz, że z racji wieku mogłabym być twoją matką. Wracaj do nas w tej chwili - rzekła stanowczo, przytrzymując drzwi.

Niechętnie wszedł do holu, a potem do sali. Wokół tego samego stołu siedzieli ci sami ludzie, atmosfera jednak się zmieniła.

- Dobra, Ben, wygrałeś - rzekł Adler. - Masz dwa lata na udowodnienie, czy potrafisz sobie z tym poradzić, a potem wyborcy zadecydują, co dalej. My udzielimy ci naszego poparcia. Wszystkiego najlepszego, panie prokuratorze.

Ben poczuł, jak jego serce przepełnia radość, a na twarzy pojawia się szeroki uśmiech.

- Dziękuję. Nie zawiodę was.

- I możesz się spotykać z kim chcesz - dodała Cissie, patrząc na Adlera. - Twoje prywatne sprawy to twoje prywatne sprawy. Jestem pewna, że nie chciałby pan, aby ktokolwiek sprawdzał, z kim ja się spotykam, prawda, panie Adler?

Zebrani zaczęli się śmiać. Wreszcie nadeszła pora na poklepywanie po ramieniu. Ben marzył jedynie o tym, by jak najszybciej przyjąć gratulacje i znaleźć się u Annabelle. Zerknął na zegar stojący w rogu sa-

li. Jedenasta. Phil i ten jego zwariowany zegarek grający co kwadrans melodyjkę. Benowi wydawało się, że jest później. Gdy zegar zaczął wybijać godzinę, zamarł.

Ta kolacja wtedy u matki - to nie tylko wino na koronce wyprowadziło Annabelle z równowagi, to także ta melodyjka ze starego zegara, który matka dostała w prezencie urodzinowym od Phila, kolekcjonera zegarów i zegarków.

Ben przypomniał sobie stary wisior Chantal - prezent z romantycznym napisem. Czy mogła go dostać od Phila? Nigdy dotąd nie przyszło mu do głowy, że Phil mógł być kochankiem Chantal. Phil, jego mentor, drugi ojciec, szef. Zabójca? Nie. Śmieszne.

- O cholera! - mruknał.
- Przepraszam...?
- To ja przepraszam. Mam pilną sprawę.
- Ben?! - zawołała Cissie.

Nie zatrzymał się. Zapomniał już, że wcześniej poprosił o samochód. Stał z boku niedaleko schodów. Pędem zbiegł na dół, siadł za kierownicą i ruszył przed siebie z piskiem opon.

Cały czas miał nieodparte wrażenie, że to halucynacje. Phil jest jednym z najuczciwszych znanych mu ludzi. Kochał swą żonę. Nigdy by jej nie oszukał. Nigdy by nikogo nie zabił.

Lecz Annabelle, jeśli z nim tańczyła, musiała słyszeć melodyjkę. Czy z czymś się to jej skojarzyło?

Czy przypomniała sobie w końcu, kto był w pokoju z matką, kiedy została zastrzelona?

Kiedy wyjechał na prostą i miał wolniejsze ręce, zadzwonił do Annabelle. Odezwała się sekretarka. Zadzwonił do matki. To samo. Do Phila - znowu to samo. Do Raya Langleya. Nikt nie podniósł słuchawki, sekretarki nie było. Nie pamiętał, gdzie zamieszkał jego ojciec, więc do niego nie zadzwonił. Współlokatorka Marian powiedziała, że ta jest u Elizabeth.

Czy powinien wysłać do Annabelle samochód policyjny? Jeśli się myli, Annabelle nigdy mu tego nie wybaczy. Ani Phil. Ale jeśli ma rację? Poczował, że samochód ślizga się na warstwie wody pod kołami. Minutę później wpadł w wielką kałużę i silnik zamarł.

- Dziękuję, Brittany.

Annabelle z trudem wydostała się z mercedesa i pobiegła do swego mieszkania. Obejrzała się za siebie. Dom Elizabeth tonął w ciemnościach. Nieważne. Ta panika jest nieuzasadniona. Kiedy już znajdzie się w środku za zamkniętymi drzwiami, zrzuci tę idiotyczną suknię, włoży dżinsy i zaczeka na Bena. To jego spotkanie prędzej czy później się skończy.

Chciała, by jej powiedział, że zwariowała, podejrzewając Phila Mainwaringa.

Założyła łańcuch na drzwi na dole i wbiegła na górę. Była zdumiona, że potknęła się tylko dwa razy.

Zapaliła wszystkie światła i zaczęła mozolnie odpiąć suknię. Miała nadzieję, że nie zniszczyła jej w deszczu. Jedwab bardzo łatwo się plami, a ta suknia liczy sobie niemal sto lat. Elizabeth wyrzuci ją, Annabelle, z pracy.

Nie, nie wyrzuci. Nie będzie musiała. Dziś wieczorem Annabelle dostrzegła wyraźnie, że ma rację. Nie może zostać w Memphis. Jeśli ogarnia ją szaleństwo na sam dźwięk zegarka i zaczyna podejrzewać takiego człowieka jak Phil, powinna wrócić do Nowego Jorku. Ben obiecał, że ten bal to jego ostatnia prośba. Jeśli nie chce tu zostać, pozwoli jej wyjechać.

Czy dotrzyma słowa? Najlepiej nie dać mu szansy. Powinna znaleźć się na pokładzie samolotu, jeszcze zanim Ben odkryje, że nie ma jej na balu.

- No! - To już ostatnia haftka.

Zsunęła suknię z ramion i opuściła na tyle, że mogła z niej wyjść. Potem rozłożyła ją na stole, by wyschła. W końcu zdjęła halkę i gorset i poszła z nimi do sypialni, gdzie ubrała się w dżinsy i koszulkę. Włosami zajmie się później.

Potem wróciła do saloniku i sięgnęła po słuchawkę.

- Nie radziłbym tego robić - usłyszała przyjemny głos Phila Mainwaringa, który stał na podeście schodów z rękami złożonymi na piersiach.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

- Jak się pan tutaj dostał?

Phil wzruszył ramionami.

- Kiedy się tak często bywa w jakimś domu jak ja tutaj, wie się, gdzie są trzymane zapasowe klucze. A propos, łańcuch nie zaskoczył. Powinnaś lepiej się zamykać.

- Nie musiał pan za mną jechać. - Usiłowała nadać głosowi naturalne brzmienie. - A teraz chciałabym zostać sama.

- Och, dlaczego?

- Bo za chwilę spodziewam się Bena.

- Nie. Podejrzewam, że Ben przyjdzie bardzo późno. Musi najpierw przyjąć gratulacje, wypić szampana, i tak dalej.

- Dostał to stanowisko?

- Owszem. I będzie znakomity w swojej pracy. Sam go wszystkiego nauczyłem. - Powoli wszedł do pokoju. Można by ich uznać za parę znajomych, którzy za chwilę czegoś się napiją, gdyby nie uważny wzrok Phila i jego zaciśnięte pięści. - Zupełnie nie umiesz ukrywać uczuć, wiesz o tym.

Roześmiała się nerwowo.

- No więc zależy mi na Benie. Przyznaję.

- Nie to miałem na myśli. Widziałem wyraz twojej twarzy, kiedy w tańcu usłyszałaś melodyjkę z mojego zegarka. - Pokręcił jakby z niedowierzaniem głową. - Nosiłem ten zegarek wszędzie, a potem przestałem, po tym... W ciągu ostatnich pięciu lat miałem go tylko na balu kostiumowym, ale dzisiaj nie powinienem był go zabierać. I nie zrobiłbym tego, gdyby mi przyszło do głowy, że wtedy mnie widziałaś i słyszałaś mój zegarek. Nie pomyślałem, że po tylu latach możesz cokolwiek pamiętać. - Westchnął głęboko. - Bardzo to było nieroztropne z mojej strony. Gdzie się wtedy schowałaś?

- Przykro mi, ale nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

- Nie wysilaj się i nie kłam. Bądź ze mną uczciwa, a ja obiecuję, że będę uczciwy z tobą.

- Bardzo dobrze. Byłam na schodach.

- Rozumiem. Wydawało mi się, że nic nie pamiętasz.

- Bo nie pamiętałam. Przynajmniej nie wszystko. Zapamiętałam koronkę i krew, ale całą resztę przypomniałam sobie dziś, kiedy usłyszałam tę melodyjkę. Nagle wszystko stanęło mi przed oczami.

- Szkoda. - Oparł się o zlew, jakby niespodziewanie ogarnęło go zmęczenie. - Dlaczego Ben nie mógł zostawić tego wszystkiego w spokoju? Prze-

cież wystarczyło machnąć ręką na sprawę Langleyów, wysłać cię do Nowego Jorku i ja już nie musiałbym na ciebie patrzeć. Ale mężczyźni mają te swoje hormony. Naprawdę szkoda.

- Dlaczego nie lubi pan na mnie patrzeć? Czy jestem tak bardzo podobna do matki?

- Zewnętrznie jesteś od niej ładniejsza, ale nie masz jej wewnętrznego ognia. Ona była jak dzika kotka, w każdej chwili gotowa drapać i gryźć.

- Kochał ją pan.

- Zniszczyłyby mnie.

- W jaki sposób?

- Meredith, moja żona, miała pieniądze, znajomości. Byłem na dobrej drodze do zdobycia urzędu gubernatora, może senatora. Miałem właściwą żonę. Lepiej było nie być jej niewiernym.

- Ale ją pan zdradził, prawda? Z moją matką?

- Nie potrafiłem trzymać się od niej z daleka. No i dobrze, pomyślałem sobie, raz się z nią prześpię, i będę miał spokój. Ale się pomyliłem. Wystarczyło, żebym jej dotknął, a chciałem więcej, chciałem... jej całej. Całymi dniami nie potrafiłem myśleć o niczym innym, tylko o Chantal w moich ramionach, na motelowym łóżku, na tylnym siedzeniu samochodu, wszędzie, gdzie tylko by się zgodziła.

- I nikt nic nie wiedział?

- Meredith miała już jeden zawał. Nie mogła...

być dla mnie żoną. Seks ją przerażał, nie była w stanie złapać tchu.

- I to jest usprawiedliwienie? Pragnienie kobiety?

- Ja pragnąłem Chantal! Gdyby chodziło o jakiś przypadkowy związek z prostytutką, Meredith by pewnie to zaaprobowała. Ale nie zgodziłaby się na Chantal, na romans.

- Chantal powiedziała, że chce mnie wziąć i wrócić do domu, więc ją zabiłeś.

Phil zaczął się śmiać. Jego rozbawienie było autentyczne, a więc tym groźniejsze.

- Z tym mogłem dać sobie radę. Chantal także mnie kochała. Chciała, żebym się z nią ożenił.

- Ludzie się rozwodzą.

- Och nie, rozwód naszej Chantal nie odpowiadał. Nie wierzyła, że twój ojciec się zgodzi, obojętne co na ten temat mówiła. Miała jakiś szalony plan, że zastrzeli Raya i powie, że to był wypadek. Ja miałem poprowadzić tę sprawę i dopilnować, żeby się nie wydało.

- A więc ojciec miał rację. Chciała go zabić.

- Ale Meredith jeszcze żyła. - W oczach Phila zabłyśły łzy. - Kochałem Meredith. Była bardzo delikatna, ale oboje wierzyliśmy, że długo pożyje. Nigdy mi do głowy nie przyszło, że umrze pięć lat później.

Annabelle przełknęła ślinę.

- Chciała, żebyś zabił swoją żonę?

- Mówiła, że to bardzo proste. Trochę więcej digitaliny i akt zgonu stwierdzający śmierć z przyczyn naturalnych.

- Podobnie jak babcia.

- Tak, do cholery! Tak jakby to się skończyło z twoją babcią, gdyby Ben nie wsadził nosa, gdzie go nie proszono! Całe szczęście, że lekarz sądowy orzekł, że wynik autopsji jest nie rozstrzygnięty.

- Przykro mi, Phil, ale nie żał mi ciebie, dlatego że nie chciałeś zabić swojej żony. Na pewno za to chciałeś zabić moją matkę i babcię.

I mnie, pomyślała. Trzeba coś zrobić, żeby Phil nie przestawał mówić. Kiedy Ben odkryje, że nie ma mnie na balu, na pewno tu przyjedzie. Będzie wściekły, ale to nieważne, pod warunkiem, że przybędzie w porę.

- Marzyłem o tym, żeby Chantal znalazła się w moim łóżku, a nie żeby stała u mojego boku podczas oficjalnych ceremonii. Wtedy w nocy patrzyłem na nią, jak stała przy kominku w tej białej koronkowej sukni, za obcisłej i za krótkiej. Piersi niemal jej się wylewały z dekoltu. Miała takie długie brązowe nogi, sandały na wysokich obcasach, pomalowane paznokcie. Po raz pierwszy zobaczyłem ją tak, jak widzieliby ją moi przyjaciele i znajomi. Taką, jaka będzie za dziesięć lat. Pospolita. Piękna, dzika ladacznica. Mężczyźni biorą ladacznice do łóżka, ale się z nimi nie żenią. To właśnie próbowałem uświa-

domić Benowi, ale nie chciał mnie słuchać. Zniszczysz go zawodowo tak, jak ona zniszczyłaby mnie, gdybym jej pozwolił.

Patrzyła na niego oniemiała. To właśnie sobie mówiła, mówiła to też Benowi. Jest taka sama jak matka.

Tyle że nie była to prawda. Nie zniszczyłaby Bena, ponieważ w istocie bardzo się od swej matki różniła. Nigdy by jej nie przyszło do głowy, żeby skrzywdzić drugiego człowieka, a Bena przecież kochała. Postanowiła zaprotestować, lecz jego słowa powstrzymały ją. Przemawiał jakby do siebie, jakby nie zdawał sobie sprawy, że ktoś oprócz niego jest w pokoju.

- Nie miałem zamiaru jej zabić, chciałem jej tylko przemówić do rozumu. Ale nie słuchała mnie. Kiedy powiedziałem, że się nie zgadzam na jej plany, zaczęła na mnie krzyczeć, zagroziła, że mnie zabije i potem powie, że próbowałem ją zgwałcić. Straciła nad sobą panowanie. Zaczęliśmy walczyć i broń wypaliła. To był wypadek.

- Jedna kula, perfekcyjny strzał. A na jej sukni ani śladu prochu?

- Wyjąłem broń z jej rąk i strzeliłem do niej, ale to była samoobrona. Inaczej ona by mnie zabiła.

- Jasne.

Wyciągnął ręce w błagalnym geście.

- Nie jestem zabójcą. Jestem człowiekiem hono-

ru. Całe życie strawiłem, próbując zadośćuczynić temu, czego się dopuściłem.

- Doprawdy? I dlatego zgodziłeś się, żeby mój ojciec wziął na siebie winę? A ja i te wszystkie plotki o mnie? A babcia? - Łzy napłynęły jej do oczu. - Dlaczego musiałeś zabić babcię? Przecież nic ci nie zrobiła.

- Ale wyznała Benowi, że wie o tej nocy coś, czego nikomu dotąd nie wyjawiała. Nie mogłem ryzykować, żeby powiedziała coś o moim związku z Chantal, jeśli o nim wiedziała. Nigdy nie byłem na żadnej liście podejrzanych, nie mogłem więc pozwolić, żeby Ben zaczął się czegoś domyślać. Zresztą, i tak umierała. Po prostu skróciłem jej cierpienia. Eutanazja to nie zabójstwo.

- Ale wrabianie mnie w to zabójstwo też nie jest szlachetne. To ty zadzwoniłeś do Beulah i wyciągnąłeś ją z domu. Czy wbiłeś mi też gwóźdź w opone, żebym się spóźniła?

Na twarzy Phila pojawił się wyraz bólu.

- Nie chciałem cię w nic wrabiać. Po prostu potrzebowałem kilku minut bez świadków. Byłem pewien, że można otworzyć okno w solarium bez wybijania szyby, i tak zrobiłem.

- Jak to ładnie z twojej strony.

- Podrapała mi nadgarstek, ale nie walczyła. Pewnie się ucieszyła, że ma to już za sobą. - Teraz Phil mówił jakby do siebie. - Ben nie miał widzieć

jej ciała, a co dopiero podejrzewać, że została zabita przez kogoś z zewnątrz. Dlaczego nie zostawił tego w spokoju? - Potarł ręką czoło. Sprawiał wrażenie człowieka strasznie zmęczonego.

- Czy mnie też chcesz zabić z litości?

Gdy kończyła mówić te słowa, pojęła, że zadała niewłaściwe pytanie. Phil jakby oprzytomniał, jego szczęki się zacisnęły, oczy zwięzły.

- Tak. To strasznie smutne. Postanowiłaś zrezygnować z kochanka, żeby nie psuć mu kariery, i rozpaczałaś po śmierci babki. Wróciłaś do domu i wzięłaś całą buteleczkę środków nasennych.

- Nie mam tabletek nasennych.

Machnął ręką.

- Wykradłem ich trochę kilka dni temu z apteczki Elizabeth na wypadek, gdybym sam ich potrzebował. Kiedy stąd wyjdę, na butelce będą tylko twoje odciski palców.

- Mam wziąć te tabletki jak dobra dziewczynka? Zapomnij o tym. A oprócz tego, Ben nigdy w coś takiego nie uwierzy.

- Dowody przemówią same za siebie. Ben pochodzi trochę w żałobie, a potem ożeni się z jakąś zimną blondynką, która będzie mu niańczyła dzieci. Właściwie wyrządzisz mu przysługę.

- Nie wyrządzę. - Podniosła dumnie głowę do góry. - Ben mnie kocha. I ja go kocham. A tobie nie pozwolę się zabić.

Nie teraz, gdy w końcu zrozumiała, że kocha Ben na dobrą miłość. Nie teraz, kiedy już pojęła, że nie jest w niczym podobna do matki. Nie teraz, kiedy odnalazła ojca i dowiedziała się, że nie jest mordercą. Ona też nikogo nie zabiła. Nagle okazało się, że życie jest pełne możliwości.

- Nie masz wyboru.
- Ależ mam. Wiesz, Phil, ty właściwie jesteś tępy.
- Co?

- Tak. - Pomyślała, że w pojedynku z Philem przegra, ale nie podda się bez walki. - Nie sądzę, żeby babcia cokolwiek wiedziała o zabójcy mojej matki. Po prostu wymyślała różne rzeczy, żeby pozostać w centrum uwagi i zatruć wszystkim życie.

- Wobec tego to ona była tępa.

- A ja? Nie miałam pojęcia, że to ty byłeś wtedy z matką. Nie widziałam cię. Usłyszałam tylko strzał i zesłam na dół w chwili, kiedy ten twój głupi zegarek zaczął wygrywać melodyjkę. Gdybyś dziś go przy sobie nie miał, gdybym nie rozpoznała tego dźwięku, nigdy bym cię o nic nie podejrzewała. Nigdy.

Oparła się jakby od niechcienia o stół krawiecki. Pod jedwabną rudą suknią leżały nożyce krawieckie. Wysunęła rękę do tyłu i wyczuła ich twarde kształt.

- Jeśli chcesz się mnie pozbyć, musisz ze mną walczyć. Ben nie będzie miał wątpliwości, że to morderstwo, i nie spocznie, zanim nie dostaniesz kary śmierci. To mogę ci obiecać.

- Suka! - zawołał i rzucił się na nią.

Chwyliła nożyczki i cofnęła się, zdołał jednak chwycić ją za ramię.

- Ben tu jedzie! On mnie znajdzie! - Dźgnęła go nożycami w dłoń.

Z rany popłynęła krew, Phil krzyknął. Korzystając z tego, ruszyła biegiem w stronę schodów, lecz Phil niespodziewanie chwycił ją za włosy i zdrową ręką ścisnął za gardło. Nie mogła oddychać. Drugą ręką unieruchomił jej nadgarstek.

- Rzuć je!

Ścisnęła nożyce z całej siły, aż w końcu Phil wykręcił jej rękę. Wrzasnęła z bólu i przerażenia.

- Kiedy Ben cię znajdzie, będziesz nieprzytomna albo martwa. - Oparł jej rękę o powierzchnię stołu.

- Rzuć je!

Przycisnął jej nadgarstek do krawędzi stołu. Nożyce wysunęły się z jej zdrtwiałych palców i uderzyły o podłogę.

- Kiedy stracisz przytomność, wepchnę ci te tabletki do gardła.

Nie mogła chwycić tchu. Pod powiekami zamięły jej barwne plamy. To niemożliwe, to nie może się stać...

Wyprężyła się, po czym nagle zawisła bezwładnie w jego ramionach.

Nie spodziewał się, że mu tak łatwo i szybko pójdzie. Gdy jego uścisk zelżał, niespodziewanie wy-

rwała mu się, lecz zawadziła stopą o suknię, która spadła ze stołu, kiedy sięgała po nożyce. Z trudem chwytając oddech, opadła na kolana i krzyknęła z bólu.

Jeszcze sekunda, a Phil znowu ją dopadnie. Chwyciła nożyce i wczółgała się pod stół.

- Ty suko! Wracaj tutaj!

- Nie ma mowy!

Z całej siły wbiła mu ostrze w udo. Jego krew trysnęła jej na twarz. Sól zakłuła ją w oczy, koszulka pokryła się czerwienią. Krew, prawdziwa krew.

- Niech cię szlag! - wrzasnął histerycznie. Widziała, jak ściska rękami nogę. - Trafiałś w arterię. Pomóż mi!

Przeczołgała się na drugą stronę stołu, podczas gdy Phil upadł jak długi po stronie przeciwnej.

- Zaraz przez ciebie umrę!

Podniosła się na nogi. Może on mówi prawdę? Wahala się przez chwilę, a potem zadzwoniła na pogotowie. Gdy skończyła dyktować adres, chwyciła kawałek białej koronki i zrobiła z niego opaskę uciskową na udzie Phila. Leżał z głową odchyloną do tyłu, miał odsłonięte zęby i przymknięte powieki. Skręcał się z bólu i ściskał nogę obiema rękami.

- Nie ruszaj się - poleciła. - Tylko sobie zaszko-
dzisz.

Zacisnęła mocniej opaskę i pochyliła głowę, by

spojrzeć na nią z bliska. I to był błąd. Phil chwycił ją za włosy i szarpnął.

- Już kiedyś cię zabiłem, i zrobię to po raz drugi.

Tym razem jednak nie miał siły, by ją utrzymać. Zdołała mu się wyrwać, pozostawiając pasmo włosów w jego dłoni, i na kolanach odczołgała się na bezpieczną odległość. Gdy spojrzała na niego ponownie, płakał. Jedną ręką zaciskał opaskę, drugą wznosił do góry w błagalnym geście.

- Chantal, kocham cię.

- Annabelle! - Głos Bena, odgłos jego kroków na schodach. I jeszcze jakieś inne kroki, cięższe.

Zobaczył ją na podłodze i podbiegł do niej z wyciągniętymi ramionami.

- Krew... Co on ci zrobił?

- To jest jego krew - wykrztusiła. Jej głos brzmiał chrapliwie, czuła w gardle ból.

Nagle w pokoju zaroilo się od policjantów i sanitariuszy. Na dworze zawyły syreny. Ben tulił ją do siebie.

- Próbowwała mnie zabić - powiedział Phil. Jego oczy stawały się szkliste, lecz głos był silny.

- Szkoda, że tego nie zrobiła, ty draniu - warknął Ben.

Ze schodów dobiegł ich głos Elizabeth nawołującej syna, potem jej kaszel.

- Co wy tu wyrabiacie?

- Mamo, nie wchodź.

- Ależ dlaczego? Co jest z Annabelle?

Gdy zobaczyła zakrwawioną Annabelle, przyłożyła dłoń do ust. A potem ujrzała zwijającego się na podłodze Phila.

- Mój Boże, Phil, co zrobiłeś?

- Elizabeth, powiedz im, że to morderczyni.

Elizabeth patrzyła na niego z otwartymi ustami.

- To on jest mordercą - odezwała się Annabelle, tuląc się do Bena. - Zajrzyj do kieszeni jego fraka. Znajdziesz tam swoje tabletki nasenne, Elizabeth. On chciał zaaranżować moje samobójstwo.

- Ale dlaczego?

- Bo zabił Chantal - oznajmił Ben ponuro. Annabelle poszukała jego wzroku. - Długo trwało, za nim na to wpadłem. Bałem się, że cię zabije.

- Ale jak...

- Nie mogłem uwierzyć, że ode mnie uciekłaś, a potem usłyszałem ten głupi zegarek. Phil i te jego cholerne stare zegary! Przypomniałem sobie zegarek w szkatułce Chantal i nagle pomyślałem, że może to Phil? Ale wtedy on już jechał za tobą.

Sanitariusze ułożyli Phila na noszach i ruszyli z nim do wyjścia.

- Elizabeth, powiedz im! Jestem sędzią!

- Już nie jesteś - odparł Ben, po czym zwrócił się do policjantów: - Zadzwońcie do wydziału zabójstw, a jego zawieźcie do izolatki dla aresztowanych. I pilnujcie, żeby nie popełnił samobójstwa.

Jeden z policjantów wzruszył ramionami.

- Jasne, jeśli się przedtem nie wykrwawi. -
Wskazał głową Annabelle. - Ją też zabrać?

- Przywiozę ją później.

- Jak pan sobie życzy.

- Ben - odezwała się Annabelle. - Ja go dwa razy dźgnęłam nożycami.

- Zrobiłaś to w samoobronie. A oprócz tego będziesz moim głównym świadkiem na jego sprawie.
- Zerknął w stronę znikających na schodach sanitariuszy. - Jeśli przeżyje.

- Zawsze podejrzewałam, że z Philem jest coś nie tak - oświadczyła Elizabeth, po czym kilka razy kichnęła i wytarła nos. - Boże, czuję się naprawdę okropnie.

- Przestań, mamó. Nie wiedziałaś więcej niż ja. Przez całe życie był dla mnie niemal ojcem. Zawsze uważałem go za jednego z najlepszych nauczycieli na świecie.

- Ja jednak coś wiedziałam. - Elizabeth pociągnęła nosem. - Jak myślisz, dlaczego nie wyszłam za niego za męża? Nawet się z nim nie przespałam. Bardzo się lubiliśmy, ale nie było między nami namiętności. - Znowu zaniósła się kaszlem. - Pewnie całążytkował na Chantal. Idę do łóżka. Annabelle, pościel w pokoju gościnnym jest czysta. Kochanie, nie możesz tu przecież zostać - dodała, gdy Annabelle podniosła na nią wzrok.

- Chyba i tak nie pójdę spać, bo Ben zawiezie mnie na policję.

- Wystarczy, że pojedziemy tam jutro.

- Elizabeth, chyba zniszczyłam tę rudą suknię.

- Nie przejmuj się. Żyjesz, i to jest najważniejsze. - Przytuliła Annabelle do siebie.

- Nie płacz, Elizabeth, proszę.

- Kiedy tylko o tym wszystkim pomyślę... - Odwróciła się i pobiegła na dół.

- Ben, idź do niej.

Pokręcił przecząco głową.

- Za chwilę, kiedy się przekonam, że nic ci nie jest. Biedna mama, ona chyba nie chce mnie teraz widzieć. Moja nadzieja w tym, że zdoła sobie wmówić, że zawsze wyczuwała w nim coś dziwnego.

Annabelle niespodziewanie rzuciła się Benowi na szyję.

- Och, Ben, kochany, tak mi przykro. On był także twoim przyjacielem.

- Był asystentem prokuratora okręgowego, kiedy Chantal zginęła. Mógł tak wszystkim pokierować, że nikt się nie zorientował. Powiniennem być chociaż go sprawdzić. Nigdy jednak nie przyszło mi na myśl...

- Nie miej do siebie pretensji. Wszystko jest w porządku. - Spojrzała na niego błyszczącymi oczami. - Jakoś to załatwisz.

Ben położył głowę na jej ramieniu.

- Nie chciałam go zabić - wyszeptała. - Ale nie chciałam umrzeć, zanim...

- Zanim co?

- Zanim ci powiem, że cię kocham.

- A czy teraz już wierzysz, że nikogo nie mogłaś zabić?

- Mogłam zabić Phila - odrzekła cichutko.

- W samoobronie.

- Ja nie myślałam już tak często o tym, że zabiłam matkę. Po tym, jak się kochaliśmy. Po raz pierwszy.

Odsunął ją na odległość ramienia.

- Nie rozumiem...

Opuściła oczy.

- Nie jestem już dziewicą, a sądząc po moim zachowaniu, jestem taka dzika jak ona. Phil to dziś powiedział. Mężczyźni biorą dziwki do łóżka, ale się z nimi nie żenią.

Zaczął się głośno śmiać.

- Kochanie, w taki sposób kobieta zachowuje się w obecności mężczyzny, którego kocha.

- To znaczy, że wszystko jest w porządku?

Poważnie skinął głową.

- Nie tylko w porządku, ale i jest to wysoce zalecane. Poczekaj, aż zabiorę cię na miesiąc miodowy...

- Ben, w Nowym Jorku...

- Jeśli chcesz żyć w mieszkaniu z zimną wodą

na Lower East Side, podczas gdy ja będę się biedził w nowojorskiej prokuraturze, to to zrobimy. Ściągać zbrodniarzy mogę wszędzie.

- Nie! Jeśli Elizabeth zechce mnie zatrzymać, chętnie u niej zostanę, a samoloty latają w obie strony. No i jest jeszcze Internet. I obiecuję, że nauczę się całować dzieci.

- Nasze dzieci, a nie cudze.

- Nie chcę stracić reszty życia bez ciebie. To właśnie dziś odkryłam. Warto o nas walczyć.

Pochylił się i pocałował ją - gorąco, a jednak delikatnie. Kiedy jego ręka znalazła się pod jej koszulką, na schodach znowu usłyszeli kroki.

- Cholerne państwo policyjne.

- Co tu się wyprawia?! - zawołał Hal.

- Annabelle! - Ray podbiegł do córki. - Nic ci się nie stało?

- Skąd wiesz?

- To główna wiadomość w dzienniku - odparł Ray. - Phil Mainwaring? Nie do wiary!

- Ten drań! Był wtedy asystentem prokuratora okręgowego i siedział na procesie - wyjaśnił Hal.
- Zawsze mówiłem, że to spryciarz.

- Czy będzie żył? - spytała Annabelle niespokojnie.

- A kto to wie?

- Wynajmie cię na swojego obrońcę, tato? - zapytał chłodno Ben.

- Mam nadzieję, że spróbuje.

- A co wy robicie razem? - spytała Annabelle.
- Gadamy o dawnych czasach, zawieramy pokój
- oznajmił Ray nieco zakłopotany. - Jesteśmy za starzy, żeby się na siebie gniewać.

- I o moim powrocie do domu, młodym Benie oraz mojej przyszłości - dodał łagodnie Hal. - Chciałbym też pomóc przy akcie oskarżenia Phila. Potrzebny wam będzie ktoś, kto wtedy coś widział. Nie mam zamiaru mu popuścić.

- Pewnie mógłbym go wybronić - rzekł Hal do syna, dmuchając na filiżankę z gorącą kawą, którą trzymał w ręku. Siedział w gabinecie Bena, po drugiej stronie biurka.

- Wiem - odparł Ben. - Przynajmniej mamy jego wyznanie z łoża śmierci.

- Jak Annabelle sobie z tym radzi?

- Lepiej, niż przypuszczałem. Nie miała zamiaru trafić w arterię, a poza tym to nie to go zabiło. Lekarz mówi, że załamał się jego układ samoistny. Myślę, że chciał umrzeć. Nie byłby w stanie żyć skompromitowany, nie przeżyłby w więzieniu tygodnia.

- Te wszystkie palanty, które zrobiły z niego sędziego, mają teraz niezły pasztet. Przez pewien czas będą się trzymać od ciebie z daleka.

- Też tak sądzę. - Ben odstawił filiżankę. - Tato, po co tu przyszedłeś?

- Złożyłem dokumenty w urzędzie obrońcy pub-

licznego. - Hal uśmiechnął się szeroko. - Jestem za stary, żeby się przekwalifikować.

- Rozumiem - mruknął Ben posepnie.

- Ale także za stary, żeby dać się w cokolwiek wciągnąć. Nasz system sprawiedliwości może i nie jest najlepszy w świecie, ale niech mnie, jeśli widziałem lepszy.

- To nie jest gra.

- Nie, i nie będę się w ten sposób bawił. Będę pracować, żeby pomóc ludziom, którzy moim zdaniem są naprawdę niewinni.

- Jak Elmer Bazemore?

Hal westchnął głęboko.

- Wolałem nie widzieć dowodów jego winy. Byłem tak przerażony jak ty, kiedy zabił Judy. I proszę cię, żebyś mi to wybaczył, to, a także sposób, w jaki potraktowałem twoją matkę, ciebie i twojego brata. Już dawno oddałem długi mojej dawnej firmie prawniczej - nie musisz znać szczegółów - ale jeśli będziemy widywać się w sądzie, chciałbym od czasu do czasu zjeść z tobą lunch.

- I z matką?

Hal potrząsnął głową.

- To zabawne, ale stara pani Langley może wreszcie będzie miała swoją wymarzoną synową. Ray i Elizabeth tak jakoś na siebie patrzą...

- Cieszę się. Ray jest całkiem miły, kiedy się go już pozna.

- Tak zawsze myślałem. Wiesz, Ben, każdy próbował zrobić to, co mu się wydawało słuszne. Nawet Phil. A tak niedobrze wyszło.

- A co to ma znaczyć?

- Elizabeth i ja myśleliśmy, że robimy dobrze, biorąc ślub. Ray uważał, że za wszelką cenę musi utrzymać swoje małżeństwo z Chantal. A potem myślał, że robi dobrze, biorąc na siebie winę za córkę. Pani Langley uważała, że ma rację, wytykając Annabelle jej pochodzenie i odziedziczone skłonności. Ja sądziłem, że mam rację, pozwalając Rayowi zawrzeć ugodę z sędzią. Ty myślałeś, że masz rację, próbując zmienić Annabelle, bez względu na to, czy ona tego chciała, czy nie. A teraz, dzięki twojemu uporowi, wszyscy być może zyskaliśmy drugą szansę. Jestem z ciebie dumny, mój synu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

- Ta cała wielka pompa to był twój pomysł - powiedziała Vickie, ubrana w czarną jedwabną suknię z kołnierzykiem z koronki battenberskiej. - Nie możesz się bać wyjścia w pierwszej sukni, jaką sama zaprojektowałaś.

- Nie powinnam była projektować tego cholernego trenu. Mam wrażenie, jakbym ciągnęła łądz.

- Ta suknia jest obłąkana. Zazdroszczę ci. Jesteś teraz projektantką pełną gębą, pracujesz dla znanej firmy, a ja dalej wystawiam w sklepikach na Siódmej Alei.

- Już niedługo. Odniesiesz sukces i domy mody będą się o ciebie bić.

- Dobrze, Annabelle. Czy możemy już stąd wyjść?

- Ja nie mogę. Ci wszyscy ludzie...

- Ludzie muszą patrzeć na pannę młodą, dziecko. Kościół jest pełny. Brat Bena już zaczął grać rolę świadka... Wiesz, ten facet jest ekstra. I dość wysoki nawet jak dla mnie.

- Zostaw Steve'a w spokoju, Vickie. Jego matka mówi, że on ma sprawy.

- Wielkie rzeczy, ja też. Moglibyśmy sobie te swoje sprawy obgadać, nie? - Vickie uniosła pytająco brwi.

- Słuchaj, jestem przerażona! Nie lubię być w centrum uwagi. A jeśli się potknę w drodze do ołtarza? Albo spadnę ze schodów?

- Nie spadniesz. Tylko się uspokój. Ksiądz jest przy ołtarzu, szwajcarzy zaraz zaprowadzą matkę Bena do pierwszej ławki, Marian czeka za drzwiami, żeby poprawić twój welon i tren, a ojciec wygląda tak, jakby za chwilę miał dostać zawału. Idziesz?

- Byłam najlepszej myśli, ale nie mogę. Nawet dla Bena nie mogę.

- Dobrze. To siedź tu i się gotuj. - Vickie trzasnęła drzwiami i wyszła.

Annabelle zamknęła je natychmiast na zasuwkę. Nie mogła usiąść. Za dużo starej koronki było w tej sukni, za dużo w welonie, za dużo w trenie. Dlaczego zgodziła się na tę imitację? Na pewno nadepnie na welon, koronka się podrze i cały misternie upięty strój spadnie jej z głowy. Stanie się coś strasznego. Zawsze tak się działo, ilekroć stawała w centrum uwagi.

- Annabelle? - rozległ się głos za drzwiami.

- Och, Ben tak mi przykro! Nie mogę się prze-móc.

- Nie możesz wziąć ze mną ślubu?

- A czy nie mogłabym wziąć z tobą ślubu w dzinsach, w obecności sędziego pokoju, w jakimś miejscu, gdzie nikt nas nie zna?

Zapadła cisza, a potem Ben powiedział:

- Oczywiście.

- Co?

- Najważniejsze jest to, żebyś została moją żoną i żeby to był najszczęśliwszy dzień naszego życia. A jeśli do tego potrzebne ci są dzinsy i sędzia pokoju, to ja nie mam nic przeciwko temu.

- Naprawdę? - Oparła się o framugę drzwi.

- Nie możemy się wymknąć przez zakrystię. Zobaczą nas i będą się zastanawiali, gdzie się wybieramy. A może ja się przedrę jakoś pod okienko, ty przez nie wyjdiesz, potem pobiegniemy do samochodu, zatrzymamy się przy supermarkecie, kupimy dzinsy i resztę rzeczy, a potem pojedziemy do Tuniki? Jestem pewien, że w Missisipi możemy znaleźć sędziego pokoju, który mnie zna. Możemy mieć ślub za dwie godziny.

- Ale co pomyślą ci wszyscy ludzie? Nie możemy ich ot, tak zostawić.

- Twój ojciec może ogłosić, że uciekliśmy. A jeśli się postaramy, wrócimy na przyjęcie.

- Mówisz poważnie?

- Tak.

Oparła czoło o drzwi. Drewno było zimne. Słyszała dobiegający z drugiej strony oddech Bena.

- Myślisz, że przecisniesz się w tej sukni przez okno, czy musisz ją zdjąć? - zapytał rzeczowo.

On naprawdę gotów jest wprowadzić swój plan w czyn! Jest gotów nie pojawić się na własnym ślubie, zawieść tłumy zebrane w kościele, jeśli tylko ona tego zechce. Ale byłby skandal! Odetchnęła głęboko i powiedziała:

- Nie zdejmę sukni. Ben, kocham cię.

- Cieszę się, że to słyszę. Inaczej dzień byłby zmarnowany. Ja też cię kocham, i jest mi obojętne, czy masz na sobie koronkową suknię czy dzinsy. A najlepiej, kiedy nie masz nic.

- Och, Ben! - Annabelle głęboko odetchnęła. - Nie. To był mój pomysł, i nie mogę stchórzyć. Znajdź Vickie i tatusia, dobrze, kochanie? A sam wyjdź przed kościół i czekaj na mnie. Zacznijmy, już to przedstawienie.

- Wreszcie! - rozległ się głos Vickie. - Wiedziałam, że nie stchorzysz.

- Skarbie, otwórz drzwi - poprosił Ray. - Ja ci pomogę.

- A spróbuj mi tylko zaplątać się w ten welon - dodała Marian. - Pracowałam nad tą suknią cztery miesiące, a teraz chcę zobaczyć, jak bierzesz w niej ślub.

- Na litość boską, Ben, czy na dworze są wszyscy wierni?

- Nie wszyscy. Mama jest w środku. Kocham

cię. Do zobaczenia za dwie minuty. Obiecuję, że nie spadniesz ze schodów.

Annabelle zacisnęła kciuki.

- Twoje słowa słyszy Bóg. Babciu, gdziekolwiek jesteś, musisz wiedzieć, że twoje życzenie się spełniło. Wreszcie zaczynam się zachowywać jak jedna z Langleyów.

Czekała, aż kroki Bena ucichną w oddali, po czym otworzyła drzwi. Za progiem stały uśmiechnięte Vickie i Marian.

- To najpiękniejsza suknia, jaką udało nam się zrobić - oznajmiła Marian. - Za nic w świecie nie pozwoliłabym ci wymknąć się w niej przez okno. A teraz chodź.

Annabelle ujęła ojca pod ramię i stanęła na szczycie nawy, podczas gdy Vickie, stanowiąca jej cały orszak, ruszyła w stronę ołtarza.

Ojciec spojrział na nią z promiennym uśmiechem i z dumą.

- Moja córko... Nigdy bym nie pomyślał, że kiedykolwiek będę mógł tak cię nazywać.

- A ja nie myślałam, że będę miała tatusia, który mnie komuś odda. - Uśmiechnęła się trochę rzewnie. - Ale też nie sądziłam, że komuś będzie na mnie zależało.

- Idziemy - powiedział ojciec, podczas gdy Marian delikatnie ją popchnęła.

Kościół był udekorowany taką ilością kwiatów,

że jego wnętrze przypominało nieco oranżerię. Gdy Ben patrzył na Annabelle w jej wspaniałej sukni, zbliżając się ku niemu przez całą długość nawy, przypomniał sobie, jak kiedyś wyobrażał ją sobie na polu konwalii. Teraz była piękniejsza niż w jego marzeniach.

Lecz zgodziłby się też, by uciekła przez okno zakrystii, gdyby chciała - pod warunkiem, że tego samego dnia zostałaby jego żoną.

Gdy podeszła do niego i ujął ją za rękę, uśmiechnął się i spojrzał jej w oczy - jej cudowne oczy. Oczy sarny, lecz teraz nie patrzące już z bólem. Otwarte, ufne, kochające.

Zgodnie z tym, co kiedyś przepowiedziała mu matka, miłość na niego spadła i go osaczyła. Co więcej, wręczyła mu dar w postaci Annabelle. Ścisnął jej dłoń i zaczął składać przysięgę małżeńską.

KONIEC